

# PRZEGLĄD POLITYCZNY

---

- Gdynia – czwartek, 17 grudnia 1970
  - Ireneusz KRZEMIŃSKI – Świat zakorzeniony
  - Jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?  
– rozmowa z Jackiem MERKELEM
  - Tadeusz DONECKI – Chwałę Paryż
- 

WYDAWNICTWO LITERY 1986

7

SPIS TRESCI

<i>Wiesława Kwiatkowska</i> Gdynia - czwartek, 17 grudnia 1970.....	3
<i>Ireneusz Krzemiński</i> Świat zakorzeniony.....	52
<i>Rozmowa z Jackiem Merkelem</i> Jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?.....	72
<i>Andrzej Richert</i> Pierwszy kryzys interwencyjny.....	89
<i>Tadeusz Donecki</i> Chwałę Paryż.....	102
<i>Jędrzej Branecki</i> Polski liberał Ferdynand Zweig.....	114
<i>Jerzy Kulicki</i> Zdziechowski i Rosja.....	120
<i>George Watson</i> Czy Hitler był marksistą?.....	131
<i>Samuel Obiedziński</i> Rzeka podniebna i ptaki podziemne.....	144
<i>Mirosław Gajda</i> Lekcja miasta.....	149

Numer zamknięto w grudniu 1985 r.

# GDYNIA - CZWARTEK, 17 GRUDNIA 1970

Opracowała WIEŚŁAWA KWIATKOWSKA

PRZYSTANEK KOLEJKI ELEKTRYCZNEJ GDYNIA-STOCZNIA. WCZESNE GODZINY RANNE.

*Wojciech Drożak*: Rano, godzina 5.30, znalazłem się na przystanku Gdynia-Stocznia /1/. Przy skrzyżowaniu ulicy Marchlewskiego z Czechosłowacką stały czołgi, amfibie - no i po prostu nie puszczano nas do stoczni.

*Stanisław Stenka*: Kazali iść do pracy, to poszliśmy, nie wiedzieliśmy, że tam będą strzelać. Przez megafony mówili /2/, że stocz-

/1/ Charakterystycznym elementem przystanku kolejki elektrycznej w Gdyni-Stoczni jest długi drewniany pomost zawieszony nad torami i peronami. Łączy on dwie arterie komunikacyjne: ulice Czerwonych Kosynierów i Marchlewskiego. Istotniejsze jest jednak to, że przejść przezeń musi każdy - bo nie ma innej drogi - kto przyjechał kolejką elektryczną. Za nim znajduje się ok. dwudziestometrowy odcinek ograniczony płotami, dalej jest wiadukt, którego barierki z obu stron zabezpieczają przed przypadkowym wypadnięciem na tory. Oddziały zbrojne ustawiono tuż za wiaduktem. Aby dostać się do stoczni, trzeba przejść przez pomost i wiadukt do ul. Czechosłowackiej, która prowadzi do stoczni. Do portu, po przejściu pomostu i wiaduktu, skręca się w prawo, w ul. Polską. W 1970 r. kolejki zwożące ludzi z kierunku Wejherowa i Gdańska kończyły bieg w Gdyni-Stoczni i wracają do punktu wyjścia.

Przyjęto się uważać (od artykułu Tadeusza Woźniaka *Blizna*, "Czas" 1980, nr 51), że pierwsze strzały padły o godz. 5.55. Teresie Remiszewskiej wryło się jednak w pamięć, że gdy - obudzona strzałami - spojrzała na zegarek, była 5.15. Zygmunt Rośniak pamięta, że była 5.00.

/2/ Treść komunikatów ulegała zmianie, aktualizowała się pod wpływem wydarzeń. Pierwszy komunikat brzmiał: *Obywatele! Pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni i pracownicy Portu Gdynskiego. W związku z powstaniem, znaną wam, sytuacją w stoczni, dla zapewnienia porządku i pełnej ochrony jej mienia, władzę nad stocznia objęły z dniem 16 grudnia br. i sprawują nadal organa bezpieczeństwa, ochrony i wojska. W tej sytuacji bezwzględnie zabrania się komukolwiek udawania się na teren stoczni. Osoby, które nie zastosują się do powyższego zarządzenia, mogą narazić się na poważne niebezpieczeństwo ze strony oddziałów i pododdziałów ochrony. Ostatni zaś: Komunikat dowództwa ochrony Stoczni i Portu. Będziemy do końca konsekwentni. Dla zmniejszenia strat zabytkich i rannych prosimy wycofać się z niebezpiecznego terenu i rozjechać się do miejsc zamieszkania i swych domów. Wejście do portu i stoczni będzie przez nas do końca skutecznie bronione.*

nia zamknięta, ale to tylko częściowo było słychać, a później w ogóle nie - może się coś popsuło, albo jak. No a jak mieli ludzie nie iść do pracy, skoro wieczorem w telewizji pan Kociołek tak mocno o to apelował? To skąd można było wiedzieć, czy to, co teraz mówią, jest prawdziwe?

*Wojciech Drożak:* Tutaj, jak z kolegą przeszliśmy przez pomost - wszystko działa się tu zupełnie z przodu, widziałem jak pociągi nadjeżdżały - z tyłu ludzie pchali nas po prostu do przodu, nie było jak się zatrzymać. Szliśmy więc do przodu, w kierunku stoczni.

*Stanisław Kodzik:* Przyjechałem drugą ranną kolejką, wyjeżdżałem z Wrzeszcza 5.19, tak że byłem przed 6.00. Pierwsza kolejka nie wróciła w stronę Gdańska, tak że ta, którą przyjechałem, zablokowała ją. Potem przyjechała jeszcze trzecia. Milicjanci stali przy samym zejściu ze schodów pomostu, było ich z sześciu, reszta stała na skrzyżowaniu i jeden z nich zaczął nam dyktować, co mamy robić. Żeśmyeszli na dół i żeśmy ich odepchnęli, tak że oni stanęli tak w połowie wiaduktu i im do pomocy przyszedł cały pluton, tak było ich ze trzydziestu.

Przez głośniki, chyba z radiowozu, mówili coś, żeby nie robić zamieszania, żeby wracać, no ale nikt ich nie słuchał, bo nie wiadomo było, kto mówi. Najpierw wystrzelono świetlne pociski, później był wystrzał z czołgu. No ale już wtedy ludzie szli, już żeśmy ruszyli, ludzie taką całą ławą szli. Padać zaczęli nie ci w pierwszych szeregach, lecz z dalszych, bo oni strzelali w bruk, pociski odbijały się od kocich łbów i straszliwie raziły, bo najgorszy jest właśnie taki rykoszet, powoduje największe rany. Ktoś mnie dostał jeden w krtań, jeden w nogę.

*Wojciech Drożak:* Tłum ludzi podchodził do tych czołgów, przy których ludzie krzyczeli "domagamy się chleba". Znaleźliśmy się w odległości gdzieś dziesięciu metrów od czołgów, od tych wojskowych pojazdów. I wtedy - jak to powiedzieć - no, sygnał, żeby nastraszyć ludzi: wystrzał z lufy czołgowej w kierunku lasu. Ludzie zaczęli uciekać. Ja nie zauważyłem, że ludzie uciekają, dopiero po chwili zobaczyłem, że znalazłem się prawie sam, odwróciłem się, zacząłem też uciekać i w tym momencie spojrzałem na ślup metalowy, gdzie akurat - pewnie przypadkiem - lufa czołgu była skierowana i zobaczyłem taki rozbłysk... Wyglądało to jak zimny ogień, tylko ogromny. I stała tam kobieta, mogła mieć około czterdziestu lat, no i dostała tymi odpryskami. Po strzale był krzyk, przewróciła się. Oglądałem tę kobietę później, jak już przyjechały karetki, już leżąca w karetce. Wyglądała strasznie. Twarz zmasakrowana, nosa, oczu nie było nic widać, no strzępy, strzępy z twarzy; żyła jeszcze i widok był straszny.

A wtedy, gdy uciekałem po strzale, jak biegłem w stronę tłumu, to akurat natknąłem się na jednego gościa z tłumu, w zielonym golfie, miał w okolicy serca ranę, krew tryskała jemu tak jak gdyby z kranu. Co się z nim później stało, nie wiem, bo oni - znaczy wojsko czy milicja - podchodzili coraz bliżej, z tarczami na wysokości człowieka i ludzie uciekali - niektórzy przez płoty na boki, część po schodach na pomost. I właśnie w tym momencie, kiedy ja zmierzałem do pomostu, została ranna kobieta w ciąży, również w twarz. Widziałem bardzo dobrze, zresztą przy niej byłem, że miała cały policzek, oko, okolice nosa poszarpane. Była w zaawansowanej ciąży, a stała się to na pierwszych stopniach prowadzących na pomost, patrząc od strony stoczni.

*Ireneusz Dunst /3/:* Mieszkałem na ulicy Czerwonych Kosynierów na przeciw pomostu, w mieszkaniu położonym na pierwszym piętrze. Zimą mam widok na Czerwonych Kosynierów i narożnik Czechosłowackiej i Marchlewskiego. Przed szóstą zbudziły mnie strzały. Wyskoczyłem z łóżka i do okna, bo sypialnię mieliśmy akurat w pokojowego pokoju, tego od strony lasu. Przypomniałem sobie bractwo do drugiego piętra, jak to człowiek pod oknami się chował, gdy strzelano, żeby nie oberwać kulki. Oczywiście płacz w domu, dziecko zaczęło beczeć. Żona jest nauczycielką, próbowała do szkoły się dostać, żeby dzieciaki porozprowadzać do domów. Lekcji nie było.

Ciemności były. Widać było tylko pomost pełen ludzi, peron pełen ludzi - zlaną falującą masę. Oprócz strzałów słyszałem rozpaczliwe krzyki, ale słów nie można było rozróżnić, wszystko się zlewało. Pociągi w tym czasie jeszcze dojeżdżały, kolejki tak z Wejherowa, jak i z Gdańska. Tłum wysypywał się z tych kolejek. Widziałem całą tę beznadziejność, że ci ludzie, którzy byli w tej masie, to nawet gdyby chcieli się cofnąć, nie mogli, bo nie było dokąd. Całe schody, góra pomostu i peron były zapchane ludźmi.

*Stanisław Stenka:* Potem ludzie wyszli do góry i nagle, ni stąd, ni zowąd, już byłem w tłumie. Zostałem trafiony w nogę. Wydaje mi się, że ten strażnik musiał się odbić o słup betonowy, który był w pobliżu, bo był tłok i w tłumie się to stało. Bałem się nawet krzyczeć, prosić o pomoc, bo... dziwiłem się, jak to możliwe, że można zostać postrzelonym w tłumie. Na jednej nodze doskakałem do wiaduktu, gdzie byli zdrowi, którzy poprzednio przez płoty skakali aż do pociągu; część z nich już niosła rannych. Wciągnąłem się po takiej barierze do góry, odskoniłem nogę, której zupełnie nie czułem, bo chciałem stanąć - i już mi się zrobiło ciepło i słabo, więc krzyknąłem do jednej kobiety, żeby mnie podtrzymała. Ona na widok krwi krzyknęła przerażona i wtedy wzięli mnie mężczyźni, zanieśli na drugą stronę, na ulicę Czerwonych Kosynierów; wsadzili mnie do samochodu. Widziałem, jak na ciężarówkę, starą ciężarówkę, ładowano postrzelonych. To było na Czerwonych Kosynierów o godzinie szóstej zero siedem. U góry było trzech mężczyzn i pomagali po prostu wciągać ludzi na samochód. Mnie wsadzono w prywatną taksówkę i pojechałem do szpitala.

W taksówce siedziałem po prawej stronie, obok mnie siedział facet, który mocno krzyczał, że jest postrzelony, a z przodu siedział mężczyzna postrzelony w kark. Przewiązałem nogę sznurkiem, żeby nie krwawiła, a ten mężczyzna obok mnie - później, za tą restauracją "Brudas"/4/ - to przestał krzyczeć. Jak wysiadałem z taksówki, chciałem mu pomóc, żeby go wyprowadzić, ale już tylko... Złapałem go, to się przewrócił i... Poszedłem do szpitala na izbę przyjęć, tam było pełno ludzi, krzyk tam był i płacz. Mężczyźni krzyczeli, że gwałt, że zabijcie, dobijcie, a kobiety - salowe i pielęgniarki - płakały.

*Jacek Węglarz:* Jechałem na pół do siódma do roboty. Wyjeżdżam z Gdańska-Oliwy, przyjechałem do przystanku Gdynia-Stocznia. Zjechały się tam dwie kolejki - ta z Gdańska spotkała się z tą z Wejherowa. Wsiadł nas tłum ludzi. I z tłumem tym podążałem po schodach z pomostu na wiadukt. Atmosfera już była napięta, bo już milicja, czołgi... Myśmy za bardzo nie wiedzieli o co chodzi,

/3/ Inżynier elektryk, zastępca kierownika w SKP.

/4/ Popularna nazwa restauracji "Renesans".

szliśmy, tak jak nas wszystko wysiadło, szliśmy. Powstrzymały nas strzały wtedy. Szłem w pierwszym czy drugim szeregu, już teraz nie wiem, ale w czołowie. Dostałem wtedy.

Osobiście nie słyszałem żadnych ostrzeżeń i stwierdzam, że żadnych ostrzeżeń nie było. Może wcześniej - tego nie powiem - ale jak ja się znalazłem w tym miejscu, nic nie było. No i padły strzały. Po pierwszych strzałach padłem ja, dostałem po nogach.

Z początku myślałem - bo to z Gdańska różne wersje były, bo strzelali wcześniej w Gdańsku - że to jakieś pociski paraliżujące, bo bólu nie poczułem w pierwszym momencie, tylko gorąco mi się stało strasznie, obróciłem się wkoło swojej osi i padłem na ulicę. To nie były przelewki, słyszę, że pociski koło głowy świsną, więc podniosłem się na tej nodze, podskoczyłem do barierki, złapałem się barierki, spojrziałem na nogę - widzę, że noga wisi wykrecona tak jakoś niesamowicie, krew się leje, więc zacząłem krzyczeć. Dwóch kolegów do mnie podskoczyło, wzięli mnie pod pachy, ściągnęli pod płótno. Jeden ściągnął mi szalik, związał mi nogę szalikiem... Więc, że żadnej komunikacji nie było, żadnych karettek ani samochodów, więc nas układali pod płótnem.

Nadjechała jakaś nyska czy żuk, więc ten tłum ludzi zatrzymał tę nyskę, żeby nas zabrać do szpitala. Kierowca trochę stawiał opory, bo się bał, bo on wiedział, że szpital jest obstawiony milicją, ale tłum nalegał mocno, więc otworzyli drzwi, naładowali nas tam. Poukładali nas tak jak śledzie, jedne na drugim, żeby jak najwięcej nas weszło, jeden drugiego okrwawił... Było nas dziesięciu albo nawet ponad dziesięć osób w tej nysce.

Kierowca podjechał pod szpital, był tam wielki tłum ludzi, więc ludzie nas wyciągali z tego samochodu, układali na posadzce w holu szpitala.

*Leon Kaszubowski:* Rano wstałem, wsiadłem na motorower i pojechałem w kierunku stoczni. Było przed szóstą, bo pój do siódmej zaczynałem pracę. Jechałem czerwonych Kosynierów, przy pomocy już widziałem dużo ludzi, stali na pomocy i na ulicy. Minałem ich i pod wiaduktem, Dworcową, pojechałem w kierunku Marchlewskiego. I przy sądzie już nie mogłem przejechać. Patrę - przy sądzie stoi czołg. Spotkałem kolegę i on mówi: "Gdzie ty się pchasz?". A ja mówię: "Co ty tu robisz, czemu do pracy nie idziesz?". A on mówi: "Bo tam nie idzie, nie przepuszczają". Ja mówię: "Co ty tam gadasz" - i chciałem jechać, a on mówi: "Stój wariacie, przecież tam mogą strzelać!". Ja mówię: "Co ty gadasz za głupoty, jak mogą strzelać? Do kogo?".

Ruszyłem, przepychając się przez ludzi, trudno było jechać, bo cała ulica była pełna ludzi. Jedni stali, inni szli w kierunku stoczni, inni uciekali z kierunku stoczni, ale ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, co tam zaszło i pchałem się do przodu.

Wtedy wyprzedziło mnie pogotowie, karetka pogotowia. No to pojechałem za nią, krótko za zderzakiem, tak jak to pogotowie wolno - bo nie mogło inaczej - jechało. Pogotowie ludzie przepuścili. Podjechałem na ten wiadukt - zobaczyłem kilka postaci leżących na ulicy i szpałar tych milicjantów czy żołnierzy, którzy tarasowali ulicę Marchlewskiego i Polska. Karetka pogotowia zatrzymała się po prawej stronie tego kordonu milicyjnego, a ja zrobiłem koło, objechałem tę wysepkę, to małe rondo, i stanąłem przy pomocy.

Przez megafon mówiła jakaś kobieta, że prosi stoczniovców, ro-

botników, żeby udali się do domów, że stocznia jest zamknięta/5/. W między czasie pojechała nysa, tę nysę ludzie zatrzymali i włożyli na tę nysę pięć osób: kobietę, która była ranna prawdopodobnie w brzuch - miała pod swoim płaszczem ubrany fartuch biały, taki roboczy, i ten fartuch cały był czerwony od strony brzucha, tak jak ją widziałem; jednego mężczyznę w krótkiej, brązowej kurtce - on tak wyglądał, jakby nie miał twarzy, po prostu trudno mi teraz powiedzieć, czy on twarzy w ogóle nie miał, był zmasakrowany, czy tylko był cały czerwony, bo nosa nie rozpoznałem, ani oczu nie było widać, i trzech innych mężczyzn. Jak ta nysa z rannymi zawracała, to znów rozległy się strzały i obok mojego motoroweru - tam jest trochę pod górkę - widziałem, jak leciały iskry. I dopiero sobie zdawałem sprawę, że z ostrych strzelają, bo skąd te iskry na ulicy.

Pojechałem za tą nyską - bo nyska trąbiła, ludzie się rozstępowali. Nysa pojechała z tymi rannymi lub pozabijanymi pod Szpital Miejski, ja za tą nysą też pojechałem i widziałem, jak ich wyjmowali z tej nyski. Lekarze stali w wejściu do szpitala, żeby szybciej pomóc. Przed szpitalem stali żołnierze. Zrobiło się zamieszanie, lekarze nie wiedzieli, kogo wyciągnąć wpierw i któryś z lekarzy w pewnym momencie krzyknął do żołnierzy, żeby przyszl krew oddać. Ale tam jeden powiedział: "Nie możemy, bo musimy stać na posterunku".

*Kazimierz Kunert* /6/: O godzinie szóstej rano pojechałem, jako dyżurujący lekarz pogotowia, na wezwanie do rodzącej. Mieszkała w baraku stojącym wtedy tuż przy wiadukcie. Wsadziliśmy rodzącą do karetki, wraz z nią wepchnięto tylu rannych, ilu się dało. Karetką odjechała, mnie wepchnięto tylu rannych, aby im udzielić pomocy innym rannym. Na skraju jezdni, tuż przy spadku nasypu leżał mężczyzna z rozerwanym oczodołem - był to już ewidentny trup. Podprowadzono mnie do innego, silnie krwawiącego, z przestrzależ klatki piersiowej. Nie miałem dosłownie nic mogącego służyć jako opatrunek. Powiedziałem, że potrzebna podkoszulka. Ktoś się rozebrał i podkoszulkę podał. Założyłem zaciskowy prowizoryczny opatrunek, wsadzono nas z rannym do taksówki, pojechalismy do szpitala. W drodze robiłem rannemu tamponadę, nie udało mi się jednak dowieść go żywego do szpitala.

#### SZPITAL MIEJSKI W GDYNI

*Henryka Halmann*: Za trzy minuty szósta, już po wybuchu, były strzały. No to my wszyscy na dół, do izby przyjęć. No i zaczęli zwozić. To było coś okropnego. Zabici podczas wojny, wkroczenie Rosjan - to nie było nic. Myśmy potąd we krwi chodzili. Nikt się nie zastanawiał, myśmy nie czekali na wózek, myśmy na operacyjną na drugie piętro na rękach nosili. Wszyscy - lekarze - pielęgniarki, palacze - kto był. Boże kochany! Ilu takich, cośmy donieśli,

/5/ Administracja stoczni, po nieudanej próbie zawiadomienia o blokadzie, wytypowała do odczytywania komunikatów swoją pracownicę.

/6/ Lekarz medycyny, komandor marynarki wojennej.

nie było już po co dawać na stół... I tam pod salą pokotem leżeli. Były też takie wypadki, że się doszło do samochodu, otwiera się drzwi - a tu trup leży gotowy.

I też nie zapomnę: jestem w izbie przyjęć, wprowadzają kilku stoczniowców. Jeden taki niepozorny, szczupłusieńki, drugi barczysty blondyn trzyma się za szyję i krew mu po ręce leci. To ja podchodzę do niego, chcę mu opatrunek założyć, a on mówi - jemu, on ma dzieci, mnie nic nie jest, jemu. Idę do tego bladziutkiego, a on tak mi się usunął... klap - i trup. A na paluszku miał obrączkę taką cieniutką jak niteczka.

Przez cały czas wejście do szpitala pilnowane było przez asystujących portierce palaczy, bo co i rusz milicja próbowała dostać się do środka. Raz nawet się wdarli - "my was skurwysyny wymordujemy! Wy buntowników ratujecie!".

#### SZPITAL MORSKI IM. CZERWONEGO KRZYŻA W GDYNIA-REDŁOWIE

*Barbara Bzowy:* Byłam pierwszym lekarzem, który tego ranka zdołał dotrzeć do szpitala i mogłam wesprzeć pomocą dyżurujących jedynie kilku lekarzy w ciągu nocy. Dosłownie w momencie przybycia i w ciągu jednej niemal chwili wniesiono nosze z kilkunastu karetok z ciężko rannymi. Nie da się opisać tego dramatycznego obrazu w izbie przyjęć szpitala. Może potrafiłby to postronny obserwator. Lekarz pracuje wówczas jak w transie, widzi przed sobą tylko jedno: pomóc szybko i najskuteczniej, tym bardziej, że było nas za ledwie czworo czy pięcioro. W kilkanaście minut potem zaczęli docierać przeróżnymi drogami następni lekarze i pielęgniarki. Zrobiło się trochę łatwiej, tym bardziej, że w szybkim czasie praca całego personelu szpitalnego została doskonale zorganizowana przez ówczesnego dyrektora szpitala doktora Władysława Czaplńskiego, nieżyjącego już obecnie, i mianowanego przez niego szefa całej akcji ratunkowej doktora Labuna. Zaczęła się normalna zorganizowana praca całego zespołu - ewakuacja łatwiej rannych do domu, dla stworzenia miejsc (szpital był jak zwykle przepełniony do ostatniego łóżka) i niekończące się operacje, opatrunki, transfuzje, kroplówki itd. Niby normalna praca lekarska, którą wykonuje się w szpitalu przez wiele lat, a jednak pozostaje w pamięci jak żywa, poprzez niepowtarzalny ludzki dramat. Nie można zapomnieć zgonu młodych, osiemnasto- dwudziestoletnich chłopców, a tym bardziej zapomnieć zgonu z powodu postrzału w płecy.

#### POCHÓD Z CIAŁEM NA DRZWIACH. TRASA: GDYNIA-STOCZNIA - PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ

*Stanisław Weber:* Po tym, jak padły strzały, ludzie się rozprysli. Część uciekała przez tory, peron na ulicę Czerwonych Kosynierów, reszta górą pomostu. Jak się uspokoiło, ludzie zaczęli podchodzić z powrotem, żeby zobaczyć, co się stało. Jeden z mężczyzn wszedł na pomost, nachylił się nad kimś leżącym, podniósł w górę biały, zakrwawiony szalik i krzyczał: "Zobaczcie, zabili kobietę!".

*Wojciech Drożak:* Ludzie byli na pomoście, na peronie, byli też na takim nasypie, który był między peronem pierwszym a drugim. Jak oni zaczęli strzelać, to ludzie uciekali z tego nasypu, tak że przewrócili ogrodzenie ze stalowej siatki. Uciekaliśmy na Czerwonych Kosynierów i tam zaczęliśmy zatrzymywać prywatne samochody, żądaliśmy paliwa - butelki braliśmy od ludzi z mieszkań - i, właściwie nie wiem dlaczego, z nerwów chyba, wlałiśmy benzy-



nę na pomost i żeśmy podpalili. Pomost się nie zajął, bo mokro, bo grudzień - no i cały czas strzelanina. Raz oni się wycofywali, raz my i cały czas takie przeganianie.

*Leon Kaszubowski:* Około godziny ósmej jechałem motorowerem ulicą Czerwonych Kosynierów w kierunku Chyloni. Kiedy zbliżyłem się do pomostu przy Gdyni-Stocznii zostałem zatrzymany przez robotników. Przewrócili mi motorower do góry nogami, wylali benzynę ze zbiornika do wiadra, bo - powiedzieli - idą podpalać pomost, żeby się milicja nie dostała do ulicy Czerwonych Kosynierów.

*Stanisław Kodsik:* Trzy razy ich odpychaliśmy, że się cofali. Z dołu, z torów podawano nam kamienie i waliliśmy tymi kamieniami. Pobiliśmy im tarcze, jednego nawet jego koledzy musieli odciągnąć, bo dostał. Kumpel dostał świecą żwawiącą w głowę, strasznie go szczypało, wpadliśmy do mieszkania - jak się schodzi na ulicę to pierwszy budynek - dali nam ciepłej wody, mydła, obmyliśmy mu głowę i z powrotem wróciliśmy.

*Wojciech Drożak:* Później nadleciał helikopter - no to już było później, gdzieś przed ósmą - i bardzo, bardzo nisko się opuścił, tak że widać było twarze siedzących w nim ludzi. Byli zadowoleni i uśmiechnięci i rzucali petardy. Jedna petarda spadła pod pomost. Siłę miała bardzo dużą, myśmy stali na pomoście, tam jest dosyć wysoko, a podmuch żeśmy czuli na pomoście. Z helikoptera nie dość, że rzucali petardy, to jeszcze strzelali otwartym ogniem do ludzi, którzy stali na dole. Nie wiem, czy mieli taki rozkaz, czy robili to dla przyjemności. Wtedy oni - to znaczy milicja czy wojsko - zaczęli się zbliżać. Byli w maskach gazowych i z odległości dziesięciu, piętnastu metrów zaczęli rzucać petardy. Więc te petardy żeśmy brali w ręce i odrzucaliśmy w nich z powrotem. I kamieniami rzucali tam wszyscy, tak żeśmy właściwie opanowali sytuację i ono musieli się wycofać. Więc później strzelali po prostu z broni palnej.

*Stanisław Weber:* Duża grupa młodzieży stała na pomoście i kamieniami walili o te metalowe rury i krzyczeli "gestapo". I tym najbardziej się dostało. Poszła następna seria.

*Paweł Marczewski:* Znajdowałem się mniej więcej na jednej trzeciej długości pomostu, gdy zobaczyłem, że niosą zabitego chłopca. Pamiętam, że na nogach miał takie popularne pionierki. Ten szczególnie utkwiał mi w pamięci. Ranę miał za uchem, była wielkości pół dłoni. Widziałem z bliska.

*Józef Bińczyk:* Tego chłopca niesiono najpierw na biało-czerwonej fladze, ale to nie było wygodne, więc razem z tą flagą położono go na drzewiach. Później, gdy pochód został rozbity, widziałem tę flagę zatknętą na słupie trakcyjnym na ulicy Śląskiej. Była tak samo rozerwana.

*Stanisław Weber:* Ten chłopiec zginął gdzieś około godziny 9-9.20. Niektórzy mówią, że został trafiony na samym pomoście, ja bym się z tym nie zgodził. Z tego, co wiem, został zastrzelony na wysokości restauracji "Renesans". W tym czasie szedł pochód pracowników TOS-u, tu od szkoły morskiej - i sądzę, że właśnie ci ludzie wzięli go na początku i nieśli. Dołączyłem do pochodu przy barakach na Czerwonych Kosynierów, gdy przyniesiono wyjęte z toalety męskiej w tym baraku drzwi, które posłużyły jako nosze/7/.

/7/ Pisz o tym Małgorzata Niezabitowska w artykule *Sstandard i drzwi*, "Tygodnik Solidarność" 1981, nr 37 (ostatni).



Byliśmy na wysokości skrzyżowania 3 Maja i 10 Lutego; przy banku stał skot. I jeden z kolegów nie wytrzymał nerwowo, wyskoczył na ten opancerzony samochód, rozchylił płaszcz, przyłożył do karabinu maszynowego i mówi: "Strzelajcie sukinsyny!" Żołnierz, który był w wieżyczce, minę miał niewyraźną, oficer, który był koło kierowcy, zachowywał się tak, jakby nic nie widział. Bo po prostu myślny przed nimi szli z tymi drzwiami. Ten kolega Fred płakał, krzyczał na tym wozie, a żołnierze byli jak sparaliżowani.

*Andrzej Galant:* Szliśmy 10 Lutego, Świętojańska, a po drodze wiadomo - "Jeszcze Polska nie zginęła", "Boże coś Polskę". I przy kościele Najświętszej Marii Panny dwóch weszło do kościoła, wyjęli krzyż i położyli mu ten krzyż w nogach. No i oczywiście obsypany kwiatami, poprzykrywany kwiatami. I dalej w górę ulicy.

*Stanisław Weber:* Jak żeśmy skręcali w ulicę 10 Lutego, widać było, że na Skwerze Kościuszki stoi milicja. Stała tam, gdzie Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej, ale bliżej Świętojańskiej, tak że wejście na Skwer Kościuszki było zastawione. Kiedy nasz pochód skręcił w ulicę Świętojańską, ta grupa milicji zamknęła pochód i posuwała się za nami w górę Świętojańskiej.

Z którejś kwiaciarni na ulicy Świętojańskiej zostały wzięte wszystkie kwiaty i zostały położone na tego chłopaka.

Doszliśmy gdzieś na wysokość "Kosakowa"/11/, czoło pochodu z tymi drzwiami znajdowało się już między ulicą Czołgistów a starym CPN-em, gdy od Miejskiej Rady Narodowej, od Czołgistów wyszła też milicja. Zostali wzięci w dwa ognie. Drzwi z ciałem położono na jezdni i ludzie się rozpierzchni. Cofali się do tyłu w Traugutta, uciekali w klatki schodowe, przebiegali na Władysława IV.

*Edmund Pepliński:* Gdzieś około godziny dziesiątej Świętojańska szedł kolejny pochód - ten z chłopcem na drzwiach. Na przedzie biało-czerwona, zbryzgana krwią flaga, niesiona w poprzek ulicy. Na zdjęciu jej nie widać, bo niesiono ją kilkanaście metrów przed chłopcem. Pewnie, że trzeba było zrobić jedno zdjęcie za drugim, ale ja wtedy czekałem na ten zasadniczy moment, na uchwycenie centralne tych drzwi, a wtedy niosący flagę byli już kilkanaście metrów dalej.

Na rogu Świętojańskiej i Żwirki i Wigury uformowała się w tym czasie milicyjna zapora. Składała się z gazików ustawionych tyłem do maszerującego tłumu, na których stały ucyelowane w tłum działka - takie wyrzutnie granatów z gazami łzawiącymi; gaziki jechały do tyłu, w stronę zbliżającego się pochodu, za gazikami szli milicjanci, ukryci za takimi krzyżackimi tarczami. Była to istna sceneria filmowa, tylko że wiało od niej niesamowita grozą.

Gdy pierwsze granaty wybuchły, nad idącym tłumem pojawiły się obłoki gazu, które szybko się powiększyły i zasłoniły widoczność. Kiedy ten gryzący, łzawiący dym opadł, ludzie z pochodu - którzy zostawili chłopca z drzwiami na ulicy i rozbiegli się - powrócili i ponieśli go dalej.

*Zdzisław Slesarow:* Doszliśmy na wysokość restauracji "Polonia". Z przeciwnej strony zbliżała się duża grupa uzbrojonych - w hełmach, z tarczami, pałami. Nadleciały też w to miejsce helikoptery - dwa albo trzy - które rozrzuciły dużą ilość gazów łzawiących.

Ja nie wytrzymałem tego. Byłem jednym z wielu, którzy próbowali chować się po bramacz, żeby choć trochę złapać świeżego po-

/11/ Sklep mleczarski na rogu ulic Świętojańskiej i Traugutta.

wietrza. W każdym razie ja się schowałem, uciekłem, schowałem się w tym budynku, gdzie jest "Polonia", tam był taki warsztat samochodowy.

Kiedy wyszedłem z tej bramy, patrzę - nie ma nieboszczyka, nie ma też dziewczyny z flagą.

*Andrzej Gałant*: A przy Prezydium zaczęło się znowu strzelanie. No to ci, co go niesli, położyli go z tymi drzwiami na ulicy, no i każdy w nogi, bo nikt nie chciał kulki dostać, no nie? Do przyjemności to nie należało. To było na wysokości starego CPN-u, teraz postawili tam ten nowy blok/12/.

*Kazimierz Kunert/13/*: Na polecenie komandora Góreckiego/14/ wyszedłem z Prezydium, by zbadać, czy człowiek leżący na drzwiach przyniesiony przez demonstrantów nie potrzebuje pomocy (leżał mniej więcej na wysokości apteki). Stwierdziłem, że nie żyje, nastąpiło już częściowe stępienie pośmiertne. Utkwiły mi w pamięci następujące szczegóły: drzwi, na których leżało ciało, różniły się od standardowych mieszkalnych - równomiernie obramowane trzy kwadraty. Do drzwi przymocowany był krzyż - nie pamiętam, czy umieszczono go od strony głowy, czy od strony nóg, pamiętam natomiast, że był przybity do drzwi dwoma gwoździami (krzyż był na podstawie), na krzyżu zawieszony wianek kwiatów. Stwierdziwszy, że żadnej pomocy leżący na drzwiach nie potrzebuje, wróciłem do Prezydium.

*Zdzisław Betlejewski*: Mogła być godzina siódma, gdy pochód znalazł się przed frontem budynku Prezydium. Drzwi ze zwiłkami położono na jezdni, w miejscu gdzie jest teraz postój taksówek. Wokół drzwi stanęli ludzie z flagami - taki rodzaj warty honorowej - dalej niezbyt liczny tłum. Chcieli rozmawiać z Mariańskim/15/. Spiewali hymn polski i Rotę. Było to niezwykle przejmujące.

*Teresa Remiszewska*: Koło dziesiątej zobaczyłam idący 10 Lutego od strony dworca pochód. Był nieduży, gdzieś sześćdziesiąt-siedemdziesiąt osób, chłopców w mundurkach szkolnych, takich garniturkach noszonych przez młodzież licealną. Na zwykłych, białych drzwiach niesli ciało.

Nim pochód do nas się zbliżył, zdążyliśmy przejść na drugą stronę ulicy 10 Lutego i wtedy zaczęły padać strzały. Z okna naszego domu naprzeciwko zobaczył nas znajomy i zaczął krzyczeć: "Uciekajcie, bo strzelają!". Weszliśmy do niego na piętro i z okien jego mieszkania, skąd jest doskonały widok na całą ulicę 10 Lutego, patrzyliśmy. Pochód już wtedy zaczął skręcać w prawo,

/12/ Świętojańska 110.

/13/ We wtorek 15 grudnia komandor Jaruszyński polecił komandorowi doktorowi Kunertowi zorganizować punkt ambulatoryjny w PMRN. Razem z komandorem doktorem Zdzisławem Betlejewskim przebywali tam od 15 do 19 grudnia - Betlejewski bez przerwy, Kunert z przerwą na odbycie wcześniej zaplanowanego dyżuru w Pogotowiu Ratunkowym (dyżur w nocy ze środy na czwartek). Do PMRN doktor Kunert wrócił ok. ósmej rano.

/14/ Komandor Jan Górecki był dowódcą obrony budynku PMRN, podlegali mu chorążowie z Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Z zewnątrz obstawiała budynek jednostka pomocnicza spod Szczecina, młodzi chłopcy, od dwóch miesięcy w wojsku.

/15/ Przewodniczący Prezydium MRN.

w Świętojańska. Przeszedł już chyba wtedy przez ostrzał, być może był trochę mniejszy, ale twardo szedł dalej. Po mniej więcej pół godzinie wyszliśmy z tego domu i zobaczyłam, że te drzwi z ciałem leżą na ulicy. Było to gdzieś na wysokości kościoła. Z kwaciarni położonej na przeciw kościółka wynoszono kwiaty i okrywano nimi ciało. Przy ciele ludzi było bardzo mało - może osiem lub dwanaście osób. Ludzie kwiaty przynosili, kładli na nim i uciekali. Wtedy też usłyszałam strzały - nie mam pojęcia, skąd mogły padać, nie potrafię nawet określić kierunku.

*Zdzisław Kalinowski/16/*: Zobaczyłem pochód za kościołem Najświętszej Marii Panny. Na drzwiach niesiono bezwładnie rzucone ciało. Umarły leżał na wznak, ręce rozkrzyżowane, nogi w lekkim rozkroku, kolana zgięte, twarz popielata, włosy blond. Niesiono go nogami naprzód.

Ludzie towarzyszący pochodowi - a był nieliczny - wołali: "Chodźcie z nami! Nie bójcie się!". Nie widziałem jednak, by do pochodu ktoś dołączył, choć na chodnikach były tłumy.

Pochód nagle zatrzymał się przy domu dawnego "Pagetu" i myślałem, że zwłoki spadną, bo jeden z niosących drzwi wskazywać zaczął na okna w górę. Drzwi uformowano tak, że były zwrócone w kierunku tego domu. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że ktoś z drugiego lub trzeciego piętra fotografuje.

Towarzyszyłem pochodowi do ulicy Obrońców Wybrzeża, w ulicę tę skręciłem i tu natknąłem się na gazik milicyjny. Wskoczyło z niego trzech roześmianych milicjantów. Pamiętam ich rozbawione twarze, wskazywali w tamtym kierunku i coś roześmiani mówili/17/.

#### POCHÓD Z PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ DO GDYNI-STOCZNI/18/.

*Zdzisław Slesarow*: Ludzie ze Świętojańskiej puciekali w różnych kierunkach. Ja po tym wszystkim, kiedy tego nieboszczyka już nie widziałem, ja się znalazłem na ulicy Władysława IV - tam w szkole, naprzeciwko budynku, gdzie znajduje się "Tomcio Paluch". I zauważyłem taką rzecz, która również bardzo mocno w mojej pamięci została zapisana. Chodzi o stację benzynową, która znajduje się przy Miejskiej Radzie Narodowej. Tam tłum bardzo młodych ludzi - dzisiaj mogę powiedzieć, że kto wie, czy to nie była młodzież szkół podstawowych, ale nie tylko, bo również i starsi - po prostu nacierał na grupę milicyjną, która nie wiem, czy chroniła tę stację benzynową, czy miała takie zadanie, czy po prostu bali się, żeby tłum nie zdobył paliwa i żeby nie poleciały butelki z benzyną.

/16/ Inżynier chemik, zatrudniony w SKP.

/17/ Między poszczególnymi opisami pochodu zachodzą rażące nieraz różnice co do czasu trwania, liczebności uczestników, przemierzonej trasy, wyglądu zwłok czy miejsca rozproszenia pochodu. Były zbyt istotne, by móc je wyjaśnić wyłącznie przeinaczeniami relacjonujących, wynikłymi niewątpliwie na skutek wpływu czasu i olbrzymich emocji, które towarzyszyły uczestnikom i bezpośrednim obserwatorom tamtych wydarzeń. Wątpliwości rosną przy konfrontacji zdjęcia zwłok na drzwiach z niektórymi ich opisami. Dopiero przesłuchanie zapisu rozmów milicji nasunęło rozwiązanie: prawdopodobnie były dwa, a nawet więcej, pochody z ciałem na drzwiach.

/18/ Krążyła pogłoska, że w Wyższej Szkole Morskiej władze mają rozmawiać z demonstrantami - stąd kierunek pochodu.

Ja, tak jak powiedziałem, stanąłem przy tej szkole, za filarem. Tam również padały strzały, ale nie umiem powiedzieć - bo nie widziałem - czy ktoś został zabity. W każdym razie leciały tam kamienie chodnikowe i z torów kolejowych, a milicja czy wojsko - nie wiem, kto bronił tej stacji benzynowej - od czasu do czasu przypuszczali szturm do tłumu.

*Leon Kaszubowski:* Między CPN-em a Prezydium co jakiś czas rozlegały się strzały i po każdym z tych strzałów widziałem, jak biegłem niesli ludzie kogoś rannego, widziałem to czterokrotnie. Tak to dokładnie było. Ci milicjanci ubrani normalnie nie strzelali do nas, tylko krzyczeli, a ci ubrani w te zielone mundury strzelali.

Trochę się po ulicy pokręciłem i zobaczyłem, że utworzył się pochód idący w kierunku stoczni i udałem się z tym pochodem w kierunku stoczni. Po tych strzałach, co tam były na Świętojańskiej, znowu ludzie wrócili w kierunku stoczni, znowu z chorągwiemi, ze śpiewem. To dość ciekawie wyglądało, bo z helikopterów rzucano gazy łzawiące. Niektórzy to nawet siusiali, żeby zagasić, niektórzy podawali przez okna czajniki, żeby zalać wodą, bo wtedy przestawał dymić, miejscami było nawet i wesoło, wołali, że jak ktoś chce siusiu, to niech polewa, żeby nie dymiło. Byli też tacy, co rzucali kamieniami do tego helikoptera, co całkiem nisko leciał. Były zdaje się trzy helikoptery.

*Edward Wolak:* Sziłmy Władysława IV w dół. Koło Pogotowia Ratunkowego stały również czołgi, latał tam helikopter, rzucał te pušky z gazem i inne i żeśmy się udali w kierunku Dworca Głównego. Część ludzi szła ulicą 10 Lutego, a część ulicą Zgoda, Starowiejską - na plac przed budynkiem sądu.

Na przedzie szła dziewczyna w jakimś czarnym okryciu, futrze czy coś takiego, szła z flagą biało-czerwoną.

Na trasie od sądu do wiaduktu - czyli na ulicy Marchlewskiego - było takie zagęszczenie gazu, że była ściana dymu. I ten cały tłum, większość ludzi idących w pochodzie, po prostu weszli w tę ścianę.

Ja nie wytrzymałem i z kilkoma kolegami weszliśmy na dworzec, stamtąd na ulicę Czerwonych Kosynierów i poszliśmy w kierunku Gdyni-Stoczni. Od pomostu dobiegały krzyki i strzały, ludzie biegali, mieszała się, jedni szli do Gdyni, drudzy w stronę Gdyni-Stoczni - w tym i my. I zauważyliśmy nadlatujący od strony głównego dworca helikopter - leciał tak po przekątnej w kierunku wiaduktu. Wtedy idący przede mną jakiś chłopak, którego nazwiska nie znam, dostał postrzał w głowę. Zauważyłem, że dostał w środek głowy. Skreślił się jak gasienica na patelni i upadł mi pod nogi, a z głowy taka czerwona galareta mu wyciekała.

Ja w tym samym momencie dostałem postrzał z góry, w prawe płuco. Wrażenie było takie, jakbym szybko biegł i uderzył w jakąś szybę, takie tepe szarpnięcie i szodko mi się zrobiło w ustach. Potem już nie pamiętam, dopiero oknałem się gdzieś na piętrze w trzecim budynku, koledzy mnie niesli. Ten budynek jest troszkę wyżej niż "Brudas", tam do klatki schodowej wchodzi się po schodach. Pukali do wszystkich drzwi, ale nikt nie chciał otworzyć. Na najwyższym piętrze weszli już na siłę. Ta pani dała mi jakąś pigułkę i wody sodowej.

*Ireneusz Dunst:* Córcie, gdy przechodziła, kazałem się schylić poniżej poziomu okien (mieszkanie na ulicy Czerwonych Kosynierów), bo kule zaczęły wiśtać. Z helikopterów zaczęto strzelać. Wyraźnie było widać, jak strzela facet bronią maszynową z helikoptera

w dół. W ogóle mowy nie ma o tym, że strzelanie z helikopterów to jest jakiś bluff. Było strzelanie z helikopterów na wysokośći ulicy Czerwonych Kosynierów.

*Edward Stobiński/19/:* Było trochę przed godziną dziewiątą, gdy natknąłem się na pochód idący ulicą Władysława IV. Zrobiłem wtedy moje pierwsze zdjęcie - widać na nim zwarty tłum, chorągiew biało-czerwoną i towarzyszące helikoptery. Pochód szedł od Prezydium w kierunku stoczni, zabrałem się z nim. Skreśliśmy w 10 Lutego. Poczta obstawiona była wojskiem, przy banku dodatkowo stał czołg. Szliśmy, a przez cały czas, kurcze, nad nami latały helikoptery i rzucały te gazy izawijające.

*Leon Kaszubowski:* W tym czasie, jak przechodziliśmy obok dworca, to akurat tak dokładnie pamiętam, było pięć po dziewiątej - spojrzałem na zegar stacyjny. I z tym całym pochodem udaliśmy się Marchlewskiego w kierunku stoczni. Z tym, że szłem z czołgą - przez taki płot nie przestrzeli. Dopiero później zobaczyłem, że ten cały płot był podziurawiony, że ten pięciocentymetrowy beton został poprzestrzelany. Za tym płotem szło więcej ludzi, a cały pochód szedł ulicą. I widziałem takiego mężczyznę w okularach, szczupłego, z siatką z chlebem - on szedł na czele pochodu. Doszliśmy do wiaduktu i jak tamci weszli na ten wiadukt, ja stałem na wysokości kiosku, którego w tej chwili już nie ma, rozległy się znowu strzały serią. Ludzie się momentalnie rozpierzchli. To dosłownie jakby szkło pękało - trach i nie ma nikogo. Pokładli się, na czterech pouciekali.

I zauważyłem, że na tym moście został ranny ten młody mężczyzna w okularach, ta siatka leżała obok i on leżał. A do tego mężczyzny kulał się - nie czołgał, tylko tak się kulał - prawdopodobnie jego kolega, widocznie chciał go ratować. W tym czasie, jak on się kulał, ja zauważyłem stojącą dziewczynę z kioskiem i ona wyszła - bo po tych strzałach się uspokoiło - stanęła tak z półtora metra od tego kiosku i wtedy usłyszałem strzał. I ta dziewczyna momentalnie uklękła i później tak bezwładnie głową na ulicę, na bruk. I ja sobie tak pomyślałem: "Zgłupiała, czy co? Raz strzelili i ona już leży?". Po prostu nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ona może być trafiona ostrą amunicją i pojedynczym strzałem. I było to w odległości gdzieś dwóch metrów ode mnie, rozdzielał nas tylko płot, ale tam brakło tych segmentów w płocie, były powyjmowane. Jak ten strzał padł, to ten chłopak, który się kulał do tego w okularach, poderwał się i zaczął uciekać i przeskoczył przez tę dziewczynę, a ja krzyknąłem do niego: "Weź ją, podaj mi ją!". I on się wrócił i mi ją podał. Ja ją wziąłem normalnie na rękę, tak jak się bierze dziecko i przebiegłem przez tory i podałem następnemu na peronie - to nie było więcej jak pięć metrów - podałem w górę i wtedy chlupła na mnie krew, bo zbierała się w płaszczu. To w tym czasie mnie tak krwią zalało, że ja miałem pełne rękawy, całe spodnie, buty pooblewane, całą wiatrówkę. W rękawy to aż do łokcia miałem nalane, bo przecież krew ciepła to ona leci jak woda, jak rtęć. Ja podałem następnemu, który leżał na tym peronie i on z nią poleciał w kierunku Czerwonych Kosynierów. A mnie się niedobrze zrobiło i nie poszedłem za tą dziewczyną, tylko znalazłem kałużę, obmyłem z butów i z kurtki ze skaju krew - bo to szło zmyć - ze spodni nie szło, z rękawów też nie; obmyłem trochę rękę.

Dokładnie pamiętam, że dziewczyna była niewysoka, ubrana w

/19/ Dziewiętnastoletni uczeń Technikum Hotelarskiego, autor wielu dokumentalnych zdjęć z grudniowych wydarzeń w Gdyni.

jasnoszary płaszcz, czerwone rajstopy i miała czerwoną torebkę. To dokładnie zapamiętałem. Na drugi dzień poszłem na Czerwonych Kosynierów i pytałem ludzi mieszkających przy pomocy. Mówili, że tak, że widzieli tę dziewczynę, że miała lat osiemnaście i że nie żyła. Ja nie potrafię powiedzieć stanowczo, że ona nie żyła, mogła przecież być nieprzytomna po strzale, ale ona tak krwawiła, że chyba trudno, żeby ją uratowali, to by było szczęście. Bardzo bym chciał wiedzieć, co się z nią stało.

*Edward Stobiński:* Pochód się rozleciał. Najgorsze było to, jak się patrzyłem, jak te czerwone kule lecą - czy w moją stronę ja się nie leci. Był tam taki płot odgradzający teren i taki chłopak leciał... Nie zdążył wejść na płot, po prostu po plecach dostał. Ludzie brali zabitych i rannych i odnosili na bok. Część ich górrą - tym pomostem - od razu przenosili na Czerwonych Kosynierów, tam łapali jakieś bagażówki, jakieś prywatne wozy, taksówki, co się dało i rannych ładowali. Nie wszyscy samochodziarze chcieli zabierać.

Przy pomocy zrobiłem kilka zdjęć. Najciekawsze nie bardzo wyszło dlatego, że nie przestawiłem z dalekiej odległości na bliską i ta twarz jest bardzo nieostra. Jest to twarz dziewczyny w wieku mniej więcej siedemnastu lat. Więcej mieć nie mogła. Czterech mężczyzn ją niosło. Miała jasne włosy, na szyi biały szalik; miała postrzał w głowę - gdzieś z tyłu z lewej strony. Widziałem z odległości trzydziestu centymetrów. Ona nie żyła. Podszedłem z aparatem do tej dziewczyny, chciałem jej zrobić zdjęcie, to najpierw mnie wyganiali. A później jeden mówi: "Niech robi, będzie na pamiątkę". Zrobiłem to zdjęcie i zaraz uciekłem.

Pojechałem kolejką do Gdyni Głównej, wysiadłem razem z innymi - od strony Czerwonych Kosynierów usłyszeliśmy strzały. Chcieliśmy przejść do 10 Lutego pod wiaduktem, ale stał tam topaz i nas nie puścili. Oficer powiedział, żeby nie przechodzić, bo będzie strzelał. Taki młody chłopak, pamiętam, wyskoczył naprzód, rozdarł koszulę - strzelaj! I on strzelił, ale w górę. A grupa szła dalej. Wtedy ten oficer dał rozkaz żołnierzowi, żeby strzelał. I żołnierz zaczął strzelać, ale nie po ludziach, tylko w górę.

Wiara się trochę przestraszyła, cofnęli się, nie poszliśmy pod wiaduktem, tylko z powrotem tunelem i do 10 Lutego. A ja poleciałem na skróty do domu, bo zaciął mi się aparat, film się zerwał i nie mogłem robić zdjęć.

NA ULICACH GDYNI. GODZINY 9<sup>00</sup>-14<sup>00</sup>.

*Zbigniew Grabowicz:* Od momentu, gdy zrobiło się jasno, ciągle krążyły helikoptery, obraz był zaciemniony dużą ilością gazów. Potem, ale też w godzinach przedpołudniowych, zobaczyłem zaskakujący widok. Szła jakaś szkoła. Od dworca, 10 Lutego, szły w szyku dzieci - trzecio- lub czwartoklasiści - i skandowały: "Wojsko z nami!". Dziś się dziwię, że nauczyciele - czy kto je prowadził - zdecydowali się wyprowadzić dzieci w taki burzliwy czas.

*Franciszek Kaszubowski:* Przyjechałem z Kosakowa, położonego na Kępie Oksywskiej, gdzie byłem proboszczem, do Gdyni po chleb. Jechałem samochodem z kierunku Chyloni ulicą Morską/20/ i na wysokości pomostu przejściowego do stoczni zatrzymała mnie grupa pobitych robotników. Zatrzymywali chyba zresztą wszystkie samochody i wsadzali do nich rannych, mnie też poprosili. Godzina



była circa dziewiąta - o siódmej odprawiłem mszę i zaraz po niej się wybrałem, musiała to więc być ta pora. Do mojego samochodu wsadzono trzech młodych mężczyzn w wieku dwadzieścia pięć-trzydzięci lat. Ten, który usiadł z przodu był ciężko ranny, miał przetrzała przez płuca, broczył krwią i charczał, ale był przytomny, pamiętam, jak wycharczał z trudem: "ja panu... za...brudzę samochód". Ja byłem tak wstrząśnięty...

Od pomostu słychać było strzały, ludzie kryli się między wagonami, stał tam jeden pociąg elektryczny.

Z rannymi pojechałem w dół. Pod wiaduktem stały dwa czołgi blokujące wjazd, ustawione w kierunku Morskiej. Jechałem na sygnale, trąbiłem - jeden czołg się cofnął, zrobili mi miejsce, przejechałem. Potem jechałem ulicą 10 Lutego, przed pocztą skrećcie w lewo i Starowiejską pod szpital. Widziałem, że na dachu poczty stoją karabiny maszynowe, a przed budynkiem wojsko czy milicja. Dojechałem pod szpital. Stali tu szpalerami lekarze i pielęgniarki gotowi do niesienia pomocy. Za mną nadjeżdżały następne samochody z rannymi. Lżej rannych lekarze opatrywali i wysyłali od razu do domów w obawie przed milicją, opatrunek - i uciekaj, bracie. W szpitalu pozostawiali tylko najcięższe przypadki, to wiem z krótkiej rozmowy z lekarzami.

Ze szpitala pojechałem w kierunku Gdańska. Ulicą Władysława IV szły w kierunku Urzędu Miejskiego grupy demonstrantów niosąc transparenty, flagi. Szły wolno, przepisowo prawą stroną, przepuszczając pojazdy. Całe miasto było zadymione dymem łzawiącym, jechałem bardzo wolno, mijałem jedną grupkę, nad głowami wisiały helikoptery. Grupa było trzy lub cztery po jakieś trzysta, pięćset osób. Najdokładniej pamiętam grupę drugą od czoła. Na przedzie szły dwie dziewczynki w wieku mniej więcej dwudziestu lat, jedna blondynka o długich włosach, druga czarnulka, niosły transparent tej treści: "Krew naszych braci". Przesunąłem się na przód i widziałem transparent dokładnie. Wyprzedziłem pochody i przy Wzgórzu Nowotki skręciłem w lewo. Na uliczce równoległej do Kopernika stało kilka autobusów wypełnionych milicjantami. Ulokowałem wóz blisko skrzyżowania i pobiegłem zobaczyć, co się stanie z ludźmi z pochodów. Po drodze widziałem przecież milicjantów, którzy stali przy stacji benzynowej i przy Prezydium.

Pierwsza grupa już przeszła i była najprawdopodobniej rozbita, bo słyszałem krzyki, widziałem jak milicjanci ciągnęli ludzi za ręce - nogi tych ludzi wlokły się po bruku - wciągali do Prezydium. Stałem w odległości około dwustu metrów w prostej linii od kościoła Ojców Franciszkanów - nadchodziła właśnie ta grupa z tymi dziewczynkami. Widziałem transparent i widziałem dumne dziewczyny, które go niosły. Wtedy usłyszałem serie z automatów, z pistoletów maszynowych i pojedyncze strzały i widziałem, jak ta grupa się rozpierzchała, ludzie uciekali w kierunku wału, torów kolejowych, a na asfalcie zostało kilkanaście osób. Transparent padł na ulicę.

*Edmund Peplński:* Jechałem samochodem ulicą Władysława IV w kierunku Gdańska. Mogła być godzina dwunasta, trzynasta w południe. Jak dojechałem do ulicy Czołgistów, zobaczyłem walkę - milicja kontra tłum. Z jednej strony granaty łzawiące i zasłonowe - z drugiej kamienie. W pewnym momencie tłum natarł, milicja się cofnęła, ja na gaz i przejechałem kilkadziesiąt metrów. Znalazłem się przy dworcze kolejki elektrycznej Wzgórze Nowotki, gdy nastąpił kontratak milicji. Tłum był na torach, miał więc do dyspozycji odpowiedniej wielkości kamienie, grad kamieni sypał się na milicję, a milicja strzelała. I słyszałem, że strzelała nie na

żarty. Wycofałem się na wstecznym biegu i czekałem. Cały czas latały helikoptery, cały czas rzucały granaty. Helikoptery były o-twarte, widać było siedzących w nich ludzi, widać było, że mają karabiny. Nie widziałem, by z tych karabinów strzelali, akurat ja nie widziałem, ale wiem, że ludzie byli ranieni w czubek głowy i w ramiona, więc z tych helikopterów strzelano do ludzi.

*Stanisław Kodziak*: Helikoptery latały, zrzucały petardy i świece dymne. Mali chłopcy latali z wiadrami z wodą, te świece wrzucali do wiadra. Dlatego ci z chłopaków, którzy byli po wojsku, uważali, żeby nie chwytały petard, tylko świece, bo petarda może palce poobrywać.

*Teresa Remiszewska*: Była mniej więcej godzina jedenasta, gdy od-wiedziłam swoją matkę mieszkającą przy ulicy Bema. Zastałam ją w stanie kłopotliwego szoku, wybierała się szukać swoje dzieci, zda- wało się jej, że to okupacja niemiecka. Nie wiedziała, co się dzieje, była przekonana, że zaraz przyjdą i zabiorą jej dzieci. Wróciła pamięcią do momentu, gdy stała w 1941 roku pod więzie- niem Montelupich, by zobaczyć Kysię prowadzoną na przesłucha- nie przez gestapo.

Koło godziny pierwszej w południe słyszałam liczne serie strzałów dochodzące od strony Prezydium i Wzgórza Nowotki. Gdy strzały ucichły, postanowiłam, że wracam do domu. Na Świętojań- skiej zobaczyłam taki obraz: na wysokości Prezydium stało kil- kuset milicjantów - z długimi pałami, z tarczami, w przeźroczy- tych maskach z pleksiglasu - a naprzeciw nich tłum ludności cy- wilnej: kobiety, młodzi mężczyźni, robotnicy. I wyglądało to tak, że gdy tłum ludzi napierał do przodu - milicjanci się cofali, po chwili sytuacja się odwracała - atakowała milicja, cofał się tłum. Wyglądało to groteskowo, jakby ćwiczenia do filmu histo- rycznego.

*Stanisław Kodziak*: Gonili nas aż do hotelu/21/, przez tory. Ucie- kaliśmy zygzakami, bo oni przysiadali i strzelali z pistoletów. Ja uciekłem na cmentarz, a ci, którzy do hotelu wpadli, to już pożał się Boże, bo tam za nimi wpadła milicja.

*Paweł Marczewski*: Cofneliśmy się w stronę pogotowia. I tam wi- działem, jak dwóch facetów wystrzeliło do helikoptera rakietą okrętową. Jeden miał pod płaszczem taką rurę, majstrowali przy tym i wystrzelili. Ale nie trafili. Trzeba powiedzieć, że ten he- likopter odleciał, potem przyleciało kilka i zarzuciły gazami.

*Eleonora Karczeńska*: Szłam na obiad o godzinie trzynastej. Nad pogotowiem unosiła się chmura gazów. Myślałam sobie: "Boże, na to pogotowie, gdzie przywożą tylu rannych, to jeszcze im utru- dniają życie". Bo tam bez przerwy krążyły helikoptery i zrzuca- ły gaz.

*Paweł Marczewski*: Ludzie stali przy pogotowiu, chcieli się dowie- dzieć, ile jest ofiar. Stało tam też wojsko, z żołnierzami żeśmy rozmawiali. W pewnym momencie od Władysława IV przyszedł mili- cjant. Przyszedł swobodnie, więc tam u góry musieli już wszys- tkich rozgonić, i zaczął rozmawiać z jednym z oficerów siedzą- cych w wozie. Ludzie byli z początku zaskoczeni, ale pomału za- częli się do niego dobierać, naciskać, popychać - oberwał coś w sumie. Wyskoczył z tej kupy ludzi, uciekł ze dwadzieścia kroków i zaczął się odgrażać jak chłopak na podwórku, że ja wam pokażę.

*Barbara Jurkowska:* Była godzina trzynasta, trzynasta trzydzieści, gdy tunelem od ulicy Śląskiej przeszłam pod pogotowie. Stała tam zimna kuchnia polowa, a przy niej młody, potężnych rozmiarów chłopak, nie wiem, czy już po przysiędze. Pytam, skąd są. Mówi, że z Krakowa przyjechali, jechali całą noc i powiedzieli im, że Niemcy zagrażają Polsce. Ten chłopak miał takie zmarznięte, fioletowe ręce i trzymał w nich dość dużą serdelową kiełbasę. Spojrzałam na te ręce i żal mi się tego chłopaka zrobiło. Patrząc, a tu panie z tego domu, gdzie radia i telewizory, niosą w bankach gorącą zupę i mówią: "Jedzcie, dzieci". I w tym momencie idzie tyraliera od Władysława IV i od Świętojańskiej, pod kątem prostym zakręca w naszym kierunku milicja. To my wszyscy w nogi. Młodzi, zgrabniejsi, to przez płot, przez tory, a ja uciekałam pod tunelem. Myślałam, że już do dziecka nie dojdę, że mnie zatratują pod tym tunelem.

*Zbigniew Grabowicz:* Wieczorem ulicą Władysława IV - to była eksponowana ulica, szczególnie na wysokości Komitetu Miejskiego - przechadzały się grupy w mundurach wojskowych, hełmach, z pałkami. Wydaje mi się, że zupełnie niepotrzebnie, bo ja nie zaobserwowałem, żeby były jakiegokolwiek próby zakłócenia spokoju. Poza tym nic się specjalnie nie działo. Taki stan trwał aż do momentu tego słynnego przemówienia Gierka. Dosłownie przemówienie się skończyło, słyszymy szum, wszystko sprzed Komitetu zniknęło, odjechało. Znowu niestrzeżony.

#### KRWIODAWCY

(?) *Szymański/22/:* W czwartek rano wzięłem samochód, pracowałem jako zaopatrzeniowiec, i wyjechałem służbowo. Po obejrzeniu tego, co się dzieje w mieście, zgłosiłem się do dyrektora Szpitala Miejskiego, doktora Gołębiowskiego, oferując pomoc. Było to samorzutne, poza mną zgłosiło się jeszcze kilku kierowców.

Otrzymaliśmy ze szpitala białą chragiew z czerwonym krzyżem, na planekach wymalowaliśmy czerwone krzyże, a na burtach samochodów napis "Krwiodawcy". Na zlecenie szpitala jeździliśmy po różne środki lecznicze do szpitala w Redłowie, w tym czasie nie było łączności telefonicznej. Ja zrobiłem chyba pięć kursów. I za każdym razem, kiedy jechaliśmy do szpitala w Redłowie, zabieraliśmy krwiodawców do stacji krwiodawstwa. Przed szpitalem stał tłum ludzi i jak ktoś ze służby zdrowia ogłosił, że potrzebna krew dla rannych, to normalnie kobiety, mężczyźni ładowali się do samochodu do granic możliwości. Woziliśmy ich właśnie do szpitala w Redłowie, a z powrotem przywoziliśmy leki; pamiętam, że jakąś kurarę przywoziłem.

Za każdym razem jechaliśmy ulicą Władysława IV, a tam stał tłum demonstrantów. Tłum się otwierał, wjeżdżaliśmy, ludzie podnosili plandekę, oglądali, czy przypadkiem - tak przypuszczam - munduru jakiegos nie ma, przepuszczali nas wolno i jechaliśmy dalej.

---

/22/ Wywiad udostępniony przez Wytwórnę Filmów Oświatowych z Łodzi, która na zlecenie Zarządu Regionu NSZZ "Solidarność" w Gdańsku nakręcała film o grudniu.

*Eleonora Karczewska:* Podeszłam pod Szpital Miejski, widziałam, jak organizował się samochód z krwiodawcami. Normalny autokar pełen ludzi, jakiś męczyzna farbą białą zamalowywał okna, a za nim drugi pędzlem zamoczonym w czerwonej farbie bach, bach - takie czerwone krzyże malował na tych oknach i autokar odjechał w kierunku szpitala w Redkowie.

*Barbara Bzowy:* Postawa robotników w stosunku do MO wyrażała się najdotkliwiej w czasie oddawania przez nich krwi dla rannych. W tym dniu jako internista badałam przez kilka godzin ludzi zgłaszających się celem oddania krwi. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było. Przyjeżdżał autokar za autokarem. Byli to na ogół prości robotnicy ze stoczni, ale z taką powagą i godnością, że trudno ich zapomnieć. Kiludziesięciu ludzi czekało w pokoju przez wiele godzin, jak mur, w zupełnym milczeniu. Nie było wśród nich ani jednego, który na moje pytanie, czy chce oddać 200 mililitrów czy 400 mililitrów krwi odpowiedziałby, że 200. Każdy chciał oddać, ile tylko można, ale większość żądała zapewnienia, że tej krwi nie oddamy milicjantowi. Trudno było wówczas dziwić się tej postawie. Tych ludzi nie obowiązywała etyka lekarska. Ich postawa była jednak wysoce patriotyczna, solidarna i odpowiedzialna.

#### W PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ

*Szymański:* Była godzina czternasta, gdy za szóstym razem jechaliśmy do banku krwi we Wrzeszczu. Miałem pismo od dyrektora szpitala - już nie pamiętam, jakiej grupy krwi akurat zabrakło. Ponieważ za ostatnim razem widzieliśmy, że na Władysława tłum zgęstniał, pojechaliśmy ulicą Świętojańską. Na wysokości Prezydium, po prawej stronie, stał oddział milicji, demonstrantów tam nie było. Jechaliśmy na światłach i klaksonie. Zastąpili nam drogę oficerowie milicji, było ich pięciu czy sześciu, siłą rzeczy kierowca się zatrzymał. Otworzyli drzwi - kierowcę wzięli z tamtej strony, mnie z tej. Chyba ze trzech oficerów milicji usiłowało mnie zasłonić przed rozjuszonym tłumem w mundurach - każdy z nich trzymał pałkę i na wyścigi, przez głowy tych oficerów, zaczęli nas bić. Ci szeregowcy mieli nieprzytomny wzrok, jakiś grymas wściekłości, zupełnie nie do pojęcia. Do dziś mam ten obraz w pamięci. Ci oficerowie usiłowali tam zasłaniać łokciami, ale to nic im nie pomogło.

Jakoś z tego wybrnąłem wyskakując z drugiej strony, a tam stał komandor Marynarki Wojennej, trzymał kamerę w rękę, kręcił i jednocześnie wygrażał: bandyto, z więzienia nie wyjdiesz. Następnie dwóch, chyba szeregowych, wykreśliło mi ręce do tyłu i podprowadzili do podpułkownika milicji, który akurat coś tam nadawał do tej "łoki-toki". Odniosłem wrażenie, że to kierujący akcją. Ponieważ akurat rozmawiał, więc pokazał ręką na wejście do gmachu Prezydium.

Te obrotowe drzwi w Prezydium były złożone, milicjanci stali z dwóch stron co krok, co dwa kroki, w takich dwóch rzędach przez cały hol i przez ten korytarz prowadzący do sali kolegium. I oczywiście cały czas bili. Pamiętam, usiłowałem zasłonić twarz, a miałem na lewej ręce zegarek. Któryś z nich szedł za mną i bijąc usiłował trafić w zegarek, rzeczywiście trafił i zegarek się rozleciał.

Będąc w środku tego szpaleru zobaczyłem na lewo otwarte drzwi. Więc popchnąłem barkiem któregoś z tych milicjantów stojących przy drzwiach i wpadłem w te drzwi na lewo, wbiegłem do pomiesz-

czeń piwnicznych Prezydium, wypadłem na zaplecze Prezydium - tam jest taki kuty płot - wskoczyłem na kibel, rzut na ten płot na brzuch i przeskoczyłem na drugą stronę.

Z lewej strony stało wojsko, a obok grupa trzydziestu, pięćdziesięciu milicjantów. Podbiegłem do oficera, pamiętam, taki młody podporucznik to był, usiłowałem mu coś powiedzieć, ale zanim to zrobiłem, z wyścicia, którym się wydostałem, wyleciał milicjant i zaczął krzyczyć: "Trzymajcie!".

Złapał mnie, znowu ręce do tyłu wykręcił i jeszcze raz przez ten szpaler. Od momentu, jak się wpadło między te dwa szeregi, to się nic nie widziało, niosło jak na skrzydłach aż do tej ostatniej sali po prawej stronie. W momencie, kiedy wpadłem do tej sali, ten, który się tak jakoś przytrzymał do mnie, zabrał mi dowód osobisty.

Pierwszy widok, to kilkudziesięciu młodych ludzi siedzących na podłodze. Miałem to pismo ze szpitala, usiłowałem je pokazać, ale (...) milicjant popchnął mnie do kąta i zajął się młodym człowiekiem lat około dwudziestu, który za mną wpadł w tym momencie przez ten szpaler. Tą operacją kierował porucznik milicji, pamiętam taki szczegół, że miał włosy takie typu hitlerowskiego, opadające na prawe czoło i cały czas mu latały, bez czapki był, do pomocy miał pięciu czy sześciu milicjantów i tak długo lali tego chłopaka, aż osunął się na parkiet. Wtedy któryś z tych milicjantów położył mu rękę, o tak, na parkiet i bił pałką. Ten chłopak właściwie nie mógł już reagować, on tylko jęczał, usiłował coś wyjęczeć - ja jestem robotnik, stoczniowiec... A tamten: "Ja ci skurwysynu dam stoczniozca, robotnika". Jeszcze pamiętam taki szczegół, jak ten porucznik mówił: "Nie bijcie go po głowie, bo to otepia i on nic nie czuje".

W czasie, gdy tego chłopaka bili, podszedł do mnie kierujący akcją porucznik. Tłumaczył mi, że jechaliśmy tą zaimprovizowaną karetką po krew do Wrzeszcza. On nie słuchał w ogóle moich wyjaśnień, nawet nie chciał oglądać zaświadczenia ze szpitala, a dosłownie powiedział mi: wam dobrze z oczu patrzy, chodźcie, ja was wyprowadzę. Jak zapytałem o dowód, to powiedział: "chcecie tu zostać?". I wyprowadził mnie z budynku, odprowadził aż do rogu Czołgistów i Bema - tam od Prezydium jest dziesięć metrów. Tam stali milicjanci w grupkach po cztery, pięć osób co jakieś dziesięć, piętnaście metrów. Podeszliśmy do pierwszej grupy i porucznik milicji powiedział: puścić wolno, podać po linii. No więc wyszedłem aż do ostatniego tego niby posterunku, cały czas jeszcze zdenerwowany - człowiek nic nie czuje w takim momencie - i pytam jednego milicjanta, co mam robić. Spodnie i płaszcz porwane, jak się tu teraz pokażę. A on mówi: "Pan nie jest w mundurze, może pan wejść do któregoś z mieszkań". I faktycznie wszedłem do którejś bramy na Czołgistów, u jakiejś babci obmyłem się, zszyła mi prowizorycznie te wszystkie rzeczy.

Andrzej Gawlik: Na Śląskiej - ja wiem? - stałem godzinę, dwie. I mówię - no to trzeba iść do domu. Idę. Przeszedłem pod wiaduktem w kierunku Czołgistów - stoi patrol. Proszę dokumenty. Taki jeden się odzywa: "Ty skurwysynu, ty masz za długie włosy, pozwól z nami". Ja mówię: "Czemu nie?". Idziemy. Prowadziło mnie trzech. Przed głównym wejściem do Prezydium stały dwa czołgi. Jak dochodziliśmy do drzwi, czułem, że coś się stanie. Nie zdążyłem się całkowicie zastonić i dostałem w pysk, aż na czołg przewróciłem się. W pysk dostałem raz, od pozostałych ciosów się zastoniłem. No i weszłem. Przez ten korytarz, do ostatniej sali na prawo

między milicjantami. No i każdy próbował sięgnąć pałką, a sięgali po nogach tymi siedemdziesięciometrowymi pałkami. Weszłem na salę i chwilę siedziałem. Było tam już wielu mężczyzn ostrzyżonych i spałowanych. Siedzieli na podłodze jeden przy drugim, jak śledzie w beczce. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było.

Za chwilę przyszło czterech czy pięciu milicjantów - rozbierać się. Zdjąłem płaszcz, byłem w marynarce i w polo. Marynarkę też zdjął. Bo za grubo było. No i zaczęło się pałowanie. Potem - klękniij. "On ma trochę za długie włosy, trzeba mu je trochę skrócić, żyłeczki nie mamy, ale mamy scyzoryk". Ten scyzoryk nie ciał, on mi normalnie rwał. I tak w pięciu miejscach. Tu trochę z boku, trochę tu - i rzucał te włosy na podłogę. I mówi: "Poddnieś te włosy, skurwysynu, podłoga nie może być brudna, wkładaj te włosy do rozporoka. Chcac nie chcac, nie chciałem dostać pał, musiałem te włosy do rozporoka wkładać.

Jak już byłem "ostrzyżony", spałowany i czekałem nie wiadomo na co, weszło kilku ormowców. Był między nimi jeden, którego znałem, Rosiński. I ten pan Rosiński powiedział: "To są ci, którzy mają za mało chleba". Ale on mnie wtedy nie widział. Zaczęli się rozglądać, szukali znajomych czy kogo, i on mnie zobaczył. Później mnie z tej sali wywołał i ze mną rozmawiał. Nawet parę papierosów mi dał. Wtedy był grzeczny. "Andrzej, ja ciebie znam, jesteście dobrzy koleczy, postaram ci się załatwić, idź na salę, ja będę działał.

Aha. Tam jeszcze była akcja, że wszedł marynarz - bo tam weszło jeszcze czterech czy pięciu gliniarzy - marynarz ze służby czynnej z pistoletem maszynowym i tych gliniarzy "grzecznie" wyprosił: "Proszę iść stąd, proszę ich zostawić, proszę wychodzić". Ja już tego marynarza później nie widziałem, choć kilka razy wychodziłem na korytarz i w sumie sprzątnąłem nawet cały korytarz. Jak szedłem do toalety, widziałem jednego lekarza w białym fartuchu, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

Około godziny dwudziestej drugiej podjechała ta duża kabaryna i po kolei pakowali. Nie wiem, jak ten mój znajomy ormowiec zadziałał, ale ja do tej więziennej kabaryny nie wsiadłem i nie pojechałem do Gdańska. Dokumenty moje w każdym razie pojechały. Wszystkich wywieźli. Jak ludzi wyprowadzali, kazali im ubierać się w swoje ubrania - leżały złożone na kupe - i rewizja. Lus-terka, jakieś twarde rzeczy, to wszystko zabierali no i odjazd, odjazd. Mi kazali posprzątać w tym pomieszczeniu. Trochę szkła tam było potłuczonego, jak pozamiatąłem, wyglądałem tak, jakbym przez komin przeszedł. Potem mnie wypuścili. Mówię: "Dajcie jakąś przepustkę, przecież godzina milicyjna. - Idź, jakoś przedziesz". No i szczęśliwie jakoś dotarłem do domu.

*Wiesław Kasprzycki/23/*: Siedziałem Aleją Czołgistów w górę, natknąłem się na oddział milicji. Pierwsza rzecz: pokazać ręce. Pokazałem i pytam, czy mogę przejść, bo idę do matki. Zezwolili. Uszedłem cztery, pięć kroków - poczułem ból w karku, na jakiś czas skończył mi się film. Odzyskałem przytomność w momencie, gdy przenoszono mnie przez obrotowe drzwi do Prezydium. Znalazłem się na posadzce. Dopadło mnie trzech, zaczęli kopać. Nie

/23/ Siedemnastoletni uczeń zawodowej szkoły stoczniowej, syn Henryki Halman (patrz następna relacja).

straciłem wtedy przytomności, to było tylko takie przywitanie. Kazano mi się podnieść, poprowadzono na pierwsze piętro.

Na pierwszym piętrze po lewej stronie była wnęka z wieszakami, jak w szatni. Tam kazano mi usiąść obok dwóch - chyba młodszych, bo mniejszych - zabezpieczanych chłopaków. Siedziałem tam, z określeniem czasu będzie krucho, aż doprowadzono innych, tak że zebrało się ze dwadzieścia osób. Wtedy przyszło trzech czy czterech w panterkach, z pałami takimi do ziemi, żeby się oprzeć jak na mieczu, kazali zejść na dół. Zaprowadzili nas do sali kolegium, sprawdzili stan, kazali usiąść na podłodze, ręce trzymać za sobą. Wszyscy posłusznie usiedli. Zamknięto drzwi, więc zaczęliśmy szeptać. Wpadło dwóch - bili jak popadnie i gdzie popadnie.

Kiedy sala dobrze się napełniła, może po dwóch godzinach, przyszedł ktoś wyższy rangą, kazał usiąść jak poprzednio, po tu-recku, z rękami do tyłu, ale w szeregach. Zaczęli nas "strzyć" takimi myśliwskimi nożami. Ja nie miałem długich włosów, to bardziej cierpiałem. Równocześnie przynieśli taki drewniany fotel - jest tam do dziś, siadają w nim przewodniczący kolegiów - wybierali niektórych, kazali przekładać się przez ten fotel i bili.

Nadszedł jakiś nowy, też w panterce. Co wy tu robicie? Sprawiał wrazenie zaskoczonego. Daj spokój - powiedział jeden - chodź do bufetu, napijemy się czegoś. Minęło może z pół godziny, wrócili i ten facet, który się dziwił, stał się gorszy od kolegów. Bili. Na osłep, na odlew, gdzie popadło. Cofaliśmy się pod jedną ścianę, pod drugą. Skóra po uderzeniach zaczęła pękać, krwawić, na podłodze zrobiła się maź z krwi i włosów.

Zaczęli wzywać na przesłuchanie na pierwsze piętro. Tam wchodziło się za jakieś przepierzenie i na prawo do pokoju. Jak się później dowiedziałem, był to ówczesny pokój prezydenta miasta. Duże puste biurko, czterech drabów pod ścianą i za mniejszym biurkiem jeszcze jeden drab. Ten przy biurku odszukał moje dokumenty - zabrali je na początku - policzył w imieniu i nazwisku litery, ilość zapisał w kółku na kartce i kazał mi położyć się na stół. Nie zrobiłem tego, cofnąłem się tylko wstając z krzesła - bo kazano mi usiąść - tych czterech tylko na to czekało, momentalnie rozłożyli mnie na stole. Dostałem tyle razy, ile było liter. Miałem zdjęcie dziewczyny, dzisiejszej żony, z podpisem, że na zawsze itd. i imię na dole. Zapisał to imię, policzył litery, te draby znowu mnie rozłożyły na stole. Zerwałem się, ale jakoś tak niezręcznie, że spadłem na podłogę i tam mnie skopali. Tak samo liczyli jeszcze lata.

Potem mnie wyprowadzili. Zszedłem do półpiętra - ten, który liczył litery, zawałał mnie, ci, którzy mnie prowadzili, zostali na miejscu - podszedłem do góry. Rękę miał w rękawicze, w pięści trzymał tuleję, dość dużą, jak dziś pamiętam - mosiężną. Dostałem tym w twarz. Spadłem na dół, na wycieraczkę. Plułem krwią, ale żeby nie wyleciały, tylko później - ale to już stwierdzili lekarze - okazało się, że wszystkie są obluzowane, latały tak w górę i w dół.

Podniesiono mnie pod ręce - bo iść po takim czymś to nie da rady - zawleczono z powrotem do sali kolegium. Tu kazali się rozebrać. Wszystkim. I złożyć ubranie ładnie w kostkę. I przy tym znowu bili. O wyjściu do ubikacji nie było mowy, ludzie załatwiali potrzeby wprost na sali, odór był potworny. A przede wszystkim wygląd tej sali: włosy, krew i odchody; naprawę cyrk.

Na ścianie, tej na prawo od wejścia, wisiał biały orzeł wycięty ze styropianu. I ten orzeł cały był zachlapany tą mazią. Dopiero dziś widzę w tym jakiś symbol, wtedy o tym nie myślałem, może byłem za młody?

Byliśmy więc nadzy. Teraz zaczęły się takie różne zagrywki. Na przykład kazali człowiekowi wstać, podejść do ściany, krok do tyłu i oprzeć się kciukami o mur. Nie wiedziałem, o co chodzi, a to przecież momentalnie mdleją palce. Wystarczyło, by ktoś ukląkł, czy ugiął się tylko, a bito i kopano go tak, że szybko podnosił się znowu. Z opowiadań dziadka znam sposoby znęcania się nad ludźmi w Stutthofie, ale o czymś takim nie słyszałem. To nie było aż tak, żeby krew tryskała, nie było otwartych ran, ale ludzie mieli ciała granatowe. Nie siniaki, potłuczenia, pręgi - granatowe ciała od karku do ud poniżej pośladków. Co jeszcze... Bito w pięty - potworny ból! Co jeszcze... Rozstawiali po kątach, jednym kazali wstawać, drugim siadać. To była zabawa. Oni to robili nawet ze śmiechem. Stali w grupce, rozmawiali ze sobą, naraz jeden zaplawał ręce, łapał pałę i bił.

Mnie tłumaczono inaczej, ale ja uważam, że człowiek normalny nie może tak postępować, dlatego sądzę, że oni brali jakieś środki. Można kogoś bić w nerwach, nawet mocno pobić, ale musi być jakiś przyczyna. A nie tak, że wchodzi do sali - byliśmy jeszcze w ciuchach - podchodzi do kogoś, chwytą za ubranie, uderza pięścią, człowiek pada, a on spokojnie odwraca się i kontynuuje rozmowę z kolegami. No to ja nie uważam tego za normalne, musiał być jakiś narkotyk.

Co jeszcze pamiętam. Powiedziano, że możemy wyjść do ubikacji. Nikt nie chciał się ruszyć, bo utworzyli szpaler, stali z pałami różnej wielkości - od małych do tych do bioder - z kaskami trzymanymi za zaplecie. Wygarnęli nas siłą, zrobił się jeden krzyk, straciłem znowu przytomność. Obudziłem się - leżałem pod ścianą. Ktoś podawał mi wodę - kto, nie wiem. Troszkę oprzytomniałem, ludzi już nie było, nie wiem, co się z nimi stało. Kazali mi wstać i iść na górę. Nie wiem, czy upodobali mnie sobie. Nie mogę powiedzieć, że wyżywali się na mnie, bo właściwie wszystkich nas traktowali równo, więc o co chodziło? Do mnie mieli taką zawziętość chyba dlatego, że młody stoczniowiec - młody bandyta. I zaprowadzono mnie z powrotem do tego, którego nie zapomnę do końca życia. I znowu: nazwisko, liczenie liter i bicie.

Ja już w tym czasie nie miałem sił, nie broniłem się, nie wiem czym mnie bił, traciłem co chwilę przytomność, oblewano mnie wodą i znowu... Pamiętam jeszcze, jak mnie niesiono na noszach. Może mnie się tylko wydaje, że tak długo mnie nieśli w dół? Potem leżałem na podłodze i z tego już pamiętam bardzo mało, jakies urywki rozmów, szum. I wiem, że pilnowało mnie dwóch milicjantów. Jeden z nich jeszcze mnie podniósł, uderzył w twarz, upadłem - ale to już są takie mgliste sprawy.

Pamiętam jeszcze, że znowu mnie bili. Ale to już było w szpitalu, w malignie.

*Henryka Halmann:* Syn miał pękniętą nerkę, uszkodzenie kręgosłupa z pęknięciem dwóch kręgów, stłuczenie mózgu, nie mówiąc już o potłuczeniu ogólnym. Jego w Prezydium znalazł nagiego wśród trupów doktor Kunert, zobaczył, że jeszcze ciepły, zadzwonił po pogotowie. Z pogotowiem przyjechał doktor Marcinak. Coś tam musiało zajść, nie wiem co, bo ledwie sanitarka odjechała trochę, zaczął ją gonić wóz milicyjny. Obydwa wozy przeleciały z wyciem przez miasto, karetka się nie zatrzymała. Pod szpitalem milicjanci wyskoczyli z wozu - bierzemy go, mamy swój szpital, tam go wy-



leczymy. Ale już dokoła zebrał się personel szpitala - nie dali syna.

Po sześciu tygodniach zabrałam syna do domu. I wtedy wyszła jeszcze padaczka pourazowa. Po sześć, siedem ataków dziennie, co i rusz pogotowie, nie mógł zostać sam nawet pół godziny, nie mógł wyjść na krok. A jak na ulicy milicjant szedł, to ja tak stawałam i zasłaniałam, i odciągałam, żeby tylko milicjanta nie zobaczył, bo on już z miejsca był gotowy na ulicy. Dostał atak w trolejbusie, uważali go za pijanego, znaleźli się na milicji. Jak ja tam wpadłam, to myślałam, że ich rozniosę, z niczym się nie liczyłam. A oni mi łagodnie tłumaczą, uprzejmi tacy.

Zawiozłam go do Poznania. Bali się wszyscy wtedy, ale w Poznaniu pamiętali rok 1956 i byli bardzo serdeczni. Zostawiłam go w klinice - i do Gdyni, musiałam przeciw pracować. Telefon: niech pani przyjeżdża natychmiast, robimy odmę, nie wiadomo czy przeżyje. I tak się ciągnęło. Doktor Jakubowski, neurolog który go leczył, postarał się, że zawiozłam syna do profesora Dworzenki do Pruszkowa. Ludzie mi pomagali, za leczenie nie płaciłam nic, ale przejazdy, opłata za opiekę - a ja zarabiałam tysiąc sześćset złotych. Byłam tak wysprzedana, że chodziłam w zimie w prochowcu i w butach bez czubków. Nic nie miałam.

Po pół roku zdjęto mu pancerz ortopedyczny. Młody był, okaleczenia fizyczne szybko przysychały. Dałam go do szkoły, stocznia poszła na ustępstwo, zaczął od września trzecią klasę szkoły zawodowej. Odprowadzał go i przyprowadzał Grzesiu Nowacki, najlepszy w świecie przyjaciel, a dla mnie to na prawdę drugi syn, bo na krok nie można go było puścić samego. Skończył tę szkołę i poszedł do ogólniaka we Wrzeszczu. Ale to było za trudne. Przecież on tych ataków okropnie się wstydził. No i gdzie ja go miałam teraz zatrudnić? Stocznia nie chciała go przyjąć. No gdzie ja go miałam teraz zatrudnić, jak on mi czwarty raz na życie się targnął. Byłam wykończona. Wszędzie musiał ktoś za nim chodzić, a on się buntował, chciał żyć normalnie, wrywał się nam.

Przejąć dla niego koło Prezydium to było... on już był gotowy. Profesor kategorycznie polecił zmienić dzielnicę. Absolutnie. Poszłam, to wywalili mnie na zbity łeb. To poszłam do Marińskiego, bezpośrednią poszłam, wywalili mnie - ja na siłę. Dostałam inne mieszkanie. Ja byłam zupełnie obłędna, ja nawet do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych napisałam i dostałam przyznaną dożywotnio rentę kwartalną tysiąc trzysta złotych, oprócz renty inwalidzkiej. Ja sprawiedliwości szukałam. Chodziłam wszędzie, chciałam znaleźć tego milicjanta, który się znęcał nad synem. To powiedzieli, żeby syn pojechał do Sztumu, bo stamtąd ta milicja być miała i rozpoznał tego milicjanta. No to przecież bez sensu.

Profesor mówił: może się ożeni, potrzebny jakiś cel w życiu. Miał dziewczynę. Ja ją specjalnie zabierałam do klinik. Ja jako matka mogę do śmierci nad dzieckiem czuwać, ale po co dziewczyna ma się męczyć?. No, ale miłość miłością, pobrali się i koniec.

I co roku na Wszystkich Świętych, czy jakaś rocznica - na cmentarz. Wszystkie groby tych z Grudnia musi obejść. Synowa mówi: nie chodź, nie trzeba tak ciągle. To się robi nerwowo, nie utrzyma się go. Ataki są dalej, ale jak często, to synowa mi nie powie. Bo ja po tym wszystkim dostałam wrzodów żołądka, jestem po ośmiu operacjach brzusznych.

ZAPIS MAGNETOFONOWY ROZMÓW PROWADZONYCH PRZEZ GRUPĘ OPERACYJNĄ MO NA ULICACH GDYNI/24/

- Słuchaj, słyszysz? Świętojańską z powrotem te niedobitki naciągają/25/.
- Dobrze, zrozumiałem. Świętojańską idą, tak?
- W kierunku Prezydium. Te niedobitki z powrotem się schodzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Dużo jest tych zielonych?/26/
- Sporo, sporo. Tam w środku weszło nie wiadomo ile.
- Dobrze zrozumiałem.
- Asan, Asan, tu Gujana. Czwórka dopływa do Flory. Asan. Czwórka dopływa do Flory.
- Czwórka, Czwórka, tu Reda. Flora wie o tym, Flora wie o tym i czeka.
- Słuchaj, ten tłum, co rozpędzili, znowu wraca i jest po tym(...) Z boków schodzą się pod Radę/27/.
- Dobrze, zrozumiałem. Ten tłum, który był rozpędzony, znowu zbiera się pod Radą.
- Tak, tu jest dużo gapiów i wszyscy ściągają z powrotem.
- Kasztan, Kasztan, Simka zatrzymał się przy WRN/28/.
- Od dworca ciągną takie grupki po dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt osób w stronę stoczni(...)
- Rozumiem. Od dworca w stronę stoczni ciągną grupki po dziesięć, dwadzieścia, całym ciągiem.
- Tak, tak.
- Coś tam słychać pod stoczną. Jakby seria. Jakby seria z broni.
- Dobrze. Słychać odgłosy strzałów. Słychać odgłosy strzałów pod stoczną.
- Tak. Ale to nie jest sprawdzone.
- Rozumiem, to nie jest sprawdzone.
- Śliwa, Śliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Jak tam sytuacja pod Prezydium, jak tam pod Komitetem?
- Odpowiadam ci. Pod Komitetem jest spokój. Pod Prezydium było rozproszenie, ale w tej chwili znowu zbierają się.
- Ile tego może być?

/24/ Rozmowy zarejestrował anonimowy amator krótkofalowiec.

Źle słyszalne fragmenty rozmów oznaczono znakiem (...)

/25/ Nasłuch nie rejestruje wydarzeń od samego początku; w chwili jego rozpoczęcia jest ok. godz. 7.30.

/26/ Tzn. żołnierzy wojsk lądowych.

/27/ Prezydium MRN nazywane jest wymiennie "Rada" i "Prezydium".

/28/ W Gdyni nie ma WRN, chodzi zapewne o PMRN.

- No więc tam było około dwóch tysięcy, było około dwóch tysięcy. W tej chwili trudno powiedzieć, co to się dopiero dołącza.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Pod Prezydium petardy, petardy dają.
- Rozumiem, pod Prezydium petardy.
- Na placu Kaszubskim spokój. Świętojańska cała wolna i przejeżdżna.
- Tak, rozumiem cię.
- Sliwa, zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Tutaj na przystanku Stocznia strzały słyszę, tylko nie wiem, co to jest.
- Na przystanku Stocznia słyszysz strzały, tylko nie wiesz jeszcze, co.
- To jest seria, cała seria strzałów.
- Słuchaj, czy możesz mi potwierdzić, czy może być to od petard?
- Wiesz, to takie głuche.
- To prawdopodobnie petardy są.
- Słuchaj, Sliwa. Bez przerwy kanonada w porcie, kanonada w porcie, strzelanina jest seryjna.
- Ale określić nie możesz z czego, tak?
- Maszynowa broń, maszynowa broń. Bez przerwy strzelanina.
- Słuchaj, ale to jest gdzie konkretnie?
- W porcie, pod Komuną, tam na dworcu, na terenie portu/29/. Bez przerwy maszynowa broń.
- Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Słuchaj, to helikopter ładuje tu petardami, rozumiesz, w tej chwili Czerwonych Kosynierów bombarduje. On tutaj zrzuca całymi seriami.
- Słuchaj, a teraz powiedz mniej więcej ile tam jest w ogóle tego tłumu mniej więcej. Bardzo dużo? W tym terenie?
- Jest tutaj bardzo dużo, bo tutaj częściowo poszła od strony żelaznego/30/.
- I to jest pod Komuną, tak?
- Nie, nie, z drugiej strony.
- Więc to jest przy dworcu Stocznia, tak?

/29/ Informujący ma kłopoty z określeniem miejsca; chodzi o przystanek kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia.

/30/ Żelazny - dworzec lub przystanek kolejowy. Rozmówcy używają łatwego do rozwiązania szyfru. "Kanał" to ulica, "kuter" to pojazd, "wplynąć" znaczy wejść, wjechać.

- Tak jest.
- Sliwa, w okolicy dworca, placu tłum rzędzie(...) Jedynie przy dworcu wschodnim/31/czołgi stoja w tłumie(...) rozmawiają normalnie z żołnierzami.
- W okolicach dworca, placu i "Arki", tak? Jest spokój?
- Tak jest, tak jest.
- Jak tam sytuacja przy Prezydium, podaj mi.
- Częściowo rozgonili, rozgonili, ale gapie uciekali na tory, dużo jest na torach. To w pobliżu tu Wzgórza/32/ wszystko i na torach przy stacji. Helikoptery, wiesz, rzucają tutaj. Helikoptery rzucają, wiesz, to. Przy Prezydium w zasadzie jest spokój/33/.
- A na kanale Świętym i na Czwartego/34/ jaka jest sytuacja?
- A wiesz, trudno mi powiedzieć, bo ja w tej chwili tam nie przejeżdżałem.
- Gujana, zgłoś się, tu Legia.
- Gujana dla Legii.
- Przy Radzie, w "A"/35/, przy Radzie nadal drobne potyczki. Ale nasi spokojnie, spokojnie, petardy tylko. Jak sytuacja w innych rejonach? Przy Komitecie? Kto wie, niech poda.
- Tu Asesor, tu Asesor. Przy Komitecie jest spokój, przy dworcu spokój, "Arka" spokój i te inne też spokój.
- A ten tłum co siedi Władysława w kierunku na Komitet, gdzie poszedł?
- To wszystko się rozproszyło, rozproszyło i jest tutaj, wiesz, wokół Prezydium rozpedzone.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Słuchaj, Ataman podaje, że na Czerwonych Kosynierów, na Czerwonych Kosynierów helikoptery tam podlatują z petardami. Jest kilku rannych, kilku rannych. Wywożą samochodami osobowymi rannych. No i Ataman musi tam uciekać, uciekać, bo go zablokują. Tutaj jest Czerwone zablokowane i tam już nie ma żadnego przejazdu.
- Rozumiem, rozumiem.
- (...) tu Sliwa. Zgłaszam się dla Komara.
- (...) z okrzykami "wojsko z nami", "chleba", śpiewali Międzynarodówkę i hymn polski.
- W którym kierunku?
- Pod Radę, pod Radę duża grupa idzie i śpiewają hymn, krzyczą "mordercy", "dajcie chleba", "dajcie chleba".

/31/ W Gdyni nie ma takiego dworca. Czołg stał na placu Konstytucji, przy sądzie.

/32/ Przystanek kolejki elektrycznej Wzgórze Nowotki.

/33/ Również z tego zapisu wynika, że tłum pod Prezydium zbierał się i był rozpedzany wielokrotnie.

/34/ Ulice Świętojańska i Władysława IV.

/35/ Z kontekstu wynika, że grupa operacyjna MO podzieliła miasto na kwadraty: kwadrat A - okolice PMRN, C - Gdyni-Stoczni.

- Zrozumiałem.
- No, słuchaj. Podawałem tam Alasce dla Sliwy, co jest. Więc jest taka sytuacja. Pokazały się ulotki na Zygmunta, ulotki na szybach było widać z przeciwnej strony szyb wystawowych. Pisane czerwonym ołówkiem, że precz z ludźmi(...) którzy nie mają prawa rządzić, KC jest(...)
- Więc Błysk podała, że wszyscy płyną pod Radę, pod Radę. Ulotki, ulotki są, proszę cię, na szybach sklepów, że KC jest dwulicowy, że Cyrankiewicz i precz z chwiejnym rządem itd.
- To samo mi podała Asesor i Bawaria. Wszystko płynie pod Radę.
- Zrozumiałem.
- Gujana, zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, Gujana. Zorientuj się tutaj, albo Błysk, przez Błysk, albo Bawaria, albo Asesor, niech podadzą mniej więcej ile jest ludzi, ile jest ludzi na kanale Świętojańskim.
- (...) na czele czołówki, na czele czołówki tego całego pochodu jest niesiona flaga, między(...) narodowa flaga. Na kanale Świętojańskim.
- Ile jest ludzi na kanale Świętojańskim?
- Około trzech tysięcy, około trzech.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj, w tej chwili cały ten tłum liczący około czterech tysięcy powiększa się cały czas, proszę cię, normalnie o ludzi przebywających na ulicy, powiększa się. I wszyscy razem pod Radą płyną. Wołają hasła. Skandują takie hasła: "Nie ma kołka nad Kociołką", "Nie masz kołka nad Kociołką", "Chodźcie z nami, chodźcie z nami". Wszystko pod Radę. Ogromny tłum, ogromny tłum jest tutaj.
- Przy Radzie skandują: "Precz z mordercami, precz z mordercami", "Wojsko z nami, wojsko z nami". Już dochodzą do Rady, dochodzą do Rady. Jest około pięć tysięcy, około pięć tysięcy i skandują.
- Dobra, zrozumiałem.
- Mnie chodzi o informację, co się dzieje koło Szkoły Morskiej.
- No przecież ci podawałem, że tam nie można przepłynąć, jest blokada, jest blokada i ja się wycofałem.
- Z kwadratu C do kwadratu A - co się tam dzieje?/36/
- Od kwadratu C do kwadratu A wszystko idzie piechotą, do ciebie, wszystko na piechotę idzie.
- Dobra, zrozumiałem. Słuchaj czy możesz podać mniej więcej jaka grupa?
- Słuchaj, to jest różnie, zależy gdzie, bo nie ma żadnej komunikacji, zrozumiałeś? Nie ma komunikacji/37/

/36/ Czyli od Gdyni-Stoczni do PMRN. Trasa wszystkich - z wyjątkiem jednego - pochodów.

/37/ We wczesnych godzinach rannych kolejki kursowały normalnie, potem wstrzymywano i uruchamiano je na przemian. Trudno ocenić, czy było to wynikiem celowego działania, czy bałaganu.

- Rozumiem. Więc nie ma komunikacji, idą pieszo.
- Tak jest.
- Gujana, zgłoś się, tu Sliwa.
- Słuchaj, kanałem Dziesiątego/38/ od dworca, kanałem Dziesiątego w kierunku Świętojańskiej płynie nowa grupa ludzi, płynie nowa grupa ludzi.
- Ile, ile?
- To w tej chwili nie można tego tak obliczyć na razie.
- Kasztan, słyszałeś? Duża grupa idzie z Dziesiątego do Święto, do Święto.
- Czy jest ktoś przy Komunie, przy Komunie?
- Aldona podała, że Komuna i port, obydwie strony, są zablokowane wojskiem/39/. Nie można się przedostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- I wszystko, wszystko płynie pod Prezydium.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Błysk, Błysk podał, że przy Radzie, przy Radzie się wszystko zbiera i ze wszystkich stron jest obstawione wojskiem.
- Asesor, zgłoś się, tu Sliwa.
- Tu Asesor, co chciałeś, Sliwa?
- Co u ciebie, co u ciebie?
- Więc słuchaj. W tej chwili helikoptery puszczają te dymne, dymne i część się rozchodziła, ale zaraz, bo mi się zdaje, że oni skierowali się tutaj na Wzgórze Nowotki, na Wzgórze Nowotki. Ludzie się rozchodzą, rozchodzą, bo pigułki puszczała.
- Tam w kierunku Prezydium przebija się tłum, gdzieś tak tysiąc, tysiąc pięćset. Na czele cztery biało-czerwone flagi.
- Od strony, od strony jakiej?
- Od Skweru Kościuszki, od Dziesiątego, Dziesiątego.
- Podaj Sliwie, że to wojsko źle rzuca, tylko nie do celu. Powinni rzucać przy dworcu na Wzgórze, a rzucają tu przy Prezydium. Ci łapią te granatniki i rzucają na wojsko. Wojsko całe zadymione, a tłum stoi w miejscu.
- Dobrze. Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, Sliwa. Alaska podał, żeby powiadomić tam sztab, proszę ciebie, że ci z helikopterów źle rzucają, źle rzucają. Nie rzucać na Radę, tylko w pobliżu dworca Wzgórze Nowotki, bo ci spod Rady odrzucają na wojsko z powrotem to. Żeby rzucać w pobliżu dworca i Wzgórze Nowotki.

/38/ Ulica 10 Lutego.

/39/ Blokada stała w miejscu, gdzie rozchodzą się ulice: Czesosłowacka do SKP i Polska do portu.

- Już powiadomiłem, Alaskę słyszałem.
- Już rzucają prawidłowo, prawidłowo teraz rzucają.
- Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się Sliwa dla Legii.
- Od żelaznego płynie(...) kilkaset osób. Płynie do kwadratu A, Helikoptery w operacji są.
- Ile tam tego zgrupowania przy Prezydium?
- Teraz to jest tak trudno określić, dlatego że to się wszystko podzieliło na grupki i ucieka od tego dymu. Więc całe te place są pozajmowane jeszcze, pozajmowane. Po okolicy się tak porzbi-jało.
- Zrozumiałem. Tu Sliwa, tu Sliwa. Kto jest przy Komunie, kto jest przy Komunie z was?
- Nikogo. Tam nie można przejechać. Obstawione wejście. Tam ani w tą, ani w tamą.
- A kto jest przy dworcu, kto jest przy dworcu?
- Alasko niedawno była. Tam jest spokój, spokój.
- Zrozumiałem, tam przy dworcu jest spokój.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Podaj mi, podaj, chcę wiedzieć, jaka sytuacja jest tam u ciebie?
- No więc słuchaj. Całość jest w tej chwili skupiona przy Radzie. Całość jest, całość jest przy Radzie skupiona. Tak mniej więcej około trzech, około trzech tysięcy.
- Kto jest może przy placu Kaszubskim, wie, co się tam dzieje?
- Ja byłem niedawno, to był spokój. A przy Skwerze/40/ wojsko, wojsko, cały Skwer.
- Kasztan, Simka się pyta, co z tymi dwoma kutrami. On jest na lotnisku. Simka podaje, że było już lądowanie, mają bagaż i Flora miał podesłać dwa kutry przed ósmą już. I co jest z tymi kutrami? Czy Flora wysłał, czy nie?
- A ty gdzie teraz?
- Ja tu jestem na Dzierżyńskiego i chcę się przedostać na drugą stronę może.
- Flora podał, że wysłał. Powinny być w każdej chwili.
- (...) Władysława, Władysława płynie z flagami w kierunku Dzie-siątego, tak?
- Z rakielnic do helikopterów, z rakielnic do helikopterów, zro-zumiałeś?
- Ile tego może być tak na oko?
- Tłok, nadal jest tłok, około trzech tysięcy.
- Słuchaj, Legia. Powiedz mi, jak gęsto, jak gęsto flagi są.
- Narodowe flagi? Zaraz sprawdzę. Na razie nie ma nic.

- (...) od Rady(...) ich więcej od Rady(...) pełny plac, zawalona cała ulica. Z transparentem.
- Słuchaj, Legia, możesz podać treść transparentu?
- Tutaj okolica dworzec całkowity spokój. Pojedyncze osoby od kierunku tego, Komuny, ale to tylko tak pojedyncze osoby. Czerwonych Kosynierów cała jest wolna w tej chwili. I jest komunikacja normalna(...) Ja jadę na Chylonię zobaczyć jak tam jest.
- Dobrze, Ataman, więc obejrzyj okolice Szkoły Morskiej.
- Słuchaj. Błysk, Błysk ma dwie ulotki, które tam rozrzucali.
- Błysk, zgłoś się do Alaski, żeby jedna tutaj dostarczona była.
- Tu na tej od morza przyplęnęła milicja, milicja. Na całym Świętym jest zajęta, blokada. (...) dopływa do Dziesiątego, do Dziesiątego, gdzie kilkaset osób, do tysiąca.
- Czy możesz ten transparent, co tam pisze, podać mi?
- Nie, to są flagi narodowe.
- Tu Ataman. Szkoła na Czerwonych Kosynierów jest spokój. Natomiast w Gdynia-Stoczna jest zgrupowanie(...) od Czerwonych do (...) stoja. W każdym razie dużo ich nie ma.
- Dobrze się ustawiają, milicja, milicja od strony morza i będą atakować/41/.
- Gujana, Gujana, tu Alaska.
- Gujana dla Alaski.
- Przy Komunie i w porcie umilkły strzały, umilkły strzały.
- Przy Komunie umilkły strzały, tak?
- Tak: Natomiast przy Radzie nadal helikoptery, tylko źle rzucają, więcej przy dworcu trzeba rzucać. Rzucają w tłum, a tłum rzuca na milicję pod Prezydium. I na wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tak, tak. I powinny rzucać petardy rozpalone, a oni rzucają i dopiero na ziemi się rozpalają. Ona nim doleci powinna się rozpaść. Z opóźnieniem rzucać, z opóźnieniem.
- Dobrze, zrozumiałem, że mają z opóźnieniem wyrzucać i tutaj w kierunku dworca i na Władysława Czwartego, tak?
- Tak, tak. Bo tak zbierają i w milicję rzucają.
- Gujana, tu Asesor, zgłoś się. Ja wołam, bo pod Prezydium kamieniami, kamieniami biją w wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem. Duży tłum jest jeszcze pod Prezydium?
- Tam jeszcze po bokach, po bokach, tam petardami rozganiają to wszystko, ale podbiegają i kamieniami rzucają w wojsko.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Przy Prezydium teraz jest bójka, bójka kamieniami.



- Dobrze, zrozumiałem. Tu Sliwa, tu Sliwa. Co jest przy dworcu Stocznia? Kto mi może podać?
- Legia tam jest, zaraz ci poda.
- Z tamtego kierunku jest karetka na sygnale, tak?
- Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się.
- Z dworca tłum z transparentami w stronę Dziesiątego płynie.
- Więc z dworca jest duży ruch z transparentami, tak?
- Tak, z samego wału, z samego wału wypłynęli.
- I w którą stronę płyną. I w którą stronę, Legia, płyną?
- Tu od głównego dworca do Dziesiątego.
- Od głównego dworca do Dziesiątego płyną, z dworca, z flagami czy z transparentami?
- Z flagami, z flagami. Kilka flag i transparent.
- Słuchaj, czy mógłbyś odczytać?
- Tam nic nie pisze, tylko czarna wstążka przewiązane niektóre.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana. Ile ta grupa może liczyć? Spytaj się.
- Legia, ile ta grupa może liczyć?
- No jeszcze wypływają. Zaraz ci podam mniej więcej.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tam, przy stoczni, przy stoczni raczej spokój. Tylko trzecia karetka stamtąd już.
- Na razie jest spokój, a trzecia karetka płynie stamtąd.
- Tak, tak, tu jakiś wypadek był.
- Tak, tak(...) i karetka tam jest.
- Legia, Legia, tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj. Oni idą z samymi flagami, czy transparent też mają?
- Flagi, flagi i transparent, ale bez napisu, taki biało-czerwony.
- Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
- Tak, zgłaszam się dla Legii.
- Gdzieś około trzysta, około trzysta wypłynęło z żelaznego.
- Zrozumiałem. Około trzysta z żelaznego wypływa i płynie w kierunku Dziesiątego.
- Tak, tak.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana. Ja to słyszałem. Dowiedz się, jak sytuacja przy Prezydium i podaj mi.
- Więc pod Prezydium, proszę ciebie, jest bójka. To znaczy tam młodzież przeważnie rzuca kamieniami, a nasi i zieloni odrzucają petardami do nich.
- Dobra. A na tych kanałach? Na Świętym i na Czwartym?

- Tam jest spokój.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, zgłoś się.
- Halo!
- Kasztan, więc(...) idą w kierunku 10 Lutego. Przy Prezydium młodzież, młodzież uderza na naszych i na wojsko kamieniami, a nasi atakują petardami. Przy Komitecie spokój i na tych kanałach Święty i(...)
- Cały czas z broni ręcznej.
- Zgłasza się Sliwa.
- Słuchać przy Radzie strzały z broni ręcznej.
- Gdzie słychać?
- Przy Radzie, przy Radzie słychać.
- Z broni ręcznej, tak? Słuchaj, słuchaj, może się upewnisz, czy to nie są petardy.
- Skąd petardy! To jest z broni ręcznej.
- Z ręcznej, nie maszynowej, tak?
- Nie, nie! Od czasu do czasu słyszę strzał z ręcznej.
- Ten tłum niesie zabitego i krzyczy "mordercy", tak? Na jakiej oni są wysokości?
- Ta grupa, co z dworca z flagami szła(...) zabitego i krzyczą "mordercy". Mijają Władysława i idą w kierunku Świętojańskiej.
- Sliwa, tu Gujana. Czy coś wiesz o tych strzałach przy Prezydium?
- No cóż ci powiem. No - szum. Rzucają kamieniami, petardy wybuchają, strzały od czasu do czasu i więcej nic(...). Nareszcie tam szturm. Wojsko i milicja dają szturm. Uciekają.
- Oni są już na Świętojańskiej. Wiesz, na czele taki biało-czerwony skrwawiony, skrwawiony sztandar.
- Gujana, zgłoś się.
- Gujana się zgłasza dla Sliwy. Słuchaj, ta grupa z tym, z tym, z tym zabitym, proszę ciebie, jest na Świętojańskiej, już na Świętojańskiej. Sztandar niosą zakrwawiony i za nim tego trupa.
- Idą w kierunku na Prezydium, tak?
- No, idą Świętojańską.
- Kasztan, Kasztan, ta grupa, ta grupa z tymi flagami, co nieśli tego zabitego, jest już na Świętojańskiej. Idźcie dalej. Kasztan, zrozumiałeś? Ta grupa, ta grupa co z flagami, co nieśli tego zabitego, jest już na Świętojańskiej. I idźcie dalej. Ona poszła na kierunek na Prezydium.
- Sliwa, zgłoś się dla Bawarii.
- Tak, zgłasza się Sliwa dla Bawarii.
- Z tym trupem, z tym trupem to są, wiesz, albo młodzież akademicka, albo szkolna, bo na czele są wyrostki. Idą dalej w kierunku na Prezydium. Wiele się zatrzymało, ludzie czapki z głów, płaczą, płaczą. To nie jest tak dużo, tak dużo.
- Ataman podawał, że tego, co niosą, to niosą od Gdyni-Stoczni, od tego bombardowania, co helikoptery rzucały. I Kasztan pyta się, żebyście podali w sprawie tej grupy, jakie też środki, ja-

kie środki stosują przeciw nasi.

- Więc podaj, proszę cię. Podaj Kasztanowi, że właśnie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, bo ponieważ ludzie się zatrzymują, zdejmują czapki, płaczą i może urosnąć duża grupa.

- Dobra, Kasztan, zgłoś się. Ta grupa, co niesie tego trupa, jest w tej chwili na Świętojańskiej na wysokości PKO i na razie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, że może urosnąć ta grupa. Bo wszyscy dołączają, stają, czapki zdejmują i płaczą. Dołączają do tej grupy, ta grupa rośnie.

- (...) przekazał, że prawdopodobnie chcą sabotować, sabotaż, wysadzić wiadukt/42/. Żeby tam sprawdzili.

- Legia, zgłoś się.

- Zgłaszam się.

- Słuchaj, jest taka sprawa, jest prawdopodobnie taka możliwość, że może być sabotaż mostu, most, żeby ktoś pojechał, zorientował się, jak to wygląda.

- Który to most?

- Wiaduktu, wiaduktu.

- Ale którego?

- Przy, przy stoczniach.

- Dobra, tam jest wojsko. Już jest po wszystkim.

- Kasztan, zgłoś się. Wiadukt jest opanowany przez wojsko.

- Sliwa, Sliwa, jak z tą grupą na Świętojańskiej? Ta grupa ciągle idzie, tak?

- Ona już do Prezydium dochodzi.

- Legia, zgłoś się.

- Zgłaszam się.

- Słuchaj, mnie chodzi od tego wiaduktu z tą grupą, jak tam jest z tym sztandarem?

- Grupa z tym sztandarem w tej chwili jest przy poczcie.

- Ja cię rozumiem, ale tam mówiłeś coś o krwi.

- (...) poplamione krwią i szminką "krew dzieci" napisane.

- Dobrze, zrozumiałem. Słuchaj, czy to jest, Legia, Legia duża grupa?

- Nie.

- Dobrze, zrozumiałem. Sliwa, zgłoś się.

- Tak, zgłaszam się.

- Gdzie ta grupa jest teraz?

- Słuchaj, ona w tej chwili jest na Dziesiątego, na Dziesiątego jest.

- Przecież na Świętojańskiej już była, podobno PKO minęła?

- Słuchaj, ale jest druga grupa, mała, młodzieżowa, która, proszę cię, ma umazany sztandar, więc prawdopodobnie w szmince czy w czymś i napis "krew dla dzieci", "krew dzieci".

/42/ Prawdopodobnie chodzi o próbę podpalenia mostu (patrz relacje)

- Słuchaj, Sliwa, chodzi mi o tę grupę z tym trupem.
- Jest pod Prezydium już.
- Sliwa, tu Gujana, Sliwa, tu Gujana.
- Słuchaj, Gujana. Więc ta grupa już dochodzi do Prezydium, dochodzi. I tam trzeba coś zrobić, żeby to rozproszyć.
- Słuchaj, a ty coś mówiłeś o jakiejś drugiej grupie.
- Tak, pokazała się niewielka grupka, niewielka grupka młodzieży znowu, którzy niosą sztandar z napisem "krew dzieci". Jest to pomazane chyba szminką albo czymś. Tak podali mi.
- Dobrze, zrozumiałem. Ona jest na Dziesiątego, tak?
- Tak, ona już była na Dziesiątego.
- Sliwa, Sliwa (...) tego trupa niosą.
- Tak, wiem, wiem, dziękuję.
- Sliwa, Sliwa, tu Bawaria. Koło PLO, koło PLO jest pięćdziesiąt, jest pięćdziesiąt osób. Niosą sztandar, taki biało-czerwony, ni- by skrważony i coś tam krzyczą. Ale pięćdziesiąt osób...
- Rozumiem. Pięćdziesiąt osób przy PLO jest ze sztandarem.
- Będą się pomału posuwali...
- Dobrze, zrozumiałem. Jak tam sytuacja przy Prezydium?
- A doszli już do Prezydium, tak?
- Tak, zatrzymali, zatrzymali się tutaj.
- Tu Ataman. Słuchaj, na wysokości Prezydium włączyły się dwa helikoptery i bombardują gazami. Prawdopodobnie na ich wysoko- ci są.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Wojsko też atakuje, wojsko też atakuje w kierunku Wzgórza, tak?
- Tak, tak, w kierunku Wzgórza (...) i z helikopterów.
- Strzelają, strzelają z broni.
- Tak, tak, ale petardy, petardy.
- Kasztan, zgłoś się, Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Pod Prezydium nasi z wojskiem atakują, atakują. Petardy i helikopter jest w ak- cji. Tutaj w kierunku na Wzgórze i na dworzec.
- Przy Prezydium straszny tłum. Trudno jest zorientować się, jak to wygląda.
- Słuchaj, Sliwa. Więc ta grupa, rozumiesz, z tym trupem, doszła pod Prezydium, połączyła się tam z tą grupą, która była przy Prezydium i tam jest atakowana w tej chwili gazami z helikopte- rów. Trudno jest w tej chwili dojrzeć, co się tam dzieje, dlatego, że to się wszystko rozpryskuje.
- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Gujana, zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, czy jest jakiś dopływ, dopływ do nas, dopływ do nas do kwadrat C?
- Sliwa, Sliwa, głównymi kanałami nie ma, nie ma dopływu, można bocznymi tam koło lasu od Orłowa. Tu Gujana, tu Gujana. Kto jest przy głównym kanale przed Wzgórzem?

- Asesor, Asesor jest.
- Asesor, czy jest dopływ, czy jest dopływ z kierunku kwadratu C do kwadratu A? Czy ludzie dopływają?
- No, chodzą, idą, idą.
- Sliwa, Sliwa, Asesor przekazuje, że dopływ jest, że dopływają z kwadratu C.
- Sliwa, zgłoś się, tu Alaska.
- Tak, zgłaszam się.
- Na Świętojańskiej zieloni, zieloni. Bardzo dużo. Idą całą szerokością Świętojańskiej, w stronę Rady płyną.
- Dobrze, zrozumiałem. Czyli zieloni całą szerokością Świętojańskiej, tak?
- Tak, tak.
- Podaje Błysk, że przy Prezydium jest spokój.
- Dobrze, zrozumiałem. To gdzie się to rozeszło, w jakich kierunkach? Podaj mi.
- Na dworzec Nowotki, rozumiesz, i na boki, na boczne.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan, zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, na Wzgórzu przy tym dużym kościele/43/, tam jest duży tłum ludzi, duży tłum ludzi.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana. Słuchaj, Kasztan się pyta, czy dostaliście potas w postaci środków chemicznych. Sliwa, odpowiedz.
- Słuchaj, Gujana. Ja osobiście, my osobiście nie dostaliśmy nic. Czy dostali ci, co tu są, tego się nie orientuję. My osobiście nie wiemy.
- Dobra, zrozumiałem. Jak coś będziesz wiedział, to mi podaj.
- Zgłoś się Sliwa dla Legii.
- Sliwa dla Legii.
- Słuchaj, ten tłum na Wzgórzu, co podawał Lanca, to gapiowie, gapiowie. Mają lornetki i wiesz, cały czas się przyglądają, co się dzieje pod Radą. Cywile i kobiety. Patrzą tylko, co się dzieje. Noe tam nie ma, sami gapie tylko.
- Tam w sprawie tych kierowców niech się Sliwa dowie, bo tu sztab przywieźli.
- Znowu elektryczne kolejki poszły.
- Powtórz, Błysk.
- Błysk podaje. Kolejki elektryczne ruszyły.
- W kwadracie A? W kwadracie A?
- Tak, tak, w kierunku tam do ciebie.

/43/ Kościół OO Franciszkanów pod wezwaniem św. Antoniego.

- Kasztan, zgłoś się. Kasztan, tu Gujana. Słuchaj, sytuacja jest taka. Przed Prezydium rozpedzili, rozpedzili. Duża grupa jest przy kościele na Wzgórzu, pozostali rozpedzeni na tory i tutaj na dworzec przy Wzgórzu. Puścili kolejki, kolejki elektryczne chodzą.
- Gujana dla błysku, odbiór.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, ten, ten wiesz, którego nieśli, trup, leży na chodniku, tam koło Prezydium. Tam tylko nasi są.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan, tu Gujana. Więc słuchaj. Przy Prezydium opanowana sytuacja. Ten trup, co nieśli, leży przy Prezydium. Nasi rozgonili.
- Sliwa, zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Tu mi podawali, że tego trupa, co nieśli, zostawili przy Prezydium. Przekaż tam, że mają tego trupa sprzątnąć.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kto jest przy Prezydium, kto jest przy Prezydium, niech poda mi sytuację szybko.
- Legia dopływa.
- Słuchaj, zwróć uwagę, jak tam wygląda. Bo tam prawdopodobnie są sygnały, że ten trup leży przy Prezydium sam.
- Dobrze, podam ci zaraz.
- Sliwa, tu Aldona, zgłoś się.
- Zgłasza się dla Aldony.
- Słuchaj, tu przy Prezydium słychać strzały z broni krótkiej.
- Słuchaj, sztab o tym wie, sztab o tym wie.
- Sliwa, Kasztan się pyta, kto wydał decyzję, żeby pociągi puścić.
- Przynajmniej ja nie wiem, mnie nie meldowali o tym, nie zdążyli.
- A to dowiedz się tam.
- Słuchaj, ale tam jeden ma WC, niech się dowie. Słuchaj, Gujana, tu przy Prezydium słychać strzały.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Bawaria(...) często podpywają karetki i tłum się coraz większy zbiera. Chodzi o to...
- Nie przeszkadzaj Gujana na razie! Więc mówisz, pod szpitalem Miejskim, tam gdzie przyjeżdżają karetki, zbiera się tłum.
- Tak jest. Chodzi o to, żeby rozprasać ich.
- Gujana, zgłoś się.
- Gujana do Sliwy.
- Słuchaj, tam przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim, gdzie wjeżdżają karetki, zbiera się tłum i należałoby to rozproszyć.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Tak, tu Gujana. Kasz-

- tan, przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim tłum się zbiera, tłum się zbiera. Trzeba to rozproszyć, podał Sliwa.
- Znow się tłumy zbierają...
  - Przy Prezydium, tak?
  - Przy pogotowiu na Władysława IV, na Władysława IV.
  - Sliwa, Sliwa, tu Gujana.
  - Tak, zgłasza się.
  - Kasztan się pyta, jak z tymi środkami chemicznymi.
  - Poszli sprawdzić, poszli sprawdzić, nie mam na razie wiadomości o tym.
  - Sliwa, jest już Bawaria przy Prezydium, przy Prezydium. Ulica opanowana. Nie ma już żadnych osób przy Prezydium, tylko dalej, tylko dalej. Wokół placu tutaj, przy Wzgórzu Nowotki dużo jest.
  - Zrozumiałem cię. Przy Prezydium nie ma prawie nikogo. A słuchaj, z tym trupem co się stało?
  - Nie wiem. Tam sama milicja jest, mundurowi, mundurowi.
  - Dobrze, zrozumiałem. W każdym bądź razie nie widzisz jego.
  - Sliwa, zgłoś się.
  - Tak, zgłasza się. Słuchaj, to wszystko uciekło tutaj, jak jest wał, wał, hotel(...) po tych górach co pouciekali, wracają z powrotem.
  - Rozumiem. Z Prezydium uciekli, a teraz z powrotem wracają.
  - Tak jest. Z powrotem zbierają się na Wzgórzu, z powrotem na Wzgórzu.
  - Słuchaj Gujana, słuchaj Gujana. Ten tłum, który został rozpe-dzony od Prezydium, znowu, znowu powoli się zbierać zaczyna.
  - Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się, tu Gujana. Ten tłum, ten tłum co nasi rozpe-dzili przy Prezydium, z powrotem zaczyna zbierać się.
  - Dobrze, zrozumiałem.
  - Mówisz, że dużo ludzi chce odpłynąć w stronę Gdańska, ale są zatrzymywani?
  - Odpłynąć do Gdańska nie mają czym, dojechać do Gdańska nie mają czym.
  - No, tam podobno puścili, puścili kolejkę.
  - A w sprawie tych środków? Mieli przywieźć z dostawą. Słuchaj, sztab wysłał do was, sztab wysłał i żąda potwierdzenia, czyście otrzymali, czy nie. Jak będziesz coś wiedział, to mi podaj.
  - Słuchaj, prawdopodobnie do marynarki wysłał, nie do nas.
  - Dobra, zrozumiałem.
  - Sliwa, zgłoś się, tu Legia.
  - Zgłasza się.
  - Tam przy Radzie całkowicie opanowane przez naszych i przybyło kilkadziesiąt naszych i oni w tej chwili po górkach tam chodzą.
  - Dobrze, zrozumiałem. Lapis, zgłoś się, Lapis, zgłoś się.

- Tak, zgłaszam się.
- Co z tym trupem? Czy go sprzątnęli spod Prezydium?
- Więc słuchaj, to jest opanowane przez naszych, jest opanowane przez naszych i tam nie można nic dojrzeć.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, słuchaj. Tutaj koło "Bałtyku", wiesz, koło hotelu "Bałtyk" zatrzymują chuligani i benzynę chcą, rozumiesz, od taksjarszy.
- Dobrze, zrozumiałem. Przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" chuligani zatrzymują taksjarszy i chcą benzynę.
- Sliwa, Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, dowiedz się tam w milicji co z tym trupem, czy oni coś wiedzą.
- Dobrze, zrozumiałem. Zgłoś się, Bawaria.
- Zgłaszam się zgłaszam.
- Słuchaj, czy na Świętojańskiej jest prześwit przez całą ulicę?
- Przed chwilą jechaliśmy i był prześwit, takie pojedyncze osoby, pojedyncze osoby niezwarłe tylko są.
- Sliwa, tu Gujana. Jak tam, jak tam, dowiedziałeś się?
- Nie, poszedł Sliwa osobiście do szefa.
- Gujana, zgłoś się.
- Gujana dla Sliwy.
- W sprawie tego trupa. Więc ma polecenie Marynarka Wojenna zabrać go, zabrać go i przewieźć do Redłowa.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, łebki w dalszym ciągu są przy hotelu.
- W dalszym ciągu są przy hotelu, tak?
- Tak, mają flaszki i do flaszek biorą paliwo(...) flaszki napełniają, flaszki napełniają.
- Dobra, zrozumiałem. Gujana, zgłoś się.
- Gujana zgłasza się.
- Słuchaj, tu chuligani, proszę ciebie, w obrębie "Bałtyku", tego na Wzgórzu, proszę ciebie, zabierają kanistry, zabierają kanistry z benzyną i baki opróżniają. Trzeba szybko zareagować tam.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Słuchaj, przy wzgórzu, tam przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" opróżniają kanistry, zatrzymują samochody, opróżniają kanistry z benzyną.
- Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- W sprawie tej benzyny tam. Zamknąć ruch w kierunku na Witomi-no, w obydwu kierunkach.
- Kto taką wydał decyzję?



- Kasztan mi tu przekazał.
- Niech Kasztan, proszę ciebie, poda osobowo, kto wydał taką decyzję, bo tutaj nie chcą tego realizować.
- Dobra. Kasztan, zgłoś się. Sliwa, Sliwa się pyta, kto wydał taką decyzję, żeby zablokować te drogi od "Bałtyku" na Witomino. Dobra, zrozumiałem. Sliwa, zgłoś się, Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, Kasztan przekazał mi, że oni uważają, że tak należałoby zrobić. Jeżeli sztab u ciebie uważa inaczej, to niech oni decydują.
- Ale posłuchaj, posłuchaj, słuchaj, u nas ten główny, który jest, od Kasztana decyzji nie uwzględnia.
- Jeżeli nie uwzględnia, niech decyduje sam. Tak tu mi Kasztan polecił.
- Słuchaj, to może niech Kasztan nie daje decyzji, bo tutaj u nas jest głównym BB, rozumiesz, i on, proszę ciebie, nie realizuje tego.
- No więc w porządku, w porządku, w takim razie w porządku.
- Tu Łazur. Na wysokości tramwaju/44/ dosyć liczna(...), gdzieś trzysta, czterysta osób. Więcej nie mogę zobaczyć, nie mogę się kręcić za mocno.
- (...) niedużo, ze sto osób na Świętojańskiej, róg Świętojańskiej i Dziesiątego.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Przekaż wszystkim kutrom. Jak będzie ciasno i gorąco w kwadracie A, to kutry mają się wycofać w kierunku na kwadrat C. Piesi pozostają, piesi pozostają, same kutry. Jeżeli nie będzie przepływu przez kwadrat C, to na Chwaszczyno niech płyna.
- Dobrze, zrozumiałem. Alaska, czy zrozumiałeś to?
- Tak, tak.
- Dobra, to tam przekaż i swoim kutrom, bo nie wiem czy wszyscy słyszeli.
- Dobra.
- Bawaria słyszała, Bawaria słyszała.
- Legia też.
- No to pięknie.
- Sliwa, Sliwa. Podajcie sytuację, podajcie sytuację jaka jest.
- Ja Legia. Przy Prezydium bez zmian, bez zmian.
- Przy Prezydium jest spokój, Tak? Opanowane?
- Tak, tak. Tak jak ostatnio było.
- A z tym trupem nie wiesz jak jest?

/44/ Słowo błędne lub zniekształcone; w Gdyni nie ma tramwajów.

- No tam nie można, nie można się dostać. Nasi obstawili.
- Dobrze, zrozumiałem. Już teraz dowiedziałem się, że wzięli.
- Zgłasza się Lapis dla Gujany. W tej chwili na wysokości Traugutta płynie do Prezydium duża grupa z transparentami i z okrzykami, ze śpiewem. Podawałem to pięć temu.
- W jakim kierunku?
- Do Prezydium, do Prezydium. Zrozumiałeś, Gujana? Do Prezydium.
- Tak, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan, zgłoś się. Kasztan, przy Prezydium spokój, opanowane przez naszych i wojsko, przy Komitecie spokój, ale od Traugutta płynie duża grupa, duża grupa ludzi i młodzieży.
- (...) granaty żżawiające i to się tylko rozpryskuje. Tam jest jakiś wielki ruch i dużo dymu. Z daleka tylko widzę.
- Dobra, dziękuję. Z Traugutta na Czwartego w kierunku na Prezydium.
- Nie, nie, nie! Od głównej do Czwartego, od głównej Świętojańskiej do Czwartego.
- Kasztan, zgłoś się. Komar, Komar podał, w moim kwadracie przy gnieździe, gdzie stoja przed bramą około dwieście, trzysta osób z opaskami. Te dwieście, trzysta osób jest przed głównym wejściem do budynku. A przed bramą stoja z opaskami i kontrolują.
- Dobra, dobra. Zare, chyba to, chyba to z marca. To, co żeśmy mieli kiedyś, tak? Z marca.
- Kto jest przy Świętojańskiej?
- (...) jestem przy placu.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie idzie grupa około pięćset osób. Na czele idzie mężczyzna z kobietą. Potwierdzić.
- Ja nie mam możliwości, bo tutaj jest, rozumiesz, tłoczno, tam nic nie puszczają, ale tam moi szyprowie wpłynęli, jak oni wróca, to ci podam dane wszystkie.
- Czy ktoś może wpłynąć na Świętojańska?
- Nie da rady, tu, wiecie, nie da rady, tam nic, tam jest ciasno i gorąco.
- Bawaria, ja odpływam. Jestem na Obrońców, zaraz powiem ci coś. Słuchaj, ta grupa, co podawałem, jest już na Czwartego i idzie w kierunku Wzgórza Nowotki.
- Dobra, zrozumiałem. Ile będzie ta grupa liczyła?
- No, ciężko mi w tej chwili powiedzieć, ale tak koło patyka.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Ta grupa, co była na Czwartego, idzie dalej (...) zwiększa się, napływają z zewnątrz.
- Alaska, zgłoś się dla Śliwy. Słuchaj, trzeba przekazać wszystkim. Jest taka sytuacja, że prawdopodobnie nas, nas mogą słuchać i trzeba podawać krótko i starać się trochę żargonem.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się.
- Słuchaj, Śliwa, jakaś delegacja płynie, trzy wozy w ochronie milicji. Tak, dwa wozy milicji.
- Dobrze, zrozumiałem.

- Kasztan, Kasztan, przepuszczają ich, bo to są chyba z Obawy, z Obawy.
- Kto jest w okolicy pogotowia, kto jest w okolicy pogotowia, niech się zgłosi.
- Bawaria przed chwilą była, Bawaria.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie jest około czterysta osób.
- Dlaczego mi nie podałeś?
- Miałem ci podać, bo moi z kutra poszli sprawdzić. Ta grupa zatrzymała się na wysokości delikatesów tutaj.
- Dobrze, rozumiałem, że ta grupa zatrzymała się na wysokości delikatesów i dyskutuje z tymi przy pancernych. Kasztan, zgłoś się, tu Gujana. Ta grupa, co Władysława płynęła, zatrzymała się na wysokości delikatesów, przy żelaznych, tych pancernych i dyskutują tam.
- Sliwa, Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, jak byś tam miał na łączności Błysk, to spytaj się, czy mogą powiedzieć, jaka tam dyskusja jest między tymi z żelaznych a tą grupą, co jest na Władysława IV.
- Słuchaj, Gujana, zgłoś się.
- Tak.
- Słuchaj, Gujana. Nie wiem, czy ty wiesz, ale tu są takie sły- chy że prawdopodobnie jest możliwość nas nasłuchiwać. Żeby trochę może oszczędniej.
- No to może przejdziemy na inne kanały, czy jak?
- To nam nic nie pomoże.
- Dobra, rozumiałem.
- Gujana, zgłoś się, ja Błysk.
- Gujana dla Błysku.
- Słuchaj. Ta grupa ruszyła, ruszyła od tych żelaznych i idą w kierunku Wzgórza.
- Dobra, rozumiałem. Tylko tam teraz uważajcie, bo prawdopodobnie jest nasłuch.
- Ta grupa ruszyła, ruszyła dalej w kierunku Wzgórza.
- (...) i wywalili do naszych parę razy z raketnic.
- I co się z tym tłumem stało?
- W tej chwili jest rozproszony i na Władka przeniósł się.
- Na Władka przeniósł się ze Świętojańskiej?
- Tak, ja tam teraz popłynę. Zaraz ci podam później.
- Dobrze.
- Tu Gujana. Wszystkie kutry przechodzą na dwójkę, wszystkie kutry przechodzą na dwójkę.
- Słuchaj, jest dosyć duża grupa, jakieś czterysta osób na Władysława (...) i w stronę dworca Nowotki...
- Posłuchaj, bo ja nie mam w tej chwili na dwójkę dużo pracy (...) żaden prawie mi się nie zgłasza na dwójkę.

- To chyba Sliwa wysiadła, bo ja też jego nie słyszę. A ciebie bardzo dobrze.
- Tu Gujana, tu Gujana. Kto mnie słyszy, niech się zgłosi.
- Słyszysz ciebie Ataman.
- Bawaria.
- Już ja słyszę, słyszę, słyszę, Gujana, słyszę. Bawaria zgłoś się.
- Zgłasza się Bawaria.
- Jak sytuacja?
- Wiesz, do tego tam(...) część tego tłumu z flagami próbuje iść do Nowotki, do Nowotki.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- No, jak tam sytuacja!
- Trudno znaleźć te wiadomości; dlatego, że nie miałem dłuższy okres kontaktu. W każdym razie ta grupa, która była przy pogotowiu rozproszona, rozproszona, ale ze sztandarami próbują przejść do Nowotki.
- Dobra. Dowiedz się tam dokładnie, jak jest tutaj, w tych punktach i podaj mi.
- Na Kaszubskim spokój, na Kaszubskim spokój.
- Zrozumiałem. Ataman, zgłoś się. Ataman, zgłoś się.
- Zgłasza się Ataman.
- Jak tam u ciebie?
- (...) jestem na tym. Nie ma możliwości przejścia na Świętokrzyską.
- Aldona, zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Jak tam jest u ciebie?
- Pod Radą małe grupki szumia jeszcze, ale z daleka.
- Sliwa, tu Gujana.
- Zgłaszam się.
- No jak tam sytuacja w tych poszczególnych punktach?
- No więc słuchaj. Przy dworcu, przy dworcu spokój jest, małe grupki są, tu przy placu Kaszubskim jest spokój, przy Prezydium, przy Prezydium też są małe tylko grupki, proszę ciebie, tak więcej na razie nie mają, nie mają możliwości podać.
- Gujana dla Bawarii. Zgłoś się, Gujana. Tu przy delikatesach jest jakiś tłum, ale bierny, bierny, taki, wiesz, ze trzyseta osób, a reszta pynie do Wzgórza bokami, bokami.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, tu Gujana. Jest grupka około trzystu przy pogotowiu, ale spokojni, bierni, gapie raczej.
- Alaska, zgłoś się. Słuchaj, a nas interesuje, jak jest tam przy przystanku Stocznia.

- Tam nie można się dostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Przy pogotowiu to jest duży tłum. Ale to, wiesz, to jest z boku, na chodnikach. Wojsko, milicja, no i dużo ludzi.
- Przy Komitecie spokój, wojsko.
- Spokój też na Świętojańskiej.
- Słuchaj, Ataman się pyta, Ataman się pyta, czy na Chylonie można się przedostać.
- Nie da rady, Ataman, nie da rady.
- Kasztan, Kasztan, tu Gujana. Przy Prezydium ponownie zbiera się, zbiera się. I są rozpraszani przez naszych gazem, gazem. I znów skupiają się z powrotem.
- Słuchaj, dokładnie sprawdź, bo ja mam tutaj słuchy, że tam wzywają, wzywają w ogóle helikoptery.
- Z karabinów maszynowych strzelają.
- Lazor, co z tym trupem?
- Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Dowiedz się, jak tam sytuacja pod Prezydium, bo coś mi tu przekazują, że znów jakiś trup, że strzelanina. Co tam jest?
- No widzisz, proszę ciebie, Asesor podaje, proszę ciebie, że tam (...) tylko on od Świętojańskiej nie widzi (...) pojechał tam sprawdzić.
- Będziesz coś wiedział, to przekaz.
- Duża grupa, duża grupa...
- Lazor, słucham ciebie.
- Otrzymałem informacje, że z zewnątrz jednego trupa niosą pod Prezydium jeszcze raz. Manifestacyjnie. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem.
- Od strony kwadratu T płynęły dwie na sygnałach karetki do śródmieścia.
- Dobrze. Od kwadratu T płynęły dwie karetki, tak?
- Tak, na sygnałach.
- Dobrze, zrozumiałem. Zorientuj się, co się tam dzieje przed Prezydium na Wzgórzu.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana. Czy coś bliżej wiesz już?
- Więc słuchaj, proszę ciebie, mnie podała Legia, że tam, proszę ciebie, rzucają petardy, rzucają petardy i że, proszę ciebie, od kwadratu T wjeżdżają na sygnałach dwie karetki.
- Dobra, słuchaj, tylko Lazor mi coś podawał z trupem. Czy oni tego trupa sprzątnęli, czy nie?
- Więc tego sprzed Prezydium wzięli, wzięli, zabrany jest.
- Ale coś mi podaje, że ponownie coś tam nieśli.
- To jak on wie, to niech ci poda.
- Sliwa, zgłoś się dla Bawarii.

- Zgłaszam się.
- Sliwa, nasi przy Prezydium nawojują przez tubę do rozejścia się, tylko to jest nie przy Prezydium, tylko przy żelaznym, przy żelaznym. I tam, wiesz, ci rzucają, a ci odrzucają im i jest taka, wiesz, walka. I helikopter rzuca tam.
- Słuchaj, ale ja mam informację, że są strzały do nas, do nas są strzały.
- Ja, wiesz, ja tu jestem gdzieś pięćset metrów od tego, to nie słyszę nic, nic nie słyszę.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj(...) na Świętojańskiej, nie dojeżdżając do Prezydium, tu jest taka stacja benzynowa/45/ na Świętojańskiej. Tu jest właśnie całe zgrupowanie. Na całej jezdni. Cała jezdnia. Pełno.
- Ale słuchaj, tam, gdzie, proszę cię, są oddawane strzały do nas, są oddawane strzały. Prawdopodobnie są ranni.
- No nie wiem, nie stwierdziłem tego, nie widziałem.
- Więc słuchajcie od Alaski. Spróbujcie, spróbujcie całą okolicę spenetrować, co się tam dzieje.
- Alaska, zgłoś się, Legia, zgłoś się.
- Zgłaszam się.
- Możesz mi powiedzieć bliżej o Prezydium?
- Tam trudno się przedostać. Jest w tej chwili zatarasowane.
- Zrozumiałem. Kto może coś bliżej powiedzieć o pobliżu Prezydium?
- No, słuchaj. Nie mogli się tam dostać, nie mogli się tam dostać(...) tu mam dla ciebie, podaję ci: 826 KK, K jak Krystyna, dwa razy K, 16. Biały volkswagen. Zrozumiałeś, Sliwa?
- 826 KK 16, biały volkswagen.
- Tak. Gdyby się pokazał tam w kwadracie A, to go przepędzić.
- Dobrze, zrozumiałem. Alaska, zgłoś się. Lazur, zgłoś się. Słyszeliście, co podawała Gujana?
- Tak, tak.
- To go przepędźcie.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Próbowałem podbić się tam bliżej do Prezydium, ale nie dają rady.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, ja tam w tej chwili nie mogę podpłynąć, bo w tej chwili jeszcze petardy rzucają, proszę cię, i jest tak zadymione, że nie można podpłynąć.
- Dobrze, zrozumiałem cię, dobrze.
- Sliwa, zgłoś się, Sliwa, zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się Sliwa.

/45/ Świętojańska 109. Na miejscu stacji stoi dziś blok mieszkalny.

- No, jak tam, no, jak tam sytuacja jest.
- Więc słuchaj od Alaski. Nie mogę się tam, proszę ciebie, zbliżyć. Jest tłum. Tam się coś dzieje, proszę ciebie, ale są dymy i nie mogę się tam dostać.
- Sliwa, tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Ja jestem na Czołgistów, w pobliżu Prezydium, wiesz, w pobliżu. Więc z tej strony tu nie ma nic. Względny spokój. W ogóle przy Prezydium nie ma nikogo. Tylko przy torach, tam przy torach, w kierunku żelaznego, tam są takie grupki chuliganów, no i milicja tam z nimi walczy. Rzucą petardy. Ale nic groźnego tu nie ma. Zamelduj im.
- Dobrze, zrozumiałem. To mówiła Bawaria, tak?
- To ta grupa(...) tylko flagi kirem ozdobione nieśli, tak?
- (...) ale co się tam dalej stało, to już nie wiem. Daleko byłem.
- Sliwa, Sliwa, słuchaj, ja Błysk, ja Błysk. Byłem w pobliżu ulicy Szenwałda, Szenwałda, rozumiesz? Chuliganie stoją, lat czternaście, piętnaście, szesnaście, kamieniami obrzucają.
- Lazur, zgłoś się, tu Gujana, Lazur, czy to był ten pierwszy, czy to już inny. Słuchaj, czy ty słyszałeś o pierwszym wypadku(...) i położyli przed Prezydium, czy to był ten sam?
- Kasztan, zgłoś się. Słuchaj, Lazur mi podawał, że nieśli jakiegoś młodego chłopaka. Trup. Nie mógł Lazur potwierdzić, tylko stwierdził, że młody jakiś chłopak był niesiony. I nie wie, czy to był ten pierwszy, czy inny wypadek.
- Bardzo dużo gapiów, bardzo dużo gapiów(...) pod Prezydium pięć jakiś temu.
- Sliwa, zgłoś się, tu Alaska.
- Zgłasza się.
- Słuchaj. Ogólna reakcja jest taka, że gdyby ich wycofali, to by był spokój. A wojsko by patrolowało. A tak, to ta smarkateria lata, z nimi drażni się, a ci nie mogą dać rady(...) żeby milicja się wycofała, wojsko patrolowało, byłby święty spokój, bo do wojska w zasadzie nie rzucają, tylko do milicji, do milicji.
- Słuchaj, a to jest w okolicy Wzgórza?
- Tak, tak, w okolicy Wzgórza. A tu najwięcej milicji pchają. Jak wojsko stoi, to ci nie rzucają.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Więc kanał Święty przy Prezydium również jest wolny, proszę ciebie, w kierunku również można jechać kwadratu C, tak samo wolny jest.
- Dobrze, zrozumiałem. Kto to podawał?
- Bawaria, Bawaria. Ja właśnie płynę Świętym kanałem.
- Dobrze, zrozumiałem. Gujana, Bawaria mi podała w tej chwili, że przejechała trasę Świętojańską aż do, proszę ciebie, wylotu na kwadrat C. I powiada, że tu jest spokojnie i można przelaty-

wać. A tylko tu na Wzgórzu, przy przystanku są takie grupki(...) rzucają i prowokują milicję. Wojska nie ruszają.

- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się. Bawaria, Bawaria przepłynęła od kanału Świętego do kwadratu C. Jest spokojnie, jest spokojnie. Można przepłynąć. Tylko w okolicy Wzgórza, Wzgórza, grupy chuliganów prowokują, prowokują naszych. Rzucają kamieniami. Zielonych nie ruszają, tylko naszych.

- Na Czwartego, na Czwartego w stronę Gdańska jest(...) jest tłum(...) przy tych karetkach, przy tych karetkach.

- Tam jest przy karetkach bierny tłum, tak? Jaka mniej więcej ilość?

- Trzysta, czterysta osób.

- (...) oznakowany czerwonym krzyżem.

- To znaczy żuk, żuk z oznakowaniem czerwonym, tak? Z czerwonym krzyżem wywozi ze szpitala rannych.

- Nie, przywozi, przywozi.

- Rozumiem, przywozi rannych.

- (...) i posiada z boku napis "krwiodawcy".

- Tu Alaska, tu Alaska, dla wszystkich! Nie przesadzać, nie wyolbrzymiać. Prawdziwie podawać, prawdziwe fakty podawać.

- Tak jest, tak jest, Alaska, upomnij. Bo po prostu okazuje się, że to nie są ranni, a po prostu krwiodawcy.

- Śliwa, zgłasza Bawaria. Ja jestem koło Prezydium teraz. No jest na placu tłum, ale jest bierny. Przyglądają się wszystkim, przyglądają się.

- Ale przyglądają się czemu?

- No w kierunku Prezydium. Obserwują milicję.

- Duże zgrupowanie na torach, na torach koło żelaznego i wiaduktu.

- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, zgłoś się, tu Gujana. Duże zgrupowanie na torach przy Wzgórzu. No, na razie ich tam rozproszyli i to wszystko na torach czeka.

- (...) od Świętojańskiej do Prezydium(...) Świętojańską około pięćset osób zbliża się.

- Alzacja, Alzacja, ja Autor, jak mnie słyszysz, odbiór.

- W kwadracie A wygląda tak sytuacja: dworzec, komitet, kanał Święty, plac Kaszubski - to wszystko czyste. Na kanale Czwartego przy pogotowiu jest małe zbiorowisko przy czołgach wojskowych i tam rozmowy są z żołnierzami. Następnie większy tłum jest na wysokości skrzyżowania Czołgistów i Czwartego, tam na tym nasypie przy torach.

- Dobra, dobra, zrozumiałem. I pod Prezydium, tak?

- Poczekaj, zaraz ci podam. Prezydium odpiera ten tłum i dlatego to zgrupowisko jest tu na tym, wiesz, wale i tu przy tej szkole, wiesz, jak ta szkoła jest. No i tu cała ta strona, jak, wiesz, Wzgórze Nowotki. Po tej stronie, może coś tam, wiesz, i tam jest tłum. Wysokość Prezydium i tutaj rozciągnięty. Reszta Gdyni czyste.

- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, tu Gujana.



Kasztan, przy Prezydium i przy Wzgórzu tam na nasypach przy torach jedynie tłum. Pozostałe rejony w Kwadracie A są czyste.

- (...) dobra, czekaj, czekaj!
- 285, jaka sytuacja na Wzgórzu przy torach?
- Czyszczony jest kanał Czwarty.
- Tak, tak. Tylko na bokach. Tam wojsko weszło.
- 55, 235. Tenzor dwa.
- Ja Tenzor drugi...
- Podaj sytuację na torach na Wzgórzu Nowotki.
- Dobrze, zaraz ci będę podawał sytuację. Wiesz stoją pociągi elektryczne, jeden za drugim. Następnie pociąg towarowy(...) przed samym dworcem. Na samym dworcu jest grupka ludzi, czterysta, sto pięćdziesiąt, dwieście i pociąg elektryczny stojący. Natomiast troszeczkę dalej(...) około dwieście pięćdziesiąt, trzytęsto osób. Rozumiesz?
- Petardy jeszcze masz?
- Mam.
- Używać, używać.
- Używać?
- Tak, używać.
- 287 start.

*Dalszy zapis jest słabo czytelny, odczytać można było tylko niektóre fragmenty meldunków:*

- W rejonie Wzgórza spokój, wszystko rozpedzone i należałoby czerwone uruchomić, bo dużo czeka na przystankach.
- Starowiejska ściana wschodnia jest wolna, no i koło dworca też.
- Prawdopodobnie coś się dzieje koło "Bałtyku" na Kieleckiej. Na zachód od hotelu "Bałtyk", jak te górki są, tam jest koło szkoły(...) w takich grupkach po cztery, pięć, sześć osób(...) tych pojedynczych atakują, atakują.
- Na Władysława IV na wysokości delikatesów jest duże zgromadzenie, tam, gdzie stoją te opancerzone. Na chodnikach i nawet na jezdni, przytych opancerzonych. Biernie stoją. Rozmawiają z żołnierzami.
- Czerwone już kursują normalnie. W kwadracie A spokój(...) Podobno już kursują żelazne...

opracowała

WIESŁAWA KWIATKOWSKA

Gdynia 17.12.1970 - 0701.11.11 1100



## OD REDAKCJI

Prezentujemy fragment książki Wiesławy Kwiatkowskiej *Grudzień '70 w Gdyni*, powstałej z inicjatywy Funduszu Robotników Wybrzeża. Autorka przez dziewięć miesięcy - do 13 grudnia 81 - pracowała w sekcji historycznej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych NSZZ "Solidarność" Zarządu Regionu Gdańsk. Zajmowała się tam opracowaniem przebiegu wydarzeń grudniowych w Gdyni. Pierwszymi materiałami na ten temat było pięć relacji nadesłanych w odpowiedzi na apel gdańskiego MKZ. Pozostałą część materiału, na który złożyło się w sumie ok. 80 relacji uczestników i świadków wydarzeń, zebrała Autorka sama. Udało jej się dotrzeć zarówno do poszkodowanych, jak i do osób piastujących w owym czasie odpowiedzialne funkcje w aparacie władzy.

Wprowadzenie stanu wojennego przerwało możliwość legalnego kontynuowania tej dokumentacji. Co gorsza, duża część materiałów bezpowrotnie przepadła - "po części wskutek rewizji, po części z powodu zamieszania wywołanego stanem wojennym" - jak mówi sama Autorka. Zagięły m.in. /pozostające w jednym egzemplarzu/ autoryzowane wypowiedzi dyrektora Stoczni im. Komuny Paryskiej M. Tymińskiego i I sekretarza POP w tejże stoczni W. Porzyckiego, a także nieautoryzowane jeszcze relacje admirała L. Janczyszyna, I sekretarza KM PZPR w Gdyni H. Malinowskiego i przewodniczącego gdyńskiej Miejskiej Rady Narodowej J. Mariańskiego. Zagięła również teczka z relacjami lekarzy szpitali gdyńskich. "To, co cudem ocalało", złożyło się na książkę Kwiatkowskiej. Rekonstrukcja ta, stanowiąca owoc wielomiesięcznej pracy Autorki, dała w efekcie wstrząsający dokument o tragicznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu. Książka Wiesławy Kwiatkowskiej będąc historycznym świadectwem, jest jednocześnie hołdem oddanym poległym na gdyńskich ulicach w tamtych dniach.

Drukując obszerny fragment tej pracy mamy nadzieję, że jej całość już wkrótce dotrze do rąk Czytelników.

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

## ŚWIAT ZAKORZENIONY

Doświadczenie społeczne Polaków, zgromadzone w ciągu ostatnich lat, stanowi dla każdego, kto pragnie rozumieć świat, swoiste wyzwanie. Jest to szczególne wyzwanie dla socjologa, dla socjologicznej refleksji o życiu społecznym. Wąsko-polityczny lub moralistyczny aspekt bierze górę w opisie i ocenie sekwencji wydarzeń społecznych, jakie miały miejsce w Polsce między 1980 rokiem a chwilą obecną /obejmując przy tym mityczny rok 1984/. Łatwo to zrozumieć, aczkolwiek nie można na tym poprzestać. Jest rzeczą oczywistą, że okres 1980 - 1981 ma znaczenie zasadnicze. Bez względu na dalszy bieg historii, a też i bez względu na załamanie się tej próby, usiłowanie zbudowania społeczeństwa obywatelskiego, z jakim mieliśmy do czynienia, ma kluczowe znaczenie dla przyszłości. Ale dlatego też, pojawia się konieczność - nawet pilniejsza z powodu upływu czasu - maksymalnego wyzyskania, jeśli można tak powiedzieć, żywego doświadczenia społecznego tamtej chwili również dla refleksji trwalszej i bardziej systematycznej, niż polityczna. Doświadczenie to było bowiem na tyle osobliwe, że wnosi coś ważnego do naszej wiedzy o życiu społecznym w ogóle. Wymaga skontrolowania dotychczasowego aparatu myślowego naukowej refleksji nad ludzkim światem i wprowadzenia takiej instrumentacji pojęciowej, aby to unikalne doświadczenie społeczne można było utrwalić.

Rzecz jasna, wymaga to przedsięwzięcia szeroko zakrojonego. To, co pragnę tutaj przedstawić, jest naprawdę bardzo szkicowym pierwszym przybliżeniem do takiej, możliwej do przemyślenia, analizy.

Chciałbym się tutaj skupić na osobliwościach tzw. psychologicznych i socjologicznych mechanizmach życia społecznego, które ujawniły się w dziejach społeczeństwa polskiego w ciągu ostatnich lat i które jako osobliwości ujawniają się ze szczególną siłą, gdy do opisu zjawisk pragnie się użyć - całkiem przecieś pojemnej i elastycznej - sieci pojęciowej nowoczesnej socjologii. Bez względu na to, że różne koncepcje i podejścia socjologiczne są pomocne przy formułowaniu najogólniejszej, syntetycznej interpretacji tego, co się w Polsce działo, to jednocześnie okazuje się, że horyzont refleksji o społeczeństwie pomija istotne wymiary życia zbiorowego i - tym samym - ludzkiej osobowości. Tutaj jednakże wkraczamy już w dziedzinę podstaw, sięgamy do korzeni, z których wyrasta tzw. naukowa refleksja i zwłaszcza - naukowa metoda. A zatem w dziedzinę, któ-

*Artykuł publikujemy bez wiedzy i zgody Autora*

ra opracowuje dyskursywnie fundamentalne doświadczenie s e n s u.

Wszakże na ten temat zamierzam wypowiadać się nader ostrożnie - chodzi mi tylko o to, że naukowy rymsztunek socjologii zakłada - nieświadomie na ogół - pewien obraz społeczeństwa i pewien obraz człowieka. Obraz ten utwierdza takie czy inne uzasadnienia filozoficzne, które powodują, że sama analiza pomija lub nie daje możliwości opisu wymiarów świata, które konieczne muszą być wzięte pod uwagę, jeśli chcemy najpierw zrozumieć całość doświadczenia społecznego, o które nam chodzi. Nie chciałbym tutaj wdawać się w dyskusję na temat światopoglądowych czy filozoficznych korzeni myśli socjologicznej. Rejestruję tylko fakt, że "obiektywna socjologia naukowa" opiera się na ściśle określonych rozstrzygnięciach metafizycznych i że konieczność jej teoretycznego wzbogacenia zmusza, by ponownie odwołać się do refleksji filozoficznej.

Oparcie teoretycznej socjologii na filozofii, która wprawdzie podejmuje zmaganie się ludzi z zagadką istnienia, zamiast na pozytywistycznej filozofii nauki i metodologii nauk postuluje się od dawna /u nas znaczący jest tu myślowy dorobek E. Mokrzyckiego /1/. Samo doświadczenie społeczne - konkret bardziej namacalny, niż jakkolwiek naukowa empiria - zdaje się zmieniać ten postulat w konieczność.

Lecz zostawiam ją tutaj na uboczu. Jakie osobliwości życia społecznego ujawniają się, gdy konfrontujemy socjologię ze społecznym doświadczeniem? Co notorycznie nie jest uwzględniane przez naukową myśl o społeczeństwie i o osobowości, a co daje w Polsce o sobie znać? Jak można określić w języku nauki i społecznej publicystyki uniwersalny sens partykularnego, polskiego doświadczenia? Oto moje pytania, na które pragnę udzielić odpowiedzi wstępnej i szkicowej, z konieczności mało naukowej w formie. To raczej szkic, który może się stać podstawą do systematycznej analizy i udokumentowanego badania.

## SPOŁECZENSTWO OBYWATELSKIE - PROCES DOJRZEWANIA IDEI

Wielki ruch społeczny "Solidarność", i to zarówno jako ruch związkowy, jak i ruch społecznych reform, ujmowano w różne schematy. Na ogół wskazują one, że specyfika tego ruchu społecznego polegała na powiązaniu w spójną całość kilku, różnych elementów w bieżącym działaniu społecznym, zachowanie integracji specyficznej struktury dążeń ruchu, było warunkiem jego dynamiki i powodzenia. Taki na przykład schemat przyjmuje badacz "Solidarności" jako ruchu społecznego, A. Touraine /2/. Ujmuje on "Solidarność" jako ruch, dążący do osiągnięcia celów na trzech różnych poziomach: związkowym, społecznym i narodowym. Podstawą działań w kierunku demokratyzacji życia społecznego jest organizacja związkowa, broniąca interesów pracowniczych wobec państwa-pracodawcy na poziomie zakładów pracy. Z kolei wyzwolenie społeczeństwa i udemokratyzowanie państwa jest podstawą działań, które mają na celu obronę narodowej tożsamości i uzyskanie poczucia narodowej podmiotowości. Integracja działań na tych trzech poziomach była - zdaniem Touraine'a - warunkiem powodzenia Związku i osiągnięcia celów ruchu społecznego. Układ celów wspólnego działania społecznego, który tworzył spójną całość,

stanowił również strukturę motywacji indywidualnych ludzi. Podstawą była działalność związkowa, a więc obrona podstawowych interesów życiowych, które decydują o warunkach egzystencji. Ale świadomość zabezpieczenia swych interesów natychmiast przenosiła człowieka na poziom reguł życia społecznego, na poziom reguł działania instytucji, wobec których i w ramach których mogli wyrażać i bronić swoje interesy. Prawo do obrony swoich interesów oznaczało konieczność takiej reformy życia zbiorowego, aby w sposób jednoznaczny i poddający się kontroli instytucje społeczne w codziennym działaniu zakładały i gwarantowały przestrzeganie praw przysługujących jednostkom. Tylko bowiem wtedy ludzie mają zagwarantowaną swobodę wyrażania swoich rzeczywistych interesów. Można zaś bronić swych interesów i zarazem dbać o dobro wspólne, gdy można je bez obawy wyrażać.

Nowe reguły - przestrzeganie praw - natychmiast prowadziły do rozważenia sprawy niezawisłości państwowej i narodowej. "Wyzwolenie społeczeństwa" zakłada bowiem przyjęcie przez władze partyjno-państwowe nowych reguł działania, a to wiązało się ze sprawą zależności rządzących w Polsce od Związku Radzieckiego. Każdy więc element w tej strukturze był ze sobą w sposób k o n i e c z n y powiązany i to w taki sposób, że logiczna i empiryczna konieczność pokrywały się ze sobą przynajmniej na planie najogólniejszej definicji sytuacji. Mediacje i gra między tymi trzema poziomami, gra pragnień i możliwości, nadziei i zagrożeń, dążeń i ograniczeń wyzwalała tę niezwykłą ruchliwość zbiorową i indywidualną w Polsce w okresie 1980 - 1981, a i potem jeszcze, choć na coraz mniejszą skalę.

Na ten bardzo skrótko tutaj przedstawiony schemat interpretacyjny spojrzeć można jednakże z innej strony, by zobaczyć samą rzeczywistość, przezeń opisywaną, nieco inaczej. Aczkolwiek schemat ten - jak wolno sądzić - bardzo dobrze oddaje podstawową strukturę motywacji działań zbiorowych i indywidualnych w obrębie ruchu "Solidarności" i pozwala na wszechstronną analizę tego, co się w obrębie ruchu działo, to jednakże - używając go - pozostajemy bezradni wobec pytania: skąd się taka struktura motywacyjna i struktura działań wzięła? Chociaż schemat Touraine'a objaśnia, dlaczego i jak powiązane były ze sobą elementy, zazwyczaj występujące osobno, dlaczego taka "całość" celów działania miała sens, to jednak nie potrafi wskazać, co było podstawą rozwinięcia się tej złożonej struktury sensownej? Co otwierało perspektywę, w której formowała się - jako sensowna odpowiedź - potrzeba działania na tych trzech poziomach?

Sądzę, że impuls, który otwierał nową perspektywę przeżywania siebie i świata, myślenia o sobie i o świecie oraz stosownego działania, można opisać, posługując się kategorią społeczeństwa obywatelskiego.

Idea społeczeństwa obywatelskiego bynajmniej nie jest ideą prostą, a model życia społecznego i indywidualnego, który postuluje i /lub/ koniecznie implikuje, jest wielowarstwowy, złożony. Ponadto jest niejednoznaczny, jeśli chodzi o jego egzystencjalną ocenę. Trudno by taka złożona idea była impulsem. Jednakże podstawa społeczeństwa obywatelskiego da się wyrazić w sposób niezwykle prosty i jest zakorzeniona w całkiem fundamentalnym, elementarnym doświadczeniu ludzkim. Konstatacja, która jest bazą społeczeństwa obywatelskiego, doprawdy może być

twórczym impulsem. Tę myśl, która uderzyć może każdego z nas, którą każdy człowiek znaleźć może jako najbardziej "swoją" refleksję, tak oto wyraziła Simone Weil: Różnica pomiędzy niewolnikiem i obywatelem /Montesquieu, Rousseau/: niewolnik jest poddany swemu panu a obywatel prawom. Zresztą pan może być bardzo łagodny, a prawa mogą być bardzo surowe: to niczego nie zmienia. Wszystko zawiera się w dystansie pomiędzy kaprysem i zasadą. Dlaczego uległość kapryswi jest niewolnictwem? Przynajmniej sprwadza się ostatecznie do stosunku pomiędzy duszą i c z a s e m. Kto jest poddany samowoli jest zawieszony na nici czasu; c z e k a /najbardziej poniżająca sytuacja/ na to, co przyniesie następna chwila. Nie rozporządza swoimi chwilami. Teraźniejszość przestaje być dla niego dźwignią, przy pomocy której oddziaływuje się na przyszłość./3/.

Wydaje mi się, że to doświadczenie - jakże poniżające! - iż nie rozporządzam swoimi chwilami i muszę czekać, co przyniesie następna chwila, która całkowicie pozostaje w rękach władzy partyjno-państwowej stanowiła podstawę uformowania się ruchu społecznych reform i działalności związkowej.

Zadaniem socjologii pozostaje wyjaśnienie, jak się narodził i jak przebiegał proces, w wyniku którego na masową skalę ludzie: po pierwsze - doświadczyli życia według dotychczasowych reguł jako poniżającego, po drugie zaś - postanowili aktywnie zaświadczyć swoją obywatelską postawę? Specyfika "garącego lata" 1980 i twórczy konstruktywny ładunek, jaki niósł ze sobą strajk na Wybrzeżu i "21 postulatów" strajkujących polegał na tym, że mieliśmy do czynienia nie tylko i nawet nie tyle z buntem, ile z pozytywnym działaniem, z programem społecznego działania. Jak przebiegał proces, w wyniku którego narodziło się przekonanie, że j e s t s i ę o b y w a t e l e m, że trzeba zachować się tak jak o b y w a t e l, to znaczy trzeba aktywnie w z i ą ć o d p o w i e d z i a l n o ś ć z a c h w i l e s w e g o ż y c i a, że nie można dłużej czekać, lecz należy zadbać o siebie, o swoich bliskich, o los kraju - wspólnego dobra? Bo taka konstatacja i taki impuls zapoczątkował proces wspólnych działań i wyznaczył kształt celów.

Proces taki, jak wolno sądzić, narastał od roku 1976. Sta- rałem się go odtworzyć, opierając się na wynikach badań, które przeprowadziliśmy w Warszawie i okolicach na przełomie 1980 i 1981 roku, a których przedmiotem było tworzenie organizacji w różnych zakładach pracy /4/. Nie chciałbym powtarzać tu całego rozumowania. Zaznaczę jedynie, że proces ten wyznaczyło kilka czynników: po pierwsze, swoiste, "warunkowe" uznanie przywódctwa E. Gierka, uzależnione od realizacji obiecanego programu modernizacji życia; po drugie, załamania się oczekiwań społecznych, związanych z tym programem oraz złamanie poczucia godności własnej ludzi pracy, nade wszystko robotników w 1976 roku; po trzecie, powstanie demokratycznej opozycji, formułującej program moralnej odbudowy życia społecznego, skoncentrowanej na kwestii praw człowieka w realnym socjalizmie oraz budującej więź pomiędzy inteligencją a "zwykłymi ludźmi"; po czwarte, oddziaływanie religii katolickiej i Kościoła, szczególnie aktywizującego poczucie podmiotowości ludzi w wyniku zmian posoborowych; po piąte, wybór kard. Karola Wojtyły na papieża, szczególnie zaś - wizyta Jana Pawła II w 1979 r.

i jego nauczanie skupione na naturalnych prawach osoby ludzkiej, które zakorzenione są w transcendentnym ładzie wartości; po szóstce, narastający kryzys ekonomiczny, którego polityczne uwarunkowania były coraz bardziej oczywiste dla szerokiego rzesz społeczeństwa, załamały się bowiem dotychczasowe sposoby legitymizacji /choćby częściowej/ systemu władzy /5/.

#### DEFINICJA SYTUACJI SPOŁECZNEJ I POTRZEBA ZAKORZENIENIA

Konstatacja, która wieńczyła ten proces, decydowała o swoistym "domknięciu się" definicji sytuacji społecznej. Umożliwiła diagnozę stanu rzeczy, która przyjmowała, że dotychczasowe reguły życia społecznego, nade wszystko reguły działania władzy zarówno niszczą godność własną i uderzają w poczucie własnej wartości, jak i nawet za tę cenę nie zapewniają zaspokojenia podstawowych potrzeb i interesów. Oś myślenia i działania społecznego tworzyło przekonanie o tym, że ulec muszą zmianie reguły życia zbiorowego, usytuowanie instytucji wobec ludzi, wobec społeczeństwa, to właśnie decyduje zarówno o warunkach wspólnego życia, jak i o wynikach działalności gospodarczej. Nade wszystko dotyczyło to usytuowania państwa wobec społeczeństwa. Bez względu na to, jak nieporadnie myśl taka była wypowiadana, jak niejasno formułowana, wydaje się, że przekonanie o tym, iż trzeba zmienić reguły rządzenia krajem, reguły sprawowania władzy, od czego zależy zarówno sfera gospodarcza, jak i współżycie między ludźmi, było podstawą formującego się ruchu. Bardzo wyraźne było - zwłaszcza w początkowej fazie działań społecznych - zamierzenie reformowania życia społecznego. Działania społeczne nie zmierzały w kierunku zdobycia władzy, czyli odebrania władzy rządzącej PZPR, ale do wymuszenia na niej - za cenę zgody na sprawowanie przez nią dalej rządów - zmiany reguł sprawowania władzy, podborządkowanie zarówno przedstawicieli władzy, jak i społeczeństwa jednolitemu prawu. Bowiem poczucie zniewolenia i złamanie godności ludzkiej wiązało się z systemem przywilejów, jakie przypisane były do pełnionych funkcji partyjno-państwowych. System przywilejów utwierdzał wyniesienie "ludzi władzy" nad resztą społeczeństwa i podtrzymywał ich uprzywilejowaną pozycję w możliwościach decydowania nie tylko o swoim losie, ale o losie całej zbiorowości - zarówno jako całości, jako społeczności, jak i o losie poszczególnych ludzi, którzy ją tworzyli. Prawo stało się narzędziem władania i administrowania życiem społecznym, a system instytucji państwowych uniemożliwiał nieskrępowane, spontaniczne działanie społeczne. System społeczny, tworzony przez ekipę gierkowską, wykorzeniał zatem ludzi, bo czynił ich poddanymi. *Zakorzenie* - mówi Simone Weil - jest, być może, najważniejszą i najbardziej zapożnaną potrzebą duszy ludzkiej. Zarazem jest to potrzeba, którą zwykle trudno określić. Istota ludzka ma korzenie, jeżeli rzeczywiście, w sposób aktywny i naturalny, uczestniczy w egzystencji wspólnoty, przechowującej jakieś skarby przeszłości i obdarzonej praezuciem jutra. Uczestnictwo powinno być naturalne, to jest powstawać automatycznie dzięki miejscu, urodzeniu, otoczeniu, zawodowi. /6/

Poczucie, że system społeczno-polityczny dąży do wykorzystania ludzi, że wyrывa ich z gleby, stanowiło zasadniczą treść



definicji sytuacji społecznej, jaką formułowano powszechnie w ciągu "gorącego lata" 1980 roku. Na tę definicję składało się poczucie, że się "jest u siebie", a tak, jakby się nie było; że się "jest sobą", a tak, jakby się sobą nie było.

Społeczeństwo obywatelskie to stan, który najlepiej odpowiada tej potrzebie, aby "poczuć się sobą" i aby "mieć poczucie, że się jest u siebie". Społeczeństwo obywatelskie jest bowiem oparte na idei, że każdy członek społeczności, bez względu na to, kim jest i jak ważną dla wspólnoty rolę odgrywa, ma prawo decydować o swoim losie i zabierać głos we wszystkich sprawach, które go dotyczą.

Jego głos może być głupi i może nie być wysłuchany, ale nikt ze współobywateli nie może mu odmówić prawa do zabrania głosu. Jego głos może wpłynąć na błędne decyzje; człowiek nawet za to może być pociągnięty do odpowiedzialności, ale nikt nie może mu odebrać prawa do sformułowania własnego zdania i po prostu podporządkować go swoim decyzjom, z góry założwszy, że jest głupszy, że nie działa w dobrych intencjach, czy że w ogóle jest niegodny, by decydować o czymkolwiek. Społeczeństwo obywatelskie jest w tym sensie n a j p i e r w stanie zakorzenienia człowieka w świecie; bowiem, aby stać się o b y w a t e l e m nie potrzeba żadnych specjalnych kroków; jest się obywatelem na mocy - co najwyżej - dorosłości. Bycie pełnoprawnym członkiem wspólnoty i bycie obywatelem to tożsamość. Dlatego też, jak sądzę, od pierwszych dni na ustach wszystkich, przystępujących do zbiorowego, wspólnego działania pojawiło się hasło "demokracja".

Można to odwrócić i powiedzieć, że proces społeczny, jaki uruchomiony został w Polsce poprzez dzieło tworzenia niezależnych organizacji związkowych odkrywał i nawiązywał do samego rdzenia idei demokracji. Odsłaniał fundamentalny, k u l t u r o w y czy też d u c h o w y sens demokracji. Pokazywał, że demokracja ni jest tylko pewnym systemem sprawowania rządów, typem uprawiania polityki i techniką podejmowania decyzji. Demokracja wyznacza pewną kondycję ludzką i przez pewną kondycję sama jest wyznaczona, ma zasadnicze znaczenie dla obrazu samego siebie człowieka i wyznacza warunki dla poczucia i funkcjonowania więzi między ludźmi.

#### KULTUROWY I DUCHOWY SENS DEMOKRACJI

Demokracja jako forma społeczeństwa obywatelskiego jest gwarancją podstawowej wartości, która wyznacza sens życia ludzkiego: poczucia godności własnej, poczucia, że wolno mi "być sobą" i że mam prawo do zachowania swego spontanicznego poczucia tożsamości. Nie mogę zachować poczucia swojej tożsamości ani przekonania o swojej wartości, nie mogę zatem osiągnąć poczucia zakorzenienia, jeżeli nie przyznano mi prawa do "bycia sobą", jeżeli nie doświadczyłem, że bez względu na swoje wady i zalety, osiągnięcia i przewinienia mam swoje miejsce we wspólnocie i przysługują mi osobnicze prawa. Mogę z nich zrobić taki czy inny - lepszy czy gorszy - użytek. Mogę ich nie uznać, bądź też w ogóle nie korzystać z tego, co mi dają. Ale te prawa, które mam jako członek wspólnoty, są niezbywalne, należą mi się i za-

sadniczo zrównują moją kondycję ze wszystkimi innymi ludźmi jako osobami. Demokracja to stan umożliwiający ludziom - nie tylko mnie, ale wszystkim innym - "bycie obywatelem", a więc "bycie sobą" i posiadanie "swego miejsca" w świecie, w społecznym świecie pomiędzy ludźmi. Stanowi tym samym potwierdzenie i zabezpieczenie zasadniczej równości kondycji ludzkiej. Jesteśmy równi w tym, czego uznanie i doświadczenie praktyczne zakorzenia nas w świecie: wszyscy jesteśmy osobami, jesteśmy rozumnymi i moralnymi podmiotami, mamy zatem prawo uczestnictwa we wspólnocie tacy, jacy jesteśmy na mocy naturalnych praw. "Naturalne prawa człowieka" nabierają tutaj, rzecz jasna, specyficznego charakteru. Mają bowiem tylko wtedy sens, gdy stanowią konkretyzację obiektywnego porządku wartości. Jeżeli sama **n s t y t u c j a p r a w a** i jej cel, jakim jest ochrona jednostki, wynika z transcendentnego wymiaru świata, jeżeli zbudowana jest na fundamencie moralnym i jeżeli moralność koncentruje się wokół wartości o s o b y ludzkiej, ochrania ją i zabezpiecza. Wartość osoby ludzkiej - podmiotu życia może być tak akcentowana, jeżeli przyjmie się, że kondycję człowieka określa miłosirny Bóg chrześcijaństwa. Również przypuszczenie, że istnieje obiektywna hierarchia wartości i że stanowi ona realny aspekt świata, nie da się na dłuższą metę utrzymać, jeżeli się nie założy działania Boga, jak pokazuje to - sędzę, że przekonywająco - rozumowanie M. Schelera /7/.

Zarysowane wyżej rozumowanie może być uznane za spekulację i ideologię. Jednakże sędzę, że odtwarza ono w syntetyczny sposób dominujący kierunek myślenia ludzi w Polsce, sposób, w jaki rozwijało się myślenie ludzi o świecie i o ich własnym w nim działaniu. Bowiem pojmowano "obywatelskość" w takiej perspektywie, w której myślenie społeczne, a więc **m y ś l e n i e o u r z ą d z e n i u** życia społecznego, życia dzielonego pospołu z innymi, wiąże się z myśleniem o wartościach i z kategoriami religijnymi. A w taki sposób powszechnie myślano w Polsce w okresie 1980 - 1981. Co więcej, wydaje się, że właśnie rozwinięcie w publicznym dyskursie i w społecznym działaniu tego - rzecz można - transcendentnego, czy metafizycznego wymiaru życia społecznego, dawało taki rezonans "sprawie polskiej" w świecie.

Z czysto empirycznego punktu widzenia warto jeszcze dodać, że przebieg wydarzeń zarówno w czasie strajków latem 1980 roku, jak i późniejsze wydarzenia potwierdzają żywość i powszechność odniesień religijnych, a także obecność myślowych kategorii chrześcijaństwa w codziennych i odświętnych działaniach społecznych. Zresztą myślenie, które "na codzień" uwzględnia i spożytkowuje kategorie religijne, które "zakorzenia" refleksję codzienną w rzeczywistości transcendentnej to doświadczenie większości społeczeństwa polskiego.

#### IDEA DEMOKRACJI A RELIGIA

Stawia nas to wobec ważnego problemu. Jeżeli bowiem taka interpretacja powszechnej świadomości potocznej jest zasadna, to prowadzi nas do wniosku, że ruch społeczny Polaków odwoływał się do idei demokracji, zbliżonej do tej, na której opiera się społeczeństwo amerykańskie. Uderza zbieżność w pojmowaniu demokracji tak, jak objawiła się ona w głównym nurcie

społecznych działań z zasadami, które Alexis de Tocqueville odnajduje jako charakterystyczne dla demokracji amerykańskiej. Nade wszystko chodzi tu właśnie o zakorzenienie idei amerykańskiej demokracji w ładzie obiektywnych, moralnych, a więc tym samym religijnych wartości.

Tocqueville podkreśla - pisze Wojciech Karpiński, charakteryzując specyfikę amerykańskiej demokracji - że w Ameryce nikt nie odważył się wysunąć maksymy, głoszonej w Europie przez despotów rewolucji, jakoby w interesie społecznym wszystko było dozwolone. Maksyma bezbożna, która w wieku wolności wymyślona została chyba po to, aby uprawomocnić poczynania wszystkich przyszłych tyranów - przytacza słowa Tocqueville'a. - Otóż, jeżeli prawo nadaje społeczeństwu amerykańskiemu wszechwładzę, to religia kładzie tamę dowolności pomysłów, zabrania porównać się na wszystko /.../ Istnieje sfera w człowieku, której naruszać nie wolno nawet w imię najpiękniejszych haseł. Istnieją racje wiary - pisze w dalszym ciągu W. Karpiński - dla których człowiek może powiedzieć "nie" żądaniom większości, nakazom najbardziej demokratycznej władzy /.../ Religia stanowi fundament indywidualnej swobody i i sensowności zbiorowych działań. Pod warunkiem zagwarantowania wolności sumienia /.../ Choć w Ameryce chrześcijaństwo nie uczestniczyło we władzy, jego rola była większa niż gdziekolwiek. Było fundamentem obywatelskich swobód. Określało stosunki między ludźmi, milczące zobowiązania, jakie przyjmują na siebie rządzący i rządzeni. Dopiero te idee regulatywne świadomości społecznej nadały sens prawom i instytucjom /8/.

We fragmencie, który częściowo zacytowałem, W. Karpiński podkreśla - podnoszoną również przez Tocqueville'a - różnicę w usytuowaniu społecznym religii i kościołów w Ameryce i w Europie. Podkreśla, że wielość wyznań miała istotne znaczenie dla amerykańskiej demokracji. Również oddzielenie Kościoła od państwa powodowało wzajemne wzmacnianie się wiary i wolności.

W Polsce, zwłaszcza w ostatnich latach, pozycja Kościoła jest unikalna i szczególna; uderzająca jest również całkowita przewaga katolicyzmu nad jakimkolwiek innym wyznaniem. A przecież trudno oprzeć się wrażeniu, że w rozwijającym się procesie działań reformatorskich mieliśmy do czynienia - w głównym nurcie społecznym, co podkreślam - z formowaniem się takiej świadomości demokratycznej, gdzie charakterystyczne dla społeczeństwa amerykańskiego idee regulatywne, nakazujące tolerancję i przyznające swobodę wielorakości również moralnych mniemań ludzi, odgrywały wybitnie ważną rolę. Paradoks, wnoszony przez ten fenomen, polegałby na tym, że właśnie przyjęcie religijnego punktu widzenia, spojrzenie na codzienną i "praktyczną" dziedzinę świata społecznego z perspektywy - rzecz można - ewangelicznej, dawało ludziom w Polsce taką swobodę i tolerancję wobec siebie, taką łatwość w uznaniu barwności, wielorakości, złożoności świata społecznego; dawało zaskakujący fundament dla spontanicznego i masowego zrozumienia ważności pluralizmu w życiu wspólnoty społecznej. "Roboczy consensus" budowany był na uznaniu prawa do "inności" drugiego /9/.

Nie twierdzą przy tym, że okazał się to fundament trwały. Wydaje się, że ten aspekt zbiorowego wysiłku duchowego ulegał i ulega po roku 1981 daleko idącym przekształceniom. Bez względu na to, jak je wyjaśnimy, występuje trend istotnie rozbieżny z tym, jaki tutaj wskazujemy. Lecz tym ważniejsze wydaje mi się możliwe dokładne odtworzenie sensu tamtych wydarzeń, abyśmy zbytnio nie ulegali naciskowi bieżącej chwili w interpretacji tak przecież niedawnej przeszłości.

#### ZAKORZENIENIE W WARTOŚCIACH I ZRÓŻNICOWANIE MYŚLENIA SPOŁECZNEGO

Twierdzą, że swoistość ruchu reform społecznych, jaki uformował przestrzeń życiową rozwijały się w szerszej i zgoła metafizycznej perspektywie - w perspektywie rozeznania obiektywnego i transcendentnego wobec ludzkiej wspólnoty ładu wartości moralnych. Moralna podstawa podejmowania działań społecznych nie była jednakże myśleniem moralizatorskim, z którym mamy teraz do czynienia jako najbardziej rozpowszechnioną formą myśli społecznej. Wysiłek, jaki podejmowano wówczas, polegał na szukaniu takich sposobów praktycznego, instytucjonalnego - rzecz by się chciało - myślenia o świecie i takich rozwiązań organizacji zbiorowych i indywidualnych działań, aby kształtujący się ład społeczny stanowiął m a n i f e s t a c j ę transcendentnych wartości, aby stanowiął ich rozwinięcie czy zastosowanie i aby prowadził do nich człowieka.

Chodziło więc o uczynienie życia ludzkiego, życia wszystkich członków wspólnoty - życiem godnym, życiem pełnym, bo zanurzonym w wyższych wartościach i prowadzącym do Boga. Urządzenie swojego własnego życia oraz urządzenie życia całej społeczności w zgodzie z porządkiem wartości, objawianym przez religię - to zadanie, które zostało podjęte, zadanie na miarę obywatelskiego poczucia odpowiedzialności i troski ludzi o własne dusze.

Wydaje mi się, że taki sposób myślenia występował powszechnie i że najczęściej był on rozwijany całkowicie świadomie. Liczne fragmenty wywiadów, prowadzonych na przełomie 1980 i 1981 roku w warszawskich zakładach pracy w badaniach nad tworzeniem niezależnych organizacji związkowych stanowią dobrą tego ilustrację/10/.

Myślenie o wartościach, rozwijające się z czysto religijnego punktu widzenia nie było - rzecz jasna - jedynym myśleniem. Jednakże - i to wydaje się szczególnie interesujące - myślenie społeczne, które opierało się na całkiem świeckim światopoglądzie i nie przyjmowało religijnych uzasadnień, formowało ethos, który był zasadniczo zbieżny z owym religijnym. Był to bowiem - generalnie rzecz biorąc - ethos personalistyczny, skupiający się wokół wartości jednostki i wartości więzi między ludźmi, nacelowany na poszukiwanie duchowego sensu życia, na eksplorację możliwości, jakie przynosi życie i które są nam dane w naszym własnym organizmie, bardzo negatywnie nastawiony wobec przemocy, wobec siły i wobec moralistycznego skrępowania normami oraz sformalizowanymi wartościami. Zarówno religijny, jak i świecki ethos uznawał, że ludzkie życie jest w pełni wartościowe, jest życiem godnym wtedy, gdy człowiek daje aktywnie wyraz temu, w co wierzy i co dla niego ważne, i pozwala na to innym; gdy poszukuje tego co dobre i gdy buduje porozumienie z innymi bez względu na różnice, jakie ludzi dzielą. Oba ethosy prowadziły do nieco innego pojmowania demokracji, do innych akcentów w programie społeczeństwa obywatelskiego. Pierwszy z tych modeli - oparty na bezpośrednich odniesieniach i inspiracjach religijnych - był nieco bardziej autorytarny, akcentował konieczność samoograniczeń i

przestrzegania ustalonych reguł i zasad postępowania, akcentował formalne i ustalone sposoby postępowania jako zabezpieczenie wolności. Drugi model był bardziej liberalny, rzec można bardziej elastyczny, akcentował przede wszystkim wagę procesu negocjacji i przetargu w życiu społecznym; traktował życie wspólnoty jako wielką dyskusję, jako debata, w której płynnie ustalano reguły działania tak, by je dostosować do okoliczności i by w maksymalnym stopniu uwzględnić wielość głosów i propozycji, aby każdy członek wspólnoty miał poczucie, że ma możliwość wpływania na wspólne życie i że jego zdanie, a też i jego pretensje, są wysłuchane przez ogół/11/.

Wspomniane już badania A. Touraine'a pokazują jeszcze inne zróżnicowanie w materiale badawczym, szczególnie widoczne wśród działaczy związkowych w Gdańsku. Wyraźne było tu myślenie, które odbiegało od powyższych modeli. O ile występowała bardzo wyraźna tendencja, zgodnie z modelem bardziej liberalnym demokracji, o tyle też pojawiało się myślenie, które operowało raczej pojęciem siły i władzy większości niż wspólnoty i obywatelstwa. Wśród części robotniczych działaczy myślano o organizacji związkowej jako "naszej organizacji", która powinna dążyć do zdobycia przewagi i której wspólny duch miał być tożsamy z głosem społeczeństwa. Niewątpliwie organizacje związkowe traktowano jakby "partytynia". Ten ethos wymagał koniecznie podporządkowania się jednemu i mniejszości woli zorganizowanej większości dla wspólnego dobra, rzec jasna. Myślenie to było związane z postawą zagrożenia, z wiarą w ustalone normy życia zbiorowego, z autorytaryzmem i antysemityzmem. Często przyjmowało ambiwalentną postawę wobec inteligencji i nieufności wobec wykształconych. Touraine skłonny był określać tę tendencję mianem "populistycznego" /12/.

Retoryka tej części działaczy społecznych, a też postawa, którą zdawali się wyrażać, istotnie przypominała postawę, którą starał się możliwie dokładnie rozpoznać i opisać Tocqueville jako podstawowe, "wewnętrzne" zagrożenie demokracji - skłonność do formowania się "tyranii większości" /13/. Warto jednak zwrócić uwagę na charakterystyczny fakt, że - przynajmniej na ile można wnioskować z materiałów badawczych Touraine'a - zwolennicy modelu autorytarnego czy "populistycznego" /14/ w praktyce nie byli skłonni przerywać dialogu i z góry kogoś wyłączać z uczestnictwa we wspólnej debacie i negocjacji. Nie byli też skłonni do podejmowania samowolnych działań, które godziłyby w "rozbijających jedność" oponentów.

Akcentowanie "władzy większości" i konieczności podporządkowania się jednostki "woli większości" nie szło tak daleko, by traktować organizację jako narzędzie przemocy, skłaniające opornych do podporządkowania się. Nawet bowiem ci działacze uznawali konieczność społecznych negocjacji, konieczność debaty, prawo do zabierania głosu przez wszystkich chętnych i prawo do wypowiedzenia swoich opinii, jakkolwiek przyjmowali wobec pewnych grup ludzi i wobec pewnych poglądów postawę wroga, utrudniającą porozumienie. Aczkolwiek byli chętni przewodzić społeczności, bynajmniej nie byli skłonni wziąć sobie takie prawo siłą i wyłączyć się spod społecznej kontroli /15/.

Wiązało się to z atrakcyjnością myślenia o społeczeństwie jako wspólnotcie i tym samym podmiocie stanowionych praw. Demokracja było to nade wszystko uzyskanie poczucia, że społeczeństwo władne jest samo decydować o kierunku zbiorowego życia, o formach zbiorowych działań, o strukturze zależności między ludźmi, o tym, co dla wspólnoty dobre i złe.

Wiązały się z tym praktyczne problemy funkcjonowania organizacji związkowych "Solidarności". Model ładu organizacyjnego oraz ideał ustrojowy, jaki się wówczas praktycznie kształtował bardzo przypominał stan, który teoretycy nazywają często modelem demokracji partycypacyjnej czy uczestniczącej/16/. W modelu tym sprawą priorytetową jest zapewnienie uczestnictwa w decyzjach jak największej ilości członków wspólnoty oraz takie ustrukturalizowanie działań społecznych, by zapewniało ono możliwość rozwijania spontanicznych inicjatyw przez chętnych. Akcent pada zatem na uczestnictwo, a nie na kontrolę, nie zaś na reprezentację i funkcjonalne rozczłonkowanie życia w oparciu o zagwarantowanie swobody działań i równość praw. Początek uczestnictwa we wspólnocie, zaangażowanie w debatę i przetarg było atrakcyjne również dla wyznawców modelu autorytarnego. Łagodziło to, siłą rzeczy, ich postawy.

Myślenie o demokracji jako typie ładu instytucjonalnego było charakterystyczne dla inteligencji, zwłaszcza dla intelektualistów. Demokracja jako technika podejmowania decyzji, jako sposób wyrażania na forum publicznym zróżnicowanych interesów, jako reguły przetargu między różnymi siłami społecznymi i sposób uzyskiwania równowagi, czy też homeostazy społecznej - to było myślenie, które wyraźnie przejawiało się na przykład w procesie tworzenia niezależnych organizacji związkowych środowiska intelektualnego stolicy/17/.

Sądze, że wiązało się to z socjologią i z socjologicznym standardem myślenia o współczesnym społeczeństwie. Wydaje się, że początkowo podstawą działań był model strukturalno-funkcjonalny społeczeństwa powiązany z tak zwanym badaniem postaw społecznych.

Model ruchu związkowego, który - jeśli nie *explicite*, to na pewno *implicitie* - inspirowany był przez to myślenie, definitywnie został odrzucony przez samych związkowców wraz z podjęciem decyzji o przystąpieniu członków NTiO do NSZZ "Solidarność". Tym samym zakwestionowana została intelektualna podstawa, która ożywiała początkowo działania społeczne.

## SOCJOLOGIA A PROCESY SPOŁECZNE

Socjologiczna inspiracja okazała się tutaj całkiem chybiona. Wydaje się, że socjologowie zostali całkowicie zaskoczeni rozwijającym się procesem społecznym. Mimo wielorakich badań, prowadzonych w latach siedemdziesiątych, socjologia polska była bezradna wobec rozgrywających się wydarzeń. Po pierwsze, zdecydowana większość socjologów nie przewidziała możliwości wydarzeń, które miały miejsce. Nie przewidywano nawet tego, że dotychczasowe mechanizmy legitymizacji systemu społeczno-politycznego są w stanie rozkładać. Po drugie, narzędzia poznawcze i rozwinięte metody nie dawały możliwości zrozumienia tego-co-się-działo. Do tej pory socjologowie nie sporządzili prawdziwie przekonujących o p i s ó w wydarzeń społecznych i społecznych mechanizmów, jakie ujawniły się w okresie 1980-1981 i które można zidentyfikować jako charakterystyczne dla następnych lat. Dominujący typ diagnozy społeczeństwa, formułowany u końca lat siedemdziesiątych, nie pozwalał - jak wolno sądzić - na identyfikowanie rzeczywistych elementów procesu społecznego. Możemy tutaj powołać się na artykuł S. Nowaka *System wartości społeczeństwa polskiego*, który stanowi swoiste podsumowanie badań i socjologicz-

ny portret Polaków/18/. Główne tezy opisowe tego artykułu ukazują deklarowane przywiązanie ludzi w Polsce do demokratycznego ustroju, ale jednocześnie - dosyć szerokie uznanie możliwości zawieszenia swobód demokratycznych dla realizacji "ważnych celów społecznych". Autor wskazuje na głębokie przywiązanie ludzi do ideologii egalitarnej oraz na negatywne oceny nasilających się różnic społecznych (z punktu widzenia kryterium równości społecznej). Wiąza się z tym deklaracje poparcia podstaw uspoecznionej gospodarki (państwa własność przemysłu, zwłaszcza ciężkiego) przy jednoczesnym wzroście nastawienia krytycznego do sposobu zarządzania gospodarką. Co najważniejsze jednak, autor artykułu wskazuje, że mamy do czynienia ze "społeczeństwem bez korelacji", to znaczy, że zróżnicowanie poglądów i postaw nie łączy się ze sobą w spójny układ. Co więcej, zróżnicowanie poglądów nie jest uwarunkowane zróżnicowaniem położenia społecznego jak cechy demograficzne (pleć, wiek), a nade wszystko pozycja społeczna (wykształcenie, prestiż, sytuacja materialna, zawód) - wykazują słabe związki z typem poglądów, deklarowanych w badaniach ankietowych. Również identyfikacje religijne nie dają istotnych zróżnicowań postaw. Społeczeństwo jawi się więc jako przypadkowo posegregowana "kasza". Jedyną spontaniczną strukturą porządkującą jest identyfikacja z rodziną i narodem. Więzy rodzinne oraz wartość rodziny - jak też poczucie więzi narodowej i wartości związane z narodem - to ośrodki, wokół których krystalizuje się uwaga i aktywność ludzi.

Wydarzenia zarówno lata 1980, jak i wybuch społecznej aktywności od września 1980 roku stawia pod znakiem zapytania ten socjologiczny portret. Tylko jeden element tego obrazu dał o sobie niewątpliwie znać: przywiązanie do demokratycznych reguł organizacji życia społecznego. Rozpoznawany przez ten obraz stan zbliżony niemal do anonii społecznej, a więc stan słabo rozwiniętych, nieistotnych życiowo i nie wyrażających ani wspólnych interesów, ani wspólnych ethosów więzi społecznych okazał się nieprawdziwy/19/. To prawda, że początkowy wysiłek działaczy społecznych skupiony był przede wszystkim na budowaniu sieci wzajemnych kontaktów i zawiązywaniu stosunków społecznych między grupami ludzi i między jednostkami. Jednakże nie można sobie wyobrazić powstania wielomilionowej organizacji związkowej w przeciągu tak niezmiernie krótkiego czasu bez rozbudowanej sieci więzi społecznych i wielorakich stosunków; stosunków, które zachodziły między różnymi grupami społecznymi (również między grupami, zajmującymi oddalone miejsca w strukturze społecznej). Obraz więc identyfikacji społecznych jako skupionych na dwóch punktach "u dołu" i "u góry" drabinowej struktury społecznej - okazywał się nieprawdziwy. Najprawdopodobniej model metodologiczny badań i jego teoretyczne zaplecze nie dawało możliwości ujawnienia faktów, które istotne były dla ukazującego się teraz na powierzchni życia procesu społecznego.

Można wskazać jeden tekst socjologiczny, który pozwalał na daleko idące przewidywanie tego, co się wydarzyło u progu lat osiemdziesiątych i dawał możliwości zrozumienia rozgrywających się wydarzeń. Jego pierwsza wersja powstała w roku 1978, choć został opublikowany dopiero w roku 1980/20/. Tadeusz Szawieli, autor tego artykułu, twierdził wówczas, że możliwe jest inne spojrzenie na dynamikę społeczną, niż powszechnie przyjmowany przez socjologów model strukturalno-funkcjonalny i tak zwane badanie postaw. Wskazywał on, że czynnikiem dynamizującym społeczne działanie może stać się pragnienie ludzi, by wcielić w swoje życie pewne systemy wartości moralnych. Dążenie do tego, by żyć zgodnie ze

swymi moralnymi przekonaniami, by oprócz życia wspólnoty społecznej na wyznawanych przez siebie ethosach może stać się - twierdził autor - podstawą szerokiej aktywności społecznej, celem ruchu społecznego. Ośrodkami skupienia "energii społecznej" mogą się stać nie tyle grupy, zajmującą wysoką pozycję w strukturze formalnej społeczeństwa (zatem w strukturze instytucjonalnej), ale "grupy ethosowe", które wskazują przez sam fakt swego istnienia drogę godnego życia. T. Szawiel wskazywał na istniejące w Polsce u schyłku lat siedemdziesiątych takie "grupy ethosowe" i na ich promieniowanie: ugrupowania niezależnej opozycji demokratycznej, grupy zaangażowanych w sprawy wiary katolików, grupy związane swym rodowodem z kontrkulturą.

Istotnie, wydaje się, że do ludzi należących do tych grup spontanicznie zwrócono się o pomoc i radę w momencie podjęcia na masową skalę działań zbiorowych/21/. Co ciekawe, bynajmniej nie oczekiwano od nich przejęcia przywództwa, ale powołano ich w roli ekspertów i doradców.

Zarysowana przez Szawiela perspektywa ukazuje również ważność dążeń, które chcą oprzeć ład społeczny nie tylko na warunkach dogodnych dla zaspokojenia życiowych potrzeb i interesów różnych grup społecznych i na uzgodnieniu reguł wzajemnej gry, ale dla których przyjmowane praktyczne reguły gry stanowić powinny rozwinięcie i wcielenie w życie wartości moralnych. Sugerowane przez Szawiela oddziaływanie "grup ethosowych" jest - jak sądzę - zasadniczo zbieżne z tą perspektywą, jaką przyjmowano powszechnie w Polsce i jaką usiłowaliśmy tutaj wyrazić.

Konfrontacja zjawisk społecznych, jakie wystąpiły u progu lat osiemdziesiątych z obrazem społeczeństwa, jaki niosła socjologia, ujawnia jeszcze inne niedostatki tego ostatniego. Wydaje mi się, że szczególne znaczenie dla dynamiki zjawisk w Polsce ma układ pokoleniowy.

#### ROLA "GRUP POKOLENIOWYCH" W RUCHU SPOŁECZNYM

"Pokolenie" należy do tych pojęć, które zostały w zasadzie zarzucone przez naukowy kanon socjologii. W analizach socjologów polskich kategoria pokoleniowa nie odgrywa większej roli, choć można wskazać ciekawe rozważania teoretyczne/22/ i chociaż badania ankietowe tzw. młodego pokolenia absorbowali socjologów.

Jest to zgodne z tendencją w światowej socjologii. Ruch młodzieżowej kontestacji zmusił socjologów do namysłu nad kategorią pokolenia, ale namysł ten - jak dotąd - nie wyszedł poza kontekst tzw. konfliktu pokoleń, czyli pokolenia rodziców i pokolenia dzieci. Być może trwające w socjologii teoretyczne "przegrupowanie" przyniesie również zarys koncepcji pokoleń. Doświadczenie polskiego społeczeństwa wydaje się ważne dla takiej przyszłej teorii.

Bo wiem w procesie masowych działań społecznych najwyraźniej ujawniło się zróżnicowanie pokoleniowe. Nie tyle jako czynnik wyznaczający jednoznacznie angażowanie się lub nie we wspólne działania organizacyjne/23/, ile raczej jako wyraźne zróżnicowanie ethosowe oraz jako układ czynnych więzi społecznych. Inaczej mówiąc, w procesie społecznych działań istotną rolę odgrywały grupy pokoleniowe. Po pierwsze, stanowiły one spontaniczną manifestację określonego ethosu, tzn. deklaracji określonych wartości, pewnego sposobu myślenia i stylu życia zarazem. Po drugie zaś - dawały poczucie identyfikacji pokoleniowej oraz uruchamiały realne więzi pokoleniowe, których używano jako podstawy roz-



wijanych działań i "budulca" nowej sieci stosunków społecznych.

Grupy pokoleniowe to w pewnym sensie "grupy latentne". Zakres aktualnych kontaktów społecznych i widzialny na powierzchni życia społecznego "wykwit" wspólnego, grupowego "ducha", to tylko drobna część możliwego do zaktywizowania, wzajemnego powiązania ludzi i ich poczucia wspólnoty. Przynależność pokoleniowa wiąże się najściślej z poczuciem własnej tożsamości, z obrazem siebie, jaki mamy. Jest on zbudowany po części z symboli tego, co wartościowe, jakie wspólnie dzielimy z tymi, z którymi dzielimy nasze społeczne doświadczenie. Stąd też grupa pokoleniowa jest grupa, która musi kreować swój własny ethos, a co najmniej styl życia i stąd też zawiązanie się takiej grupy pokoleniowej związane jest z fazami indywidualnego rozwoju człowieka/24/. Skłaniały się tu częściowo do koncepcji pokolenia J. Garewicza/25/, który podkreśla, że pokoleniową identyfikację wyznacza uczestnictwo w takim ważnym wydarzeniu społecznym, którego się doświadcza razem z rówieśnikami. Doświadczenie to przypada w takim momencie rozwoju osobniczego, w którym krystalizuje się obraz siebie, swojego systemu wartości oraz obraz społeczeństwa. Wspólnie z rówieśnikami uczestnictwo w ważnym społecznie wydarzeniu niejako wymusza konieczność opowiedzenia się za takimi, a przeciw innym poglądom, za takimi i przeciw innym wartościom. W grupie rówieśniczej, doświadczającej takiej sytuacji, kształtuje się specyficzny układ stosunków, związków i podziałów oraz pewna specjalna perspektywa oceniania rzeczywistości, która staje się trwałym elementem myślenia i stylu życia ludzi z danego pokolenia.

W Polsce w okresie powojennym bodźcem "pokoleniowotwórczym" było uczestnictwo w dramatycznych wydarzeniach społeczno-politycznych, w sytuacjach wybuchającego konfliktu społecznego i następujących po nim zmianach rządowych. Stąd też pokolenia krystalizują się wokół wydarzeń upamiętnionych takimi datami, jak październik 56, marzec 68 czy czerwiec 76. Poczucie wspólnoty, czy nawet "społecznego powinowactwa" wiąże się z przeżyciem konieczności samodzielnego wyboru wartości w tych dramatycznych sytuacjach.

Proces ten możemy określić jako proces ustalania społecznej tożsamości ludzi. Stosunki społeczne, jakie zachodzą będą między przedstawicielami grupy pokoleniowej, będą miały utrwalony w sobie aspekt koleżeński, nawet wtedy, gdy poszczególne osoby należące będą do przeciwstawnych sobie "obozów", które kształtowała pokoleniowotwórcza sytuacja. Wydaje się przy tym istotne dla trwałości więzi pokoleniowej występowanie grup elitarnych lub osób, które symbolizować będą wspólne doświadczenie pokoleniowe i symbolicznie okazywać treści wspólnego ethosu, a przynajmniej określonego stylu życia. Wierność swoim idiom i elitom utrwała tożsamość ludzi i czyni identyfikację pokoleniową czymś żywym, nawet wtedy, nawet wtedy, gdy jest ona "latentna".

Twierdząc, że dynamika społeczna lata 1980 oraz podpisanie porozumień w Gdańsku i Szczecinie stanowiło bodziec, który aktywizował więzi pokoleniowe. W szczególności mam na myśli dwie grupy pokoleniowe, które odegrały ważną rolę w procesie przemian społecznych ostatnich lat. Chodzi tu o pokolenia marca 68 i czerwca 76. Te dwa pokolenia - jak wolno sądzić - odegrały szczególnie istotną rolę w ruchu społecznych reform.

Oba pokolenia są ze sobą powiązane. Do pewnego stopnia można powiedzieć, że pokolenie marca 68 niejako patronowało i stanowiło jeśli nie wzór, to niewątpliwie punkt odniesienia dla przed-

tawicielei pokolenia czerwca 76. Tym bardziej, że obie grupy pokoleniowe są niesymetrycznie rozłożone w strukturze społecznej. Pokolenie marcowe to bardzo wyraźny krąg społeczny w obrębie inteligencji, nie mający raczej swoich aktywnych odniesień w innych grupach społecznych, nade wszystko wśród robotników. Tworzą go ludzie, którzy byli studentami w trakcie wydarzeń marcowych. Natomiast pokolenie czerwca 76 jest niewątpliwie formacją znacznie szerszą strukturalnie. Zasadniczo jest to formacja robotnicza, choć obejmuje ona również jeden czy dwa roczniki ludzi, którzy byli studentami młodszych lat w roku 1976, jak również osoby zaliczane do kategorii pracowników umysłowych. Pokolenie czerwcowe obejmuje dosyć rozległą grupę ludzi, którzy znajdowali się w początku swego dorosłego życia w momencie wydarzeń czerwcowych. Społeczna rozległość pokolenia czerwca 76 miała ważne znaczenie w procesie formowania się ruchu społecznego. Poczucie więzi pokoleniowej stanowiło bowiem - zwłaszcza w dużych i zróżnicowanych zakładach pracy - pomost, dzięki któremu pokonywano bariery jakie istniały między pracownikami fizycznymi i umysłowymi. Wcześniejsze stosunki koleżeńskie, jak też stwierdzona na bieżąco tożsamość postaw między przedstawicielami pokolenia, którzy byli ulokowani na różnych pozycjach pomagała odrzucić wzajemne, niechętnie stereotypy urzędników czy umysłowych wobec robotników czy fizycznych. Struktura zakładów na ogół świadomie takim stereotypom sprzyjała/26/.

Obie grupy pokoleniowe miały swoje ethosowe reprezentacje. Przedstawiciele pokolenia marcowego są oczywiście nieco starsi niż ci, których zaliczyć pragniemy do pokolenia czerwca 76.

Ludzie formujący oba te pokolenia byli swoistą siłą inspirującą rozwój ruchu społecznych reform w 1980 r., a przedstawiciele tych grup pokoleniowych odgrywali szczególną, opiniotwórczą rolę w organizacjach związkowych.

Warto jeszcze nadmienić, że inteligencka czy studencka część pokolenia czerwcowego odegrała zasadniczą rolę w powstaniu na terenie uczelni Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Działalność NZS-u rozwijała grupa najstarszych studentów, czerpiąc wzory z wcześniejszych doświadczeń (takich jak ruch protestu po zamordowaniu Stanisława Pyjasa) i przy wyraźnym sceptycyzmie młodszych roczników studentów.

## SOCJOLOGIA, SPOŁECZEŃSTWO I ZAKORZENIENIE

Nasze rozważania, nader szkicowo rekapitulujące i interpretujące procesy społeczne ostatnich lat w Polsce, miały na celu pokazanie, iż życie społeczne ludzi jest czymś bez porównania bardziej tajemniczym, niż to zakłada "naukowa socjologia". Chcieliśmy tu zasugerować, że społeczeństwo nie jest ani jakimś samoistnym bytem, ani też międzyludzką przestrzenią, w której działają "fizyczne", "materialne" siły.

Życie społeczne ludzi przebiega nie tylko w naturalnej, fizycznej przestrzeni, dzięki czemu pozwala się samo ujmować "jak rzeczy". Stanowi ono również przestrzeń duchową. Jest to przestrzeń znaczeń, które pozwalają - lub utrudniają - człowiekowi odnajdywać sens świata, odgadywać sens życia i nadawać sens własnej egzystencji. Przestrzeń duchowa, jakkolwiek jest ona właśnie społeczna, podzielana wespół z innymi, jest zasadniczo przestrzenią "wewnętrzną", "ukrytą". Nierozzerwalnie związana jest z myśleniem o wartościach moralnych i ich doświadczeniem, z wymiarem dobra i zła.

Brak korzeni jest na pewno *nejniebezpieczniejszą chorobą ludzkich społeczeństw, bo sam się pomnaża. Istoty naprawdę bez korzeni mają do wyboru właściwie tylko dwa rodzaje postępowania: albo wpadają w inercję duchową prawie równą śmierci, albo rzucają się w działalność, która ma na celu odcinanie od korzeni, często przy pomocy najbardziej gwałtownych metod, ludzi jeszcze tkwiących w swojej naturalnej glebie albo oderwanych od niej częściowo* - mówi Simone Weil, której refleksję spożytkowuję w tym tekście/27/. Przekonanie, iż moje życie ma sens, wiąże się z przeżyciem, że "jestem sobą" i że "jestem u siebie".

Oba te człony są ze sobą nierozzerwalnie splecione. Stosunek wzajemny tych dwóch fenomenów i tych dwóch pojęć nie jest prosty - można wszakże mówić o zachowaniu "siebie" nawet w warunkach, "gdy się u siebie nie jest", to znaczy, gdy człowiek jest zniewolony i utracił możliwość wpływania na swój los. Jednakże mogę wówczas "być sobą", gdy doświadczyłem "swojego miejsca" i kiedy dążę do tego, aby "być u siebie". Zakorzenienie ludzi nie ma wiele wspólnego z sielanką, życie zakorzenione bynajmniej nie staje się automatycznie krainą niezmaconej szczęśliwości, ale zawsze skoncentrowane jest wokół *g o d n o ś c i o s o b i s t e j* ludzi i ją chroni. Dlatego też zakorzenienie jest wynikiem wysiłku całych zbiorowości ludzkich.

W wyniku tego wysiłku następuje swoista synchronizacja porządków wartości i planów egzystencji, w jakich obraca się ludzkie życie. W szczególności jest to synchronizacja wewnętrznego, duchowego porządku, zasadniczo osobowego i osobistego, z porządkiem zewnętrznym, społecznym, z życiem wspólnoty ludzkiej. *Każda istota ludzka potrzebuje różnorodnych korzeni. Otrzymuje ona prawie wszystko w swoim życiu moralnym, intelektualnym, duchowym za sprawą środowisk, których jest naturalną częścią/28/.*

O ile dobrze rozumiem S. Weil, wewnętrzną hierarchię, hierarchię wartości należy rozumieć jako element włączający człowieka w transcendencję, w obiektywny porządek wartości. Wewnętrzna hierarchia to jakby busola, pozwalająca nam zachować właściwy kierunek działania, nie zatracić życiodajnych soków, pozostawać w kontakcie z rzeczywistością duchową mimo różnorodnych przeciwności i niedogodności. Hierarchia społeczna, ten praktyczny i materialny regulator życia ludzkiego, jest zawsze nieudolnym wcieleniem porządku wartości, jaki bardziej bezpośrednio daje o sobie znać w naszej rzeczywistości wewnętrznej. Jeżeli jednak udaje się zniszczyć tę wewnętrzną hierarchię, wówczas - siłą rzeczy - rozpada się również ład społeczny, hierarchia społeczna, która jest konieczna, by człowiek doświadczył swego zakorzenienia w świecie i radości życia. To właśnie rozbitcie wewnętrznej hierarchii, niemożność synchronizacji wewnętrznego i zewnętrznego, prowadzi do wykorzenia człowieka. *Jest trzęsacia przeszkoda na drodze do kultury robotniczej - niewolnictwo. Myśl ze swej istoty - mówi Simone Weil - jest wolna i władca, kiedy działa rzeczywistość. Być wolnym i władcą, jako istota myśląca przez godzinę czy dwie, a niewolnikiem przez resztę dnia jest tak wielkim wewnętrznym rozdarciem, że niemal nie można nie wyrzec się, byle to rozdarcie usunąć, wszelkich wyższych form myśli/29/.*

Można jednak podjąć wysiłek, aby przez coraz więcej godzin dnia działać w zgodzie z własnymi myślami, z własnymi przekonaniami. Można podjąć wysiłek, aby przywrócić ową adekwatność między wewnętrznym i zewnętrznym porządkiem życia.

Sądzę, że procesy społeczne w Polsce ostatnich lat pokazują,

iż całe ludzkie zbiorowości mogą się kierować całkiem specyficznymi interesami; mogą się kierować pragnieniem, aby nadać sens życiu poszczególnych jednostek i aby oprzeć wspólne życie i jego struktury na takich wartościach, jak godność człowieka, prawda, sprawiedliwość. Samo najbardziej empiryczne doświadczenie społeczne pokazuje, że dla "zwykłych" ludzi abstrakcyjne skądinąd wartości stoją się chwilami czymś tak namacalnym, tak konkretnym, jak bochenek chleba.

Perspektywa współczesnej socjologii poszukuje wyjaśnień oraz upatruje źródła procesów i świadomie zawiązanych ruchów społecznych w warstwie, którą można by nazwać warstwą naturalnych uwarunkowań. Jest to warstwa potrzeb, konieczności życiowych, naturalnych, wymiernych sił, interesów społecznych. Jeżeli nawet owa warstwa nie jest w pełni utożsamiana ze sferą materialnej infrastruktury życia i z procesami ekonomicznymi, to jednak im właśnie przypisuje podstawowe znaczenie. Naturalistyczny światopogląd naukowej socjologii staje na przeszkodzie możliwości rozumienia wydarzeń, które burząc ustalony ład, odwracają porządek wyjaśnień, które ukazują, że działanie społeczne opiera się na znacznie bogatszych "kalkulacjach" niż te, które obliczają zyski, służące zaspokojeniu bieżących potrzeb.

Ludzkie społeczności na ogół nie zapominają o materialnych, naturalnych podstawach swego życia, na ogół biorą pod uwagę ową wymierna, materialną kalkulację. Jednakże w tych ramach toczy się jedynie zdegenerowane, rozpaczliwe, wykorzenione - jak mówi Simone Weil - życie ludzkie. Społeczeństwa rozpoznają na ogół niebezpieczeństwo wykorzenienia. Ludzie nie pozostają bierni wobec tego, co najbardziej zagraża ich bytowi i to zarówno materialnemu, jak duchowemu. Przejrzałe społeczeństwo, a więc przejrzałe życie ludzkie ma w sobie nie tylko kalkulację opłacalnych nakładów energii, ale również kalkulację sensu i sensu społecznego, którą się posiada i sensu opłacalności. *A jednak rzecz pospółta... - notuje w swych Zeszytach Weil. Ale to nie należy do dziedziny społecznej. Jest to środowisko ludzkie, którego nie jest się bardziej świadomym niż powietrza, jakim się oddycha. Kontakt z przyrodą, z przeszłością, z tradycją. Zakorzenienie nie jest tym samym co element społeczny/30/.*

A jednak dziedzina dociekań społecznych uwzględnić winna fenomen ludzkiego zakorzenienia i ludzkie dążenie do niego. Studiowanie tego, co Simone Weil nazywa elementem społecznym, a więc przebiegu sił społecznych badanych jak rzeczy, nie jest wystarczające, aby móc opisać i zrozumieć nasz świat.

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

#### PRZYPISY

- /1/ Por. zwłaszcza E. Mokrzycki *Filozofia nauki a socjologia. Od doktryny metodologicznej do praktyki badawczej*; szczeg. roz. *Filozofia nauki w perspektywie teorii kultury*, Warszawa 1980.
- /2/ A. Touraine i inni *Solidarite. Analyse d'un mouvement social* Paris 1982.
- /3/ S. Weil, *Wybór pism*, cz. 2, *Zeszyty*, par. *Społeczeństwo*, Warszawa (Krag) 1983, s. 229, (podkr. moje - IK, rozstrzelony druk Autorki).

14/ I. Krzemiński i inni, *Polacy - Jesień '80*, Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1983.

15/ I. Krzemiński, *Proces formowania się NSZZ "Solidarność", ss. 99-191* oraz G. Bakuniak, K. Nowak, *Procesy kształtowania się świadomości zbiorowej w latach 1976-1980*, w: *Społeczeństwo polskie czasu kryzysu*, Instytut Socjologii UW, Warszawa 1984.

16/ S. Weil, op. cit., s. 247.

17/ *Jedno jest niewątpliwe: ethos chrześcijański jest nieodłączany od religijnego poglądu chrześcijanina na świat i Boga. Bez nich nie ma on sensu, a podjęte w najlepszej intencji próby, by całości tej nadać również sens świecki, który dałby się oddzielić od sensu religijnego i odnaleźć w niej fundamentalne reguły jakiejś powszechnej moralności "ludzkiej" lub jakiejś moralności "bez założeń" religijnych - takie próby są z gruntu błędne(...)* Ogniwem pośrednim, które co najmniej łączy religię chrześcijańską z moralnością chrześcijańską jest przyjęcie jakiegosć królestwa duchowego(...) - czyli przyjęcie jakiegosć "królestwa Bożym". Nakaz miłości odnosi się do człowieka (Jezus królestwo Boże - IK) jako nie zależny od tańca, w którym tkwią korzeniami wszystkich egzystencji i dopiero na tym szczeblu człowiek odnajduje ostateczny sens i wartość swego istnienia.

M. Scheler, *Resentyment a moralność*, Warszawa 1977, ss. 119-120.

18/ W. Karpiński, *Strona Tocqueville'a*, w: *W Central Parku*, Paris 1982, ss. 65-66.

19/ I. Krzemiński, *Polska i "Solidarność" - sens ludzkiego doświadczenia*, "Przegląd Polityczny", nr 6.

110/ I. Krzemiński i inni, *Polacy - Jesień '80*, op. cit. Przytaczamy tam fragmenty wywiadów z robotnikami na temat mszy odprawianych na terenie zakładów pracy w czasie sierpniowych strajków: *Była msza święta(...)* Różnie się zastanawiano, dlaczego była ta msza. Msza odbyła się z tego powodu, że dużo pracowników jest wierzących... (s. 159). *Wszyscy życzyli sobie tej mszy i wychodziło to od załogi jako olbrzymi nacisk, by zorganizować mszę(...)* Dlaczego takie zapotrzebowanie? *Po pierwsze, jak wiadomo większość załóg, jak większość Polaków anachonita jest katolikami, poza tym sytuacja - powiedzmy sobie - była dość niebezpieczna(...)* *Przebieg poprzednie strajki(...)* były krwawo tłumione, więc na tej zasadzie ludzie bardziej sobie przypomnieli o tym, co dla nich najważniejsze. *No, a katolik każdy uważa, że najważniejsze to jest przede wszystkim zbliżenie do Boga... (s. 160)*. Cytaty te dobrze ukazują obecność religijnych odniesień w myśleniu i motywacjach ludzi.

111/ Zróżnicowanie to ujawniło się w badaniach, na które się pozwolimy (*Polacy - Jesień '80*). Rozpatruję tam dwa ethosy religijne i dwa modele demokracji (ss. 187-191). Por. również G. Bataille, *My - "Solidarność"*. Nowy Związek we własnych oczach, tamże, ss. 286-327. *We wspomnianym tekście Polska i "Solidarność" piszę: Identyfikacja z kościołem katolickim i religią przybierała bądź to formę bardziej uniwersalną, rzekłbym "europejską" i "chrześcijańską", bądź też bardziej partykularną, narodową. W tej perspektywie odwoływano się do kościoła jako korzenia i obroncy narodowej kultury. Uniwersalne wartości etyczne były tu związane z akcentowaniem własnej tożsamości, a wartość praw człowieka i godność osoby ludzkiej łączyły się z postawą "bycia sobą" jako "byciem Polakiem".*

- /12/ Por. A. Touraine i inni, *Solidarité...*, op. cit.
- /13/ A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, roz. 2, Warszawa 1976. Autor ten pisze: *Przecież większość pojeta kolektywnie jest po prostu jednostką, która żywi odmienne praeświadczenie niż inna jednostka, nazywana przez nas mniejszością i ma najeseściej sprzeczne s nią interesy. Otóż jeśli uważamy, że człowiek posiadający władzę może jej nadużyć w stosunku do swych przeciwników, dlaczego nie odnosimy tego do większości? (...) Wszecchwładza wydaje mi się rzeczą stą i niebezpieczną. Wszecchwładne panowanie przekracza, jak myślę, siły najwybitniejszego nawet człowieka i sądzę, że tylko Bóg może być wszecchmocny (s. 192) I dalej: *Król posiada sresztą jedynie władzę fizyczną, która wpływa na działania ludzi, ale nie może dosięgnąć ich woli, podczas gdy większość dysponuje siłą fizyczną i moralną zarazem, która oddziałuje jednocześnie na wolę i czyny oraz staje na praeškodzie sąrduno działaniom, jak i chęci działania (s.194).* Por. również tamże roz. *Jaki rodzaj despotyzmu zagraża demokratycznym narodom* (ss. 468-472).*
- /14/ Biorę to określenie w cudzysłów, bowiem samo pojęcie nie wydaje mi się całkiem jasne. Tym bardziej niejasne jest jego użycie do opisu społeczeństwa polskiego.
- /15/ Wydaje mi się, że frakcja tzw. prawdziwych Polaków w Warszawie najbardziej zagrażała kształtującemu się consensusowi. Zagrożenie plynęło z postaw związanych z silnym nacjonalizmem. Jednakże wówczas - wydaje się - consensus nie był zerwany.
- /16/ Model demokracji partycypacyjnej omawia np. P. Spiewak, *Demokracja*, "Powieściagliwość i Praca", nr 5, 1984.
- /17/ I. Krzemiński, *Jak powstał i działał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty*, w: I. Krzemiński i inni, *Polacy - Jesień '80...*, op. cit.
- /18/ S. Nowak, *Przekonania i odczucia współczesnych*, w: *Polaków prtetret własny*, Kraków 1979; także: S. Nowak, *System wartości społeczeństwa polskiego*, "Studia Socjologiczne", nr 4, 1979.
- /19/ Pojęcie "anomalii" rozwinął - w oparciu o teorię Durkheima - R.K. Merton. Zob. *Jego Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982, ss. 195-223, 224-254.
- /20/ T. Szawiel, *Struktura społeczna i postawy a grupy ethosowe*, "Studia Socjologiczne", nr 1-2, 1982.
- /21/ W Warszawie robotnicy tworząc organizacje związkowe spontanicznie wzraccali się o radę i pomoc do znanych sobie ze słyszenia bądź z oficjalnej prasy działaczy opozycji demokratycznej, jak też do różnych grup działaczy katolickich. Por. I. Krzemiński, *Proces formowania...*, op. cit.
- /22/ O pojęciu pokolenia pisali u nas: M. Ossowska, *Koncepcja pokolenia*, "Studia Socjologiczne" nr 2, 1963; J. Mikułowski-Pomorski, *Pokolenie jako pojęcie socjologiczne*, "Studia Socjologiczne", nr 3-4, 1968; J. Gawarewicz, *Pokolenie jako kategoria socjofilozoficzna*, "Studia Socjologiczne", nr 1, 1983.
- /23/ Ruch społeczny formujący się wokół NSZZ "Solidarność" z punktu widzenia "uczestników" i "wizdów" analizowano w badaniach M. Marody i zespołu, *Polacy '80*, Instytut Socjologii UW, Warszawa 1981.
- /24/ Pojęcie "stylu życia" wydaje mi się opisywać zjawisko - by tak rzec - "mniej zobowiązujące", mniej obligatoryjne dla jednos-

tki niż przepisy ethosu. Styl życia jest czymś słabiej określonym niż ethos. Oba pojęcia wiążą się ze sobą. Por. na temat ethosu: M. Ossowska, *Ethos rycerski i jego przemiany*, Warszawa 1978. Styl życia i problemy z tym związane omawia się w pracy: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, pr. pod. red. A. Sicińskiego, Warszawa 1978.

/25/ J. Garewicz, *Pokolenie...*, op. cit. Autor tak definiuje pojęcie pokolenia: "Pokoleniem" będę nazywał zespół ludzi, na których sposobie myślenia zaważyło decydująco to samo przeżycie, nazywane dalej przeżyciem pokoleniowym(...) Przyżycie pokoleniowe jest przyswajane rozmaicie w zależności od indywidualnych właściwości oraz indywidualnych okoliczności(...) Ale dla wszystkich ludzi, którzy je przeżywają, jest to zdarzenie przełomowe w ich życiu, którego nie są w stanie wymazać z pamięci i przez pryzmat którego odbierają oni zdarzenia późniejsze (s.77).

/26/ Piszę o tym w: I. Krzemiński, *System społeczny "epoki gierkowskiej"*, w: S. Nowak i inni, *Spółeczeństwo polskie...*, op. cit. Również: I. Krzemiński, *Proces formowania...*, op. cit., ss. 137-142.

/27/ S. Weil, *Wybór pism*, op. cit., s. 250.

/28/ Tamże, s. 247.

/29/ Tamże, s. 261.

/30/ Tamże, s. 234.

# JEST REFORMA GOSPODARCZA, CZY JEJ NIE MA?

## Rozmowa z JACKIEM MERKELEM

*Stan polskiej gospodarki, a szczególnie losy reformy gospodarczej komentowane są na wiele sposobów i z wielu punktów widzenia, zarówno na łamach oficjalnych jak i w obiegu niezależnym. Natłok tych głosów, na ogół wyrzykowych, nierządsko przeczących sobie lub tendencyjnych, wcale nie ułatwia zadania zwyktemu czytelnikowi, który chciałby wyrobić sobie orientację w tym wszystkim. Dlatego - licząc na porządkującą, syntetyczną wypowiedź - zdecydowaliśmy się postawić wprost pytanie: "Jest reforma gospodarcza, czy jej nie ma?". Pytanie to postawiliśmy Jackowi Merkelowi - członkowi Prezydium Komisji Krajowej NSZZ "Solidarność", odpowiedzialnemu za sprawy ekonomiczne, obecnie bliskiemu współpracownikowi Lecha Wałęsy. Nasz rozmówca udzielając nam wywiadu prosił o podkreślenie, że w wywiadzie tym wykorzystywać możliwie wszechstronnie opinie i analizy ekspertów, z którymi nieprzerwaną współpracę uważa za niezbędną warunek sensownego działania.*

### 1. RODOWÓD

*Przegląd Polityczny: Podejmujemy się trudnego zadania - dyskusja o reformie staje się bowiem dla ludzi coraz mniej strasna i zrozumiała ...*

*Jacek Merkel: Istotnie. Ale łatwo to wyjaśnić. Reforma gospodarcza i inne hasła budzące żywe emocje w latach 1980/81, padły później ofiarą pewnej manipulacji, nazywanej "kradzieżą szyldów". Wtłoczono je do urzędowego słownika, tak zwanej nowomowy, która zamienia żywe słowa we frazesy, gubiąc ich pierwotne znaczenie. Właśnie "reforma", "odnowa", "praworządność" i "porozumienie narodowe" to takie skradzione szyldy. Trzeba jednak przyznać, że hasło reformy gospodarczej ma w tym zestawie najwięcej wspólnego z rzeczywistością. Tyle, że manipulowane przez propagandę, przegadane i zespolone z podwyżkami cen - nie budzi pozytywnych skojarzeń.*

*PP: Rządzący przypisali sobie, wraz z szyldem, także autorstwo reformy ...*

*J.M.: Historia państw komunistycznych zna zmiany inicjowane przez rządzące partie, ale to, co następuje w Polsce od roku 1980, w sposób oczywisty do tej kategorii nie należy. Reforma gospodarcza jest dziełem Sierpnia, a Sierpień z kolei to triumf tych wszystkich sił w naszym narodzie, które zdołały przekształcić powszechne niezadowolenie w solidarne poparcie dla programu śmiałych lecz rozważnych jednocześnie reform,*



symbolizowanych przez 21 postulatów gdańskiego MKS-u. Zasadniczą rolę odegrał tu zorganizowany nacisk społeczny i pewne pomysły, wypracowane przez niezależne środowiska inteligentkie jeszcze przed Sierpniem. Ferment wewnątrzpartyjny był na tym etapie czynnikiem istotnym, ale niewątpliwie wtórnym. Są na to dwa dowody. Po pierwsze, VIII Ejazd PZPK, zwołany w przededniu Sierpnia, w obliczu rysującej się wyraźnie katastrofy gospodarczej, odbył się pod znakiem rozgrywek personalnych, a nie reform. Po drugie, już po Sierpniu, w ekipie rządzącej, która podpisała zobowiązanie w sprawie reformy dominował jeszcze nurt zachowawczy i taktyka gry na zwłokę - czego wyrazem było oddanie sprawy reformy w ręce ociążałej, 500-osobowej Komisji Reformy Gospodarczej. Dopiero wielostronna krytyka dorobku tej Komisji oraz presja "Solidarności", dynamicznie rozwijającego się ruchu samorządowego i różnych środowisk opiniotwórczych zmusiła władzę do poważnego traktowania zobowiązań i wzmocniła te kręgi wewnątrz władzy, które uważały reformę za obiektywną konieczność, a nie wybieg taktyczny z 31 sierpnia 80r. Na tej fali przeforsowano w lipcu 1981 roku "Kierunki reformy gospodarczej" - dokument, który możemy uznać za świadectwo rzeczywistej woli reformatorskiej. Dowód nr 3 powstaje na naszych oczach, jako że po 13 grudnia 1981 r. potencjalne skrzydło reformatorskie wewnątrz władzy zostało osamotnione na placu boju.

PP: *Czy jednak władza i "Solidarność" mówiły o reformie używając wspólnego języka?*

J.M.: W latach 1980/81 było kilka koncepcji reformy - jest to rzecz zrozumiała i naturalna. Tak samo oczywiste jest to, że władza podjęła reformę z innych powodów niż te, które uczyniły reformę programem "Solidarności". Z punktu widzenia władzy, reformy były logiczną konsekwencją decyzji o politycznym a nie siłowym rozwiązaniu konfliktu, tak dramatycznie ujawnionego w Sierpniu. Tradycyjny system gospodarowania, będący w drugiej połowie lat 70-tych w zupełnym rozkładzie, nie gwarantował stabilności politycznej kraju; rozumiano, że aby móc w przyszłości sprawować władzę bez niepokoju o kolejny "śluszny protest klasy robotniczej" trzeba było istotnie zmienić sposób rządzenia i gospodarowania. Powstała zatem sytuacja, która obie strony Porozumienia Gdańskiego, mimo różnych motywacji, kierowała ku płaszczyźnie wspólnej, ku obszarowi zgody i współpracy. Obie strony chciały gospodarki wydolniejszej i chronionej systemowo przed ponownymi kryzysami. Pomimo odległych punktów wyjścia, jakie stanowiły pierwsze rządowe projekty ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie oraz koncepcja przedsiębiorstwa społecznego, obie strony doszły do kompromisu - uwzględnionego w redakcji aktów prawnych otwierających proces reformy gospodarczej.

PP: *Nie było tak idyllicznie, jak to przedstawiasz. Ów pamiętny kompromis wynikał raczej z siłowego przetargu aniżeli wymiany argumentów, wywołał głębokie podziały w "Solidarności" i zniechęcił wielu działaczy samorządowych ...*

J.M.: Osiągnięcie czegokolwiek, co wartościowe, wymaga trudu, cierpliwości i ma swoją cenę - dotyczy to wszystkich zdobywców "Solidarności".

PP: Co, oprócz tego doświadczenia, było najważniejszym składnikiem społecznego rozumienia reformy w latach 1980/81?

J.M.: Fundamentem całego ruchu sierpniowego była świadomość, odtąd niezbywalna, że chore i odpowiedzialne za kryzys są struktury i że wobec tego nie wystarczy wymiana ludzi w tych strukturach. Równie ważne było intuicyjne, silnie ugruntowane w czasie strajków na Wybrzeżu, połączenie naprawy gospodarczej z reformą polityczną, co wyrażał popularny slogan "nie ma chleba bez wolności". Stąd ówczesny nacisk na społeczno-polityczne gwarancje nieodwracalności reform. Co do reszty, nie powinniśmy mieć złudzeń - rozumienie warstwy ekonomicznej reformy było płytkie. Ale 16 miesięcy dokonało w tym zakresie pewnego przełomu. Nastąpiło przecież stopniowe, obejmujące niektóre grupy społeczne, przejście od postawy roszczeniowej do postawy czynnej wobec kryzysu, co otwierało perspektywę głębszego zrozumienia pożądanego modelu gospodarczego. Zaś "Solidarność" poręczała swym autorytetem tam, gdzie rozumienie konieczności ekonomicznych było niewystarczające.

PP: Co znaczyła dla procesu reformy data 13 grudnia 1981 roku?

J.M.: Sądzę, że pełne konsekwencje wprowadzenia stanu wojennego wypłyną w dalszym ciągu rozmowy. Formalnie biorąc, reforma była kontynuowana, ale przestała to być żywy proces społeczny, którego kierunek negocjowano z zorganizowaną reprezentacją narodu. Rozpoczęta jako ważny czynnik demokratyzacji i racjonalizacji systemu, reforma stała się elementem socjotechniki, dawkowanym w ramach taktyki "normalizacji" i taktyki pozyskiwania opinii zagranicznej.

Teoretyczne pozytywne nowo powstałej sytuacji: większa swoboda manewru /m.in. cenowego/ oraz zdyscyplinowanie świata pracy - okazały się iluzoryczne, bądź też zostały zaprzepaszczone. Zaś negatywy wyszły na jaw szybko i z całą jaskrawością. Likwidacja społecznego zaplecza reformy osamotniła domniemany ośrodek reformatorski w obliczu konsolidującej się biurokracji.

## 2. REFORMA NA PAPIERZE

PP: Intensywna "produkcja" nowego prawa gospodarczego stanowi w propagandzie rządowej koronny dowód na to, że reforma jest realizowana ...

J.M.: Reforma i nowe przepisy to nie to samo. Ponadto, prawodawstwo miało wcielać w życie określoną koncepcję reformy, zapisaną w oficjalnych "kierunkach reformy gospodarczej". Dobre są tylko te prawa, które przybliżają nas do modelu docelowego. Jeśli spojrzeć z tego punktu widzenia, to okaże się, że pokaźna ilość nowych przepisów nie przeszyła w jakość ...

PP: Tak rozumiana jakość wymaga społecznej kontroli procesu ustawodawczego ...

J.M. Jakość ustaw w sensie formalno-prawnym to odrębne zagadnienie /o czym później/, ale ich zgodność z założonym modelem reformy mógł wymusić jedynie zorganizowany nacisk społeczny. Nieprzypadkowo, najbliższe oczekiwaniom i idei "reformy przemysłowej" okazały się ustawy uchwalone we wrześniu 1981 roku, w warunkach wspomnianej presji publicznej, tak silnej, że z górą jedna trzecia posłów uznała za właściwe bronić przyję-

tego przez "Solidarność" kompromisu. Trudny kompromis w "kwestii dyrektorskiej" torował drogę do usamodzielnienia przedsiębiorstw i rzeczywistego wpływu załóg na ich funkcjonowanie. Ale już do 13 grudnia 1981, w sferze prawodawstwa nie wydarzyło się nic tej miary, natomiast pojawiły się sygnały niepokoju, świadczące o dążeniu władzy do odroczenia reformy i omiżorium systemowe na rok 1982/.

PP: *Od roku 1982 prawo reformy powstawało już w zasadniczo odmiennych warunkach ...*

J.M.: Oczywiście - władze uwolniły się od konieczności dogadywania się z "Solidarnością". Uznając ten stan rzeczy za sprzyjający, władza zmieniła taktykę i przyspieszyła proces ustawodawczy. W ciągu kilku miesięcy przybyło sporo nowych regulacji formalnych, wśród których najważniejsze były ustawy przyjęte przez Sejm w lutym 1982 roku / o planowaniu, o cenach, o gospodarce finansowej, o podatkach i o prawie bankowym/. Następnym tak ważnym krokiem była dopiero ustawa płacowa ze stycznia 1984 roku, wprowadzająca zakładowe systemy wynagrodzeń. Ale już rok 1982 ujawnił specyficzną dla władzy taktykę reformowania i swoistą interpretację "Kierunków reformy gospodarczej". W całym okresie 1982-85 potwierdziły się następujące cechy regulacji prawnej:

- wybiórczość: względy polityczne określają tempo i kierunki regulacji /np. zwłoka z rozwiązaniami płacowymi/. W efekcie, po 4 latach istnieją poważne luki w regulacji i dziedziny, do których reforma nie dotarła /handel wewnętrzny i zagraniczny, drobna wytwórczość/,
- zróżnicowany tryb: przewleka się "konsultacje" i "obróbkę" legislacyjną w sprawach drugorzędnych, zaskakując społeczeństwo, ciała doradcze, a nawet posłów treścią aktów prawnych o znaczeniu strategicznym /ustawa o związkach zawodowych/,
- ograniczanie pola zasad ogólnych na rzecz rozwiązań specjalnych: reforma omija liczne kategorie jednostek gospodarczych, które nowe przepisy oddalają od modelu "3 x S" /użyteczność publiczna, jednostki podległe resortom obrony narodowej, finansów i sprawiedliwości lub wykonujące zadania na rzecz obronności, PKP, Polska Poczta, Telegraf i Telefon, LOT oraz całe branże: energetyka, górnictwo węgla, cukrownictwo, jednostki budowlano-montażowe, przemysł mięsny i cementowy/,
- stopniowe okaleczanie ustaw z roku 1981: podporządkowanie płacowe dyrektora organom założycielskim; ogólniej - zachwianie na niekorzyść samorządu kompromisowego podziału ról między dyrektorem, samorządem, związkami zawodowymi i organami założycielskimi,
- niestabilność /wynik podporządkowania prawa bieżącym interesom polityki gospodarczej/ oraz upodobanie przepisów przejściowych /stan wojenny, jego zawieszenie, okres przewyciężania kryzysu/.

PP: *Mówisz o świadomej strategii legislacyjnej, tymczasem słyszy się coraz częściej o utracie kontroli nad tym procesem - o żywiołowości i braku koordynacji w tworzeniu prawa ...*

J.M.: Pewna linia, będąca zapewne serią przetargów między pragmatykami a dogmatykami, z udziałem branżowych grup interesu, przejawia się na poziomie aktów sejmowych czy rozporządzeń Rady Ministrów. Efekt żywiołowości powstaje na poziomie prze-

pisów niższego rzędu, które decydują o praktyce życia gospodarczego. W latach 1982-84 różne urzędy wydały grubo ponad 4 tysiące takich przepisów, poza tymi publikowanymi w Dzienniku Ustaw i Monitorze Polskim. Jeszcze raz "prawo powielaczowe" triumfuje, wypychając z praktycznego obiegu i z pola widzenia uczestników gry gospodarczej przepisy ustawowe.

Brak spoiwości i bałagan jest w tych warunkach nieuchronny - skarży się na to już od grudnia 1982 r. szef zespołu odpowiedzialnego nominalnie za prawo reformy, profesor Bar. Zaś środowiska fachowe, alarmują, iż spada jakość roboty prawnej. Nowym aktem prawa gospodarczego trudno byłoby prorokować żywotność Kodeksu Handlowego z 1934 roku, użytecznego do dziś, stanowiącego wzór rzetelnej roboty i poczucia odpowiedzialności twórców prawa.

Paradoksy dzisiejszego stanu prawnego to, z jednej strony, przeregulowanie, a z drugiej strony dotkliwie luki w regulacji. Ponadto poczucie niestabilności, przy jednoczesnym braku wrażenia, iż posuwamy się w pożądanym kierunku.

PP: *Nowe prawo gospodarcze to zaledwie wycinek reformy prawa, zachodzącej w Polsce od roku 1980 ...*

J.M.: ... ale wycinek specjalny. We wszystkich innych sferach dorobek posierpniowego ruchu na rzecz naprawy państwa i instytucji publicznych poprzez ulepszenie prawa został zaprzepaszczony. Pod osłoną stanu wojennego rozpoczął się proces pedantycznej "legalizacji bezprawia" - dowolności władzy w postępowaniu z obywatelami /analizuje to raport "Polska 5 lat po Sierpniu"/. Na tle tego ogólnego regresu systemowego, nowy stan prawny w gospodarce, chociaż wielce niezadowolający, jest jednak postępem - ulepszeniem stanu poprzedniego.

### 3. REFORMA INSTYTUCJI

PP: *Działanie reformatorskie to - oprócz nowych reguł formalnych - zmiana układu organizacyjnego gospodarki. Jak wygląda bilans dokonań w tym zakresie?*

J.M.: Warto przypomnieć oryginalne postulaty instytucjonalne z lat 1980/81, bowiem stanowiły one jądro uzgadnianej wtedy koncepcji reformy. Szyły one w następujących kierunkach:

1. Likwidacja maszyny biurokratycznej, będącej instytucjonalno-kadrowym zapleczem starego systemu /ministerstwa gałęziowe, zjednoczenia i inne ogniwa pośrednie/.
2. Reforma "centrum" stosownie do wymogów założonego modelu gospodarczego /zmiana roli Komisji Planowania, pozostałych ministerstw i NBP, komercjalizacja banków, uniemożliwienie organom administracji gospodarczej bezpośredniej ingerencji w decyzje przedsiębiorstw/.
3. Uspołecznienie planowania centralnego /druga izba Sejmu/ i terenowego /samorząd terenowy/ oraz demokratyzacja stosunków w przedsiębiorstwie /samorząd pracowniczy/.
4. Zmniejszenie stopnia dyspozycyjności życia gospodarczego wobec ośrodka władzy politycznej /odpolitycznienie gospodarki/.
5. Wzbogacenie struktury podmiotowej gospodarki /większa różnorodność jednostek gospodarczych, pluralizm form dysponowania środkami produkcji/ oraz wykształcenie instytucji niezbędnych do obsługi rodzących się stosunków rynkowych.

6. Powołanie organów społecznej kontroli nad producentami /organizacje konsumenckie i ekologiczne/ w miejsce fikcyjnego nadzoru administracyjnego.

Treść tych postulatów dyktowała doświadczenie wszystkich nieudanych reform w Europie Wschodniej. Odzwierciedlały one zarówno wymogi efektywności jak i realia polityczne dzisiejszej Polski. Nie były to pomysły "ekstremy" lecz niemal cytaty z "Kierunków reformy gospodarczej" - oficjalnego dokumentu rządowego. Dopiero narastanie kryzysu i świadomość paraliżu władzy zrodziły w połowie 1981 roku postulat dodatkowy: Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, organu o nadzwyczajnych pełnomocnictwach, stosownych do powagi sytuacji w kraju.

PP: *Okres czasu jaki upłynął uprawnia do oceny stopnia realizacji tych postulatów, będących w większości - jak mówisz - zobowiązaniami formalnie przyjętymi przez władze.*

J.M.: Bilans instytucjonalny wypada gorzej niż bilans reguł formalnych. Nawet te łatwiejsze postulaty, dotyczące warstwy czysto ekonomicznej nie zostały spełnione.

Batalia o ministerstwa gałęziowe przegrana została już w roku 1981, kiedy niedoszła ofiara, ubiegając reformę dokonała manewru samoograniczenia: w lipcu nastąpiła redukcja z 11 do 8 ministerstw gałęziowych i stan ten poddaje się kolejnej połowicznej modyfikacji dopiero dzisiaj. Porażki na pozostałych odcinkach frontu zmian instytucjonalnych relacjonuje dość otwarcie prasa /kłępska ustawa o Komisji Planowania z lipca 1984 r., półurzędowy charakter banków, odrastanie struktur zjednoczeniowych pod szyldem zrzeszeń/. Po kilku latach jasne jest, że administracja w strukturach pośrednich wykazuje liczebnie dużą stabilność, a w dwóch resortach doszło do otwartej rehabilitacji tych struktur /gwarectwa w górnictwie i kombinaty w hutnictwie/.

Zwyciężyła nierealna koncepcja, w myśl której bez zmiany układu organów centralnych miałyby zmienić się ich funkcje.

PP: *Potoczna obserwacja wskazuje na wzbogacenie zbioru jednostek gospodarczych, uspołecznionych i nieuspołecznionych, działających na rynku ...*

J.M.: Jest to realne i korzystne zjawisko, ale zachodzące na marginesie naszej nieruchomości i niezwykle "sztywnej" organizacyjnie gospodarki. Niektóre przewidywane formy nie rozwinęły się z powodu opóźnienia regulacji prawnej, natomiast te nieliczne przykłady wykorzystywania nowych możliwości prawnych, które znamy /np. spółki/ obliczone są nie na lepsze efekty gospodarcze, a na ułatwienie sobie życia w niestabilnym otoczeniu.

Równouprawnienie formalne i fiskalne sektorów własności nie nastąpiło, a zatkanie związanych z tym potencjalnie kanałów aktywności gospodarczej rozdyma nielegalny "drugi obieg", począwszy od przysłowiowej fuchy, po wielkie przedsięwzięcia przemysłowe i spekulacyjne, a nawet produkcyjne.

PP: *Wróćmy do neuralgicznego styku gospodarki i polityki.*

J.M.: Zamach z 13 grudnia 1981 roku zamroził reformę w sferze zmian instytucjonalnych. Skradziono szyldy, obdarzając nimi parę karłowatych instytucji, będących zaledwie dalekim echem postulatów z 1981 roku. W miejsce drugiej izby, o kompetencjach stanowiących Sejm powołał w marcu 1982 roku organ opiniotwórczy - Radę Społeczno-Gospodarczą, jak się wkrótce okazało, pomijaną lub ignorowaną w istotnych sprawach. Powstał też

organ "daremej perswazji" wobec rządu - Konsultacyjna Rada Gospodarcza. Namiastką uspołecznienia decyzji mają być tzw. "konsultacje" - nie tylko nie będące formą uczestnictwa w zarządzaniu, ale nawet nie ujawniające na użytek władzy rzeczywistego stanu opinii publicznej.

Tak więc najbardziej ambitny i obiecujący fragment reformy nie został zrealizowany. W tych warunkach pewne drugorzędne zmiany - jak np. kontrolowany ruch konsumencki, czy tendencja do oddzielenia administracji państwowej od pionu politycznego PZPR, nie mają dla losów reformy większego znaczenia. Dotyczy to, niestety, także samorządu pracowniczego. Dziś jest to nadal wartościowe pole działalności publicznej, ale rady tracą zbyt wiele energii na obronę własnej niezależności i nie są w stanie odegrać tej roli, jaką zapowiadały czasy legalnej "Solidarności".

#### 4. TAK ZWANE OGRANICZENIA

PP: *Propaganda usprawiedliwia obecny stan reformy wskazując na splot niekorzystnych warunków, zastanych po rządach Gierka i pogłębionych w okresie "anarchii" ...*

J.M.: Paradoxs polega na tym, że pomiędzy kryzysami system kosztuje i nie ma bodźca do zmiany. Z kolei, kryzysy stwarzające taki bodziec utrudniają zadanie reformatorom. Współczesna lista utrudnień jest wyjątkowo długa. Otwiera ją zadłużenie, dalej brak równowagi we wszystkich rodzajach rynku wewnętrzno-gospodarczym /konsumpcyjnym, inwestycyjnym, dewizowym/, inflacja, tzw. garb inwestycyjny i dysproporcje w majątku produkcyjnym.

Władza dorzuca chętnie do tych głównych ograniczeń restrykcje zachodnie /propagandowo wyolbrzymiane/ i "opory społeczne", które ja nazwałbym raczej przyzwyczajeniem nas wszystkich, jako pracowników i konsumentów do systemu tradycyjnego. Jest to oczywiście skaza obejmująca w jeszcze większym stopniu kadre dyrektorską i administracyjną.

W sumie jest to zespół realnych i poważnych ograniczeń, z którymi musiałyby zmagać się każdy rząd w Polsce, niezależnie od jego politycznej bazy.

PP: *Jest jeszcze jeden argument, po który sięgają ostatnio władza /posłuszyli się nim gen. Jaruzelski w wywiadzie dla tygodnika "Time"/ - przeszkodą we wdrażaniu "twardego" reżymu rynkowego są rozległe socjalne zdobycze socjalizmu ...*

J.M.: Argument ten różni się od poprzednich tym, iż zderza reformę z pryncypiami socjalizmu, może więc być podnoszony w każdym warunkach - niekoniecznie kryzysowych. Dylemat: "rozwiązania socjalne albo rynek" jest jednak sztuczny. Czy bowiem są te rozległe świadczenia? Jakie jest bezpieczeństwo socjalne rencistów i emerytów? Jaka opieka nad rodzinami wiodliwymi i samotnymi matkami? Jaka ochrona zdrowia i organizacja wypoczynku? Jakie zabezpieczenie przed niedostatkiem i wreszcie, jakie warunki i bezpieczeństwo pracy?

Są to wszystko świadczenia na miarę naszej niesprawnej gospodarki, rosnącego ciężaru zbrojeń, utrzymania aparatu przymusu i administracji. Reforma rynkowa i autentyczna osłona socjalna nie są sobie przeciwne lecz idą w parze, dlatego, że tylko efektywna, rynkowa gospodarka zwiększa poziom i jakość życia pracujących i niepracujących.

Istnieje natomiast inny dylemat. Te same nieefektywne metody gospodarowania w realnym socjalizmie umożliwiają lojalnym obywatelom spełnienie takich "wartości" jak bezpieczeństwo etatu, familiarne stosunki w zakładzie, niskie wymagania i małe rozpiętości płacowe. Staje się to tym istotniejsze, im silniej odczuwane są ciężary i kłopoty dnia codziennego. Realnym problemem jest więc owa "zetatyzowana świadomość", dla której wdrożenie normalnych wymagań rynkowych oznaczałoby wstrząs.

PP: *Istnienie wszystkich tych realnych i wydumanych ograniczeń uwzględnione zostało w koncepcji etapowego wdrażania reformy. Czy okres przejściowy 1982-84 usunąć część przeszkód na drodze do samoregulacji rynkowej?*

J.M.: Dylematy okresu przejściowego miały dwojakie rozwiązanie: prorynkowe albo administracyjne. Rozwiązanie prorynkowe polegałoby na takim wytyczeniu "ścieżki dojścia" i stosowaniu takich metod polityki gospodarczej, które torowałyby drogę mechanizmom samoregulacji. Byłby to mozołny proces konstruowania rynku /którego w Polsce, poza peryferiami, nie ma/: dekoncentracja, demonopolizacja, cierpliwe rozszerzanie cen popytowo-podażowych. Spychałoby to państwo w sferze gospodarczej do roli organu kompensującego ujemne następstwa socjalne rodzące się rynku /ruchy cen i kosztów utrzymania, upadłości przedsiębiorstw itp./ oraz wytyczającego ogólnie kierunki rozwoju.

W latach 1982-85 górę wzięło jednak rozwiązanie administracyjne, upatrujące lekarstwa na kryzys - wbrew wszelkim doświadczeniom - w reglamentacji i ingerencji organów centralnych.

PP: *Publicznie prezentowano tezę o potrzebie podporządkowania mechanizmów ekonomicznych polityce gospodarczej ...*

J.M.: Nie byłoby w tym nic złego, gdyby chodziło o dalekowzroczną, długofalową politykę, w dodatku prorynkową. W realiach naszego kraju było to jednak wyznaczenie orientacji krótkookresowej - "operatywnego sterowania", które triumfowało w 1982 roku w miejsce strategii budowy rynku. Jego symbolem stał się system odpisów na PFAZ. Wynaleziony jako środek zaradczy na domniemane bezrobocie /1982/, przekształcony następnie w bodziec wzrostu produkcji za wszelką cenę /druga połowa 1982, 1983/, stał się w latach 1984-85 narzędziem antyinflacyjnym. Po drodze, PFAZ spowodował wiele nonsensów płacowo-zatrudnieniowych i zlikwidował dłuższy horyzont decyzyjny w przedsiębiorstwach. W taki sposób meandry polityki bieżącej neutralizują mechanizmy wynikające z regulacji ustawowej - niespójność polityki gospodarczej i rozwiązań systemowych jest w Polsce faktem. Nie dziwię się, że aparat gospodarczy, poddany silnej presji władz politycznych, domagających się szybkich sukcesów, wraca do tradycyjnych metod, wspartych przez biurokratyczną rutynę.

PP: *Czy możesz dać przykłady administracyjnego, łamiącego logikę reformy stylu w rozwiązywaniu bieżących trudności gospodarczych?*

J.M.: Nie będę oryginalny, jeśli wskażę ceny, zaopatrzenie i zatrudnienie. Ustawa cenowa z roku 1982 jest już praktycznie martwa - następuje odwrót ku cenom administracyjnym - budowanym, jak dawniej, na "formule kosztowej". W sferze zaopatrzenia, w miejsce poziomej harmonizacji produkcji i rynkowego wymuszania priorytetów społecznych, szerzy się reglamentacja. W końcu 1984 r. doszło do tego, że nieomal 100% podstawowych dóbr zaopatrzeniowych rozdziela się na zasadzie priorytetów

administracyjnych /zwanych programami operacyjnymi i zamówieniami rządowymi/, zaś ponad połowa surowców i materiałów poddana jest przymusowemu pośrednictwu w handlu. W sferze zatrudnienia, krokiem wstecz było wprowadzenie w 16 województwach tzw. obowiązkowego pośrednictwa pracy.

Co łączy politykę zaopatrzeniową i zatrudnieniową? Łączy to, że uważa "centrum" koncentruje się nie tam, gdzie powinna. W sferze zatrudnienia - na szukaniu sposobów zwiększenia aktywności zawodowej i na usztywnieniu stosunku pracy, zamiast na problemie wzrostu wydajności pracy. W sferze zaopatrzenia - na rozdziale, zamiast na stymulowaniu wzrostu produkcji dóbr zaopatrzeniowych i ich oszczędnym zużyciu. Łączy też niewątpliwa nieskuteczność tej polityki: wąskie gardła w zaopatrzeniu mnożą się, a bariera braku rąk do pracy rośnie /w regionach objętych pośrednictwem pracy wystąpiło zjawisko asekuracyjnego wzrostu zapotrzebowania na pracowników/.

A przecież tam, gdzie zdecydowano się na skromną choćby decentralizację, efekty były obiecujące. Dotyczy to na przykład wzrostu udziału inwestycji dokonywanych ze środków własnych przedsiębiorstw /ok. 32% ogólnych nakładów w gospodarce społecznej w r. 1984/. Wbrew obawom tylko 10-11% tych środków poszło na inwestycje uzupełniające i socjalne, natomiast szybko wzrosły inwestycje odtworzeniowo-modernizacyjne, służące naszym priorytetom gospodarczym: zahamowaniu dekapitalizacji oraz ograniczeniu inflacji.

Na przekór takim doświadczeniom, administrowanie bierze górę.

PP: *Czy nieszczęście polega na tym, że administracyjna filozofia walki z kryzysem reanimowała struktury biurokratyczne, naruszone częściowo w latach 1980/81?*

J.M.: Tak, w ten sposób realne ograniczenia reformy i problemy z jakimi boryka się nasza gospodarka, zostały niejako "skonsolidowane" przez biurokrację, która odżyła w klimacie politycznym roku 1982.

Nieuniknione w kryzysie formy reglamentacji - zamiast ominąć - splotły się w hierarchiczną strukturą zarządzania, która miała być przecież zlikwidowana. Ministerstwa gałęziowe /Min. Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, Komunikacji, Górnictwa i Energetyki, Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej/ oraz ogólni pośrednicy /np. organizacje rozdzielnictwa i obrotu pozostawione w składzie tych resortów lub włączone do obligatoryjnych zrzeszeń producentów/ zapały drugi oddech.

W ten sposób "gospodarka braku", trwałość struktur biurokratycznych i administracyjne metody gospodarce tworzą zespół zjawisk wzajemnie się wyjaśniających i wspomagających. Rozdzielnictwo materiałów deficytowych podtrzymuje struktury biurokratyczne. Stara organizacja negatywy rozdzielnictwa - pcha system zaopatrzenia i całą gospodarke w stare tory nakazowo-rozdzielcze. Koło się zamyka. Reforma przegrywa.

PP: *Jak wygląda po kilku latach sprawa ograniczeń niematerialnych - postaw społecznych, nawyków i kompetencji kadry zarządzającej. Czy społeczeństwo dojrzało do nowego modelu gospodarczego?*

J.M.: Dla przeciętnego Polaka decydujące znaczenie miał wstrząs 13 grudnia 1981 roku - prosta logika tego faktu. Późniejsze lenienie autorytetów i całej organizacji, z którą identyfikują się miliony ludzi, tylko to ugruntuwały. Powstała przepaść, którą wprowadzić wypełnia życie, ale zdeptane zostało kielikują-



ce w Sierpniu 1980 poczucie współuczestnictwa, zadomowienia i odpowiedzialności za kraj. Gospodarka stała się znowu "ich gospodarką", naprawa gospodarcza "ich sprawą".

O pogłębieniu tego stanu wyobcowania na terenie zakładu pracy stara się polityka kadrowa. Stosowane bez oszłonki kryteria politycznej lojalności zamykają awans i szansę satysfakcji zawodowej dla milionów zdolnych ludzi. Nie ma to nic wspólnego z zasadami reformy. Jeszcze dwie skazy postaw zbiorowych idą w koszty "wojny", szkodząc reformie i naprawie gospodarczej. Korupcja, rozwinięta w latach 70-tych i chwilowo zakwestionowana po Sierpniu staje się znowu normą obyczajową. Wraz z upadkiem etyki zawodowej nastąpiło niesłychane spłaszczenie motywacji pracowniczych. Zupełnie jak z podręcznika psychologii: niemożliwość zaspokojenia potrzeb wyższego rzędu /współdecydowanie, uczestnictwo/ eksponuje motywy płacowo-materialne. Objawia się to m.in. brakiem więzi z zakładem pracy i nie spotykaną dotąd fluktuacją załóg.

Czy zaś sprzyja reformie treść propagandy? Przeciwnie - tak jak biurokracja "konsumuje" ograniczenia w sferze realnej, tak propaganda wykorzystuje 40-letnie spustoszenia w sferze świadomości, podsycając na co dzień obawy przed rynkiem.

PP: *Czy dotyczy to także kadry zarządzającej?*

J.M.: Problem kadr zarządzających skomentuję krótko: nie wystarczy bieżące szkolenie, co oznacza właściwie tylko zaznajamianie z meandrami reformy. Potrzebne jest dobre przygotowanie teoretyczne i brak utrwalonych nawyków. Czy w świetle tego kryterium weryfikacja kadr administracyjnych, przeprowadzona w roku 1982 oraz powrót tradycyjnego trybu obsadzania stanowisk dyrektorskich oznaczały selekcję pozytywną, czy raczej negatywną? Czy zdławienie autonomii szkół wyższych służy sprawie unowocześnienia kształcenia ekonomicznego i naukowego rozpoznania nowych problemów? Stawiam te pytania, by przypomnieć banalną prawdę: reformy gospodarczej nie można oderwać od naprawy innych dziedzin życia publicznego w Polsce.

## 5. JAK GOSPODARKA FUNKCJONUJE ?

PP: *Wróćmy do głównego nurtu rozmowy i postawionego w tytule pytania. Gdzie należy szukać kryterium rozstrzygającego o tym, czy reforma jest, czy jej nie ma?*

J.M.: Zaryzykuję poważną definicję. Reforma gospodarcza to utrwalona prawnie i instytucjonalnie zmiana reguł zachowania uczestników życia gospodarczego. Rozstrzygającego kryterium szukać zatem należy nie w sferze reguł formalnych, lecz w sferze rzeczywistego sposobu funkcjonowania podmiotów gry gospodarczej - pytając, czy zmienił się on w pożądanym kierunku.

PP: *Decydującym ogniwem gospodarki jest przedsiębiorstwo ...*

J.M.: Muszę się zastrzec, że będę mówił o tendencji dominującej, typowej, wyłaniającej się z dużej różnorodności zachowań jednostek gospodarczych w poszczególnych sektorach własności, branżach, regionach, a nawet poziomach rentowności. Otóż przez kilka minionych lat, przedsiębiorstwa uczyły się na drodze prób i błędów, "grać" - osiągać swoje cele - w nowym układzie przepisów. To, czego się nauczyły, decyduje o obliczu naszej gospodarki.

Nie ma wątpliwości, że nie zmateralizował się artykuł 3 ustawy o gospodarce finansowej, ustanawiający zysk jako główny miernik oceny przedsiębiorstwa. W opisanym wcześniej systemie regulacji zysk nie mógł stać się celem głównym przedsiębiorstwa, co przy spełnieniu kilku dalszych wymogów regulacji rynkowej zbliżyłoby zachowanie przedsiębiorstwa do podręcznikowego ideału racjonalności ekonomicznej.

My zaś mamy system, który zniechęca do osiągnięcia nadwyżek finansowych. Przedsiębiorstwo nie może pochwalić się, że małym nakładem uzyskało duży efekt.

Powrót kosztowej formuły cen i kontrola cen w formie zakazu pobierania więcej niż "uczciwej" marży zysku, sprawia, że zysk występuje jako narzut na koszty, a nie jako maksymalizowana różnica między efektem a nakładem. Nowa regulacja utrwała pojmowanie cen i kosztów w sposób typowy dla systemu nakazowo-rozdzielczego.

PP: *Skoro nie zysk czy nadwyżka, to co jest celem przedsiębiorstwa?*

J.M.: Większość obserwatorów skłania się do twierdzenia, że liczą się głównie płace - "wynagrodzenia w ciężar kosztów". Przedsiębiorstwo realizuje oczywiście całą wiązkę celów, wśród których dużej wagi nabiera motyw zachowania ciągłości produkcji. Ale dochody pracownicze znajdują się w centrum uwagi kierownictwa. Pozostałe mierniki ustawia się na poziomie "bezpiecznym" względem fiskusa /rentowność/ i obciąża PFAZ /produkcja netto/. Waga czynnika płacowego podkreślona jest przez rosnącą barierę braku rąk do pracy oraz wysoką od lat 70-tych rosnącą rangę nieformalnego kryterium "spokoju społecznego" w ocenie kadry kierowniczej.

W kontekście pytania o reformę zasadnicze znaczenie ma to, że przedsiębiorstwa szybko nauczyły się eliminować innowacje technologiczne i organizacyjne spośród sposobów osiągnięcia swoich celów - prostsze i łatwiejsze okazały się inne metody. Nie nastąpiła zmiana orientacji z pionowej na poziomą, rynkową. Jeśli rodzi się jakaś przedsiębiorczość, to właśnie na osi pionowej, w grze z "centrum".

Brak dyrektywnego planu wyeliminował niewątpliwie część nonsensu gospodarczego, typowego dla realnego socjalizmu, ale ciągle każdy z nas może wskazać, na własnym podwórku, mnóstwo zachowań sprzecznych z tzw. zdrowym rozsądkiem. Jeśli zasady cenotwórstwa zachęcają do powiększania kosztów i obligują do obniżki cen w zamian za innowację poprawiającą rentowność, jeśli rośnie zapotrzebowanie na pracowników i materiały przy stabilnej, a nawet spadającej produkcji, to są to objawy nieuleczalnej choroby gospodarki w jej podstawowym ogniwie - przedsiębiorstwie.

PP: *Czy znacząco, że przedsiębiorstwo działa nieracjonalnie?*

J.M.: Żeby nie gmatwać pojęć odpowiem następująco: przedsiębiorstwo dąży do możliwie korzystnej w danych warunkach relacji między nakładami a efektami i w tym sensie działa racjonalnie i zgodnie z własnym interesem. Jeśli można się samofinansować drogą pokrywania ceną każdego kosztów, to obniżenie nakładów i poprawa jakości byłoby sprzeczne z regułami prakseologii. Taktyka przedsiębiorstw jest więc zasadna w danych warunkach, a ich krótki horyzont decyzyjny w pełni rozumiały wobec niestabilności formalnych reguł gry.

Zrozumiałe jest także, że kadra kierownicza przyjęła taktykę przetrzymania reformy, co ujawniają oficjalne badania ankiet-

towe. Wyłania się z nich portret zbiorowy dyrektora, który traktuje reformę jako zaburzenie w otoczeniu /niejasność reguł gry i niepewność przyszłości/, okres zmian prowadzących w nieznany kierunek, a na tyle szybkich, że przekraczających możliwości przystosowawcze przedsiębiorstw.

PP: *Oczekiwanie, że zmieni się sposób funkcjonowania "centrum" bez zmiany układu instytucjonalnego i presji społecznej, uważaś już wcześniej za nierealne ...*

J.M.: Pewne zmiany jednak są i trzeba je odnotować: większa jawność prac rządu i organów administracji, m.in. publikowanie danych dotyczących planu kredytowego, budżetu czy zadłużenia. Rozszerzył się margines swobodnej dyskusji ekonomicznej. W połączeniu z upodobaniem do "konsultacji" i zainteresowaniem tzw. sygnałami wczesnego ostrzegania, świadczy to o większej wrażliwości władzy na społeczny odbiór poczynając gospodarczych i większej skłonności do ewentualnej autokorekty.

Nie ma to jednak nic wspólnego ani z rozszerzeniem bazy rządzenia ani z dostosowaniem organów centralnych do logiki regulacji rynkowej. "Centrum" nie musi liczyć się z logiką rynku, bo samo tworzy reguły gry gospodarczej. Co gorsza, często te reguły łamie. Brak konsekwencji i niespójność stają się zrozumiałe, jeśli - zamiast wrzucać wszystko do jednego worka - spojrzymy na "centrum" jako na obszar nieustającej gry różnych grup interesu. Nie zdziwi nas wtedy, że decyzje rozwojowe w branżach o największej sile przebicia zapadają nie jako element spójnego planowania, lecz w trybie nadzwyczajnym - tak powstały programy rozwojowe hutnictwa, górnictwa i energetyki, przyjęte zanim uchwalono plan ogólnogospodarczy na lata 1986-90. Spektakularnym przejawem niezdolności organów centralnych, w ich obecnym układzie, do działania zgodnego z koncepcją reformy, jest fiasko tzw. twardego finansowania, tworzącego presję efektywnościową na przedsiębiorstwa.

Tak samo jak przedsiębiorstwa, "centrum" woli osiągać swoje cele prostszymi i znanymi sobie metodami: poprzez rozdzielnicwo środków rzeczowych i finansowych oraz przez nieformalne układy personalne.

PP: *Jak zdefiniować powstały mechanizm gospodarczy, mimo wszystko różny od tradycyjnego systemu, nazywanego systemem nakazowo-rozdzielczym?*

J.M.: Nie trzeba wymyślać nowych określeń, skoro trafne znajdują się już w obiegu: wytworzył się system uznaniowo-przetargowy. Przesadą byłoby jednak ostre kontrastowanie tego, co jest z tym, co było w latach 70-tych. Bowiem już gospodarka okresu "otwartych planów" charakteryzowała się dużym stopniem uznaniowości i nasileniem przetargu między "centrum" a przedsiębiorstwami. Wylimitowanie w latach 80-tych formalnych dyrektyw zmieniło po prostu obszar przetargu. Dawniej toczył się on o rozmiary i strukturę obligatoryjnych zadań produkcyjnych oraz środki ich realizacji /limity/. Istnieje to nadal w sferze zamówień rządowych i branż wyjątych z zasady "3 x S", ale zasadniczy przetarg toczy się obecnie o reguły gry: parametry i normy finansowe.

W wyniku tego przetargu instrumenty polityki fiskalnej i monetarnej przestają być ogólnymi normami efektywności, a stają się indywidualnym /adresowym/ wymiarem obciążeń, wytargowanym przez poszczególne przedsiębiorstwa. Obiektywny rachunek ekonomiczny nie jest możliwy, zarówno po stronie "centrum" jak i po stronie przedsiębiorstw, układ parametrów pozostaje sztucz-

ny. Działanie przedsiębiorstw nie jest weryfikowane przez kontrahentów i konsumentów. Ocena przedsiębiorstw przenosi się na organy administracyjne, które z kolei, pozbawione miar obiektywnych, przykładają do działalności ekonomicznej kryteria polityczne.

Przetarg jest oczywiście bronią silniejszych. Bronią słabszych firm w stosunkach z organem założycielskim i bankiem jest manipulacja - gra wskaźnikowa, której pożywką jest nieprzejrzysta sytuacja i przeregulowanie systemu ekonomiczno-finansowego. Tak przetarg, jak i manipulacja zmierzają ostatecznie do efektu piacowego, tyle, że w tym drugim przypadku droga wiedzie przez ruchy asortymentowe lub nawet czysto księgowę.

Mamy więc w Polsce nową, charakterystyczną dla obecnej fazy realnego socjalizmu, odmianę "gospodarki braku" - hybrydę, której na pewno nie oczekiwali autorzy koncepcji reformy z lat 1980/81.

## 6. SFERA REALNA

PP: *Skoro nie przemówiła na korzyść reformy nasza diagnoza sposobu funkcjonowania gospodarki, to wypróbujmy inne kryterium: statystyki produkcji i dochodu narodowego.*

J.M.: Przydatność tego kryterium w naszych warunkach jest niewielka. Nie sposób pozytywnych czy negatywnych skutków reformy udokumentować statystycznie, nie można bowiem oddzielić czynnika reformy od innych uwarunkowań wyznaczających procesy w sferze realnej. Na marginesie: rozpoznanie zjawisk w tej sferze zostało utrudnione odkąd GUS zwolnił w roku 1984 przedsiębiorstwa z obowiązku sprawozdawczości w wielkościach porównywalnych.

PP: *Ale po roku 1982 nastąpiło odwrócenie tendencji spadkowych w produkcji i dochodzie narodowym ...*

J.M.: Tak i jest to osiągnięcie gospodarcze rządu, tyle, że ilościowy wzrost produkcji był przede wszystkim następstwem poprawy zasilania przemysłu w energię, surowce i materiały - metodami niezwykle kosztownymi z punktu widzenia społecznego. Wahania ilościowe produkcji nie były w doświadczeniu poddyktowane zmianami popytu, lecz raczej nie zamierzonym i nie pożądanym skutkiem różnego rodzaju barier i "wąskich gardeł". Zahamowanie trendu wzrostowego w drugiej połowie 1984 roku powinno być dobrą nauką dla rządowych propagandzistów reformy, podpierających swoje tezy krótkookresowymi sukcesami ilościowymi.

Jeśli już szukamy w sferze realnej dowodów reformy, to powinna się ona objawić w harmonizacji wewnętrznej tej sfery, polepszeniu jakości i relacji efektywnościowych, nade wszystko - w dostosowaniu produkcji do potrzeb ludności.

Żadne z tych zjawisk nie wystąpiło. O pogorszeniu relacji efektywnościowych świadczy duża rozpiętość pomiędzy indeksami produkcji czystej i globalnej. Enegrochłonność produkcji w Polsce rośnie, wbrew tendencjom światowym, zaś transportochłonność jest już 4-krotnie wyższa niż w krajach zachodnich. Zamiast poprawy jakości doświadczamy stałej "bubelizacji" produkcji. Reforma nie oddziaływała na wzrost eksportu, tym bardziej na poprawę jego opłacalności. Taką wyliczankę mógłbyśmy kontynuować - dość powiedzieć, że spojrzenie przez pryzmat cech jakości

ciowych nie pozwala odnaleźć w sferze relanej skutków reformy.

PP: *Chronionne braki tych czy innych dóbr konsumpcyjnych dowodzą, że lata 80-te nie przerwały błędnego koła "produkcji dla produkcji" ...*

J.M.: Jest to odwieczny temat debaty ekonomicznej w Polsce, ożywionej w latach 1980/81, ale jak dotąd jałowej. Wspominając o tym oddaliśmy się jednak od tematu naszej rozmowy, bowiem - jak już wspomniałem - reforma nie dotarła do sfery decyzji rozwojowych. Mechanizm ekonomiczny nie został w tym zakresie wypróbowany. Brak tzw. restrukturalizacji majątku i produkcji, będący autentycznym dramatem naszej gospodarki, obciąża w całości konto "ręcznego sterowania" gospodarką. Oznacza ono w istocie dryfowanie w kierunku będącym wypadkową nacisków branżowych, preferencji politycznych, czy nawet animozji personalnych. Środki z puli centralnej angażowane są, jak dawniej, w realizację tyleż monumentalnych co nieekonomicznych "budów socjalizmu", których symbolem stała się Huta Katowice.

Całościowy bilans tego "ręcznego sterowania", które trwa już czwarty rok, jest wysoce niepokojący: wadliwa, brzemienne w kryzys struktura majątku produkcyjnego, powielana przez wadliwe kierunki inwestycji, dekapitalizacja części majątku, nierównowaga rynkowa i rosnący nawis inflacyjny, rosnące zadłużenie, rabunkowa eksploatacja zasobów naturalnych i pracy ludzkiej, zniszczenie środowiska, zaniedbanie tzw. infrastruktury społecznej, kulturalnej i naukowej, wreszcie rosnąca luka technologiczna między nami a krajami rozwiniętymi.

Wcześniej mówiłem o tych zjawiskach jako o ograniczeniach reformy. Teraz wracam do nich, gdyż stanowią one, z drugiej strony biorąc, rodzaj wyzwania, któremu metody administracyjne nie mogą sprostać. Obecny kryzys stwarza imperatyw rynku. Bez urynkowienia grozi nam wieloletnia stagnacja, jałowy bieg gospodarki pozerającej zasoby niewspółmierne do efektów - następnego pokolenia staną przed groźniejszymi barierami niż dzisiaj reformatorzy.

## 7. INTERPRETACJA TEORETYCZNA

PP: *Również wydarzenia w Polsce nie zaskoczyły chyba teoretyków, potwierdził raczej niektóre tezy na temat reformowalności gospodarki realnego socjalizmu ...*

J.M.: Teoretyk posługuje się w badaniu rzeczywistości społecznej wyidealizowanymi modelami myślowymi - w naszym przypadku modelem systemu nakazowo-rozdzielczego i modelem regulacji rynkowej. Reformę podjętą w Polsce można więc interpretować dwójako. Po pierwsze, ocenić - jak czyni to Leszek Balcerowicz - czy i na ile udało się złamać podstawowe cechy systemu nakazowo-rozdzielczego: dyrektywność, rozdzielnictwo rzeczowe i finansowe, strukturę organizacyjną, nomenklaturę, wieloszczebelowość, centralizację decyzji. Bez usunięcia tych fundamentów niemożliwe jest bowiem trwałe wyeliminowanie cech pochodnych systemu, takich jak: pseudo-pieniądz, braki rynkowe, fasadowość samorządów, wadliwość cen, monopolizacja - będących objawami jego ekonomicznej niewydolności.

Alternatywna metoda polega na ocenie stopnia przybliżenia do modelu rynkowego, definiowanego znowu przez zespół istotnych znamion: powiązania poziome, swoboda tworzenia firm, odpowiedzialność ekonomiczna za decyzje, swoboda kształtowania cen, mobilność zatrudnienia, funkcjonowanie rynku kapitałowo-

finansowego, cenotwórcza rola kursu walutowego itp.

Jedno i drugie prowadzi do wspólnego wniosku: dokonane w Polsce zmiany nie osiągnęły "masy krytycznej" - mierzonej czy to oddaleniem od modelu tradycyjnego, czy też przybliżeniem do modelu docelowego - która gwarantowałaby nieodwracalność reformy i pożądaną zmianę sposobu gospodarowania. Dla teoretyka rozwój sytuacji nie mógł więc być zaskoczeniem. W realiach politycznych lat 1982-85 niepowodzenie reformy było samosprowadzającą się prognozą.

PP: *Potwierdzasz zatem dość rozpowszechnioną tezę, że o sukcesie lub porażce reformy decydował układ sił politycznych. Ale czy - niezależnie od blokady politycznej - nie zawiniły błędy warsztatowe reformy?*

J.M.: Błędy były. Chyba najważniejszym było skupienie uwagi na statusie przedsiębiorstwa, przy zaniedbaniu mechanizmu regulacji rynkowej. Każdy mógł się przekonać, że osiawione "3 x S", będące stanami formalnymi, same z siebie nie sprawiają cuda - nie są czynnikami presji na efektywność o ile nie łączą się z racjonalną weryfikacją /z upadłością włącznie/ nakładów i efektów pracy przedsiębiorstwa na rynku. Ale jeżeli zechcemy poszukać przyczyn tego "błędu warsztatowego" i wielu innych /np. system PPAZ w 1982 roku/, to prędzej czy później natrafimy na czynniki polityczne.

PP: *Czy konsekwentna realizacja "Kierunków reformy gospodarczej" z roku 1981 gwarantowałaby osiągnięcie owej "masy krytycznej" zmian, o którą chodzi?*

J.M.: Jest to pytanie, którego nie dane nam było rozstrzygnąć w praktyce. Zresztą "Kierunki" nie były dokumentem dającym skończony projekt docelowy. Były pierwszym przybliżeniem, które w toku właściwej reformy, należałoby testować i korygować, usuwając wyraźne luki koncepcyjne /np. wyrównanie warunków startu przedsiębiorstw/. O ile tradycyjny model gospodarczy realnego socjalizmu wywodzący się z okresu stalinowskiego, został dobrze rozpoznany i sportretowany, to w kwestii modelu, który przewyciężyłby "gospodarkę braku" a jednocześnie nie był wykluczony politycznie, ideologicznie czy geopolitycznie, istnieje wielki znak zapytania. Cóż, że można założyć, iż musi to być model mieszany - czerpiący sprawdzone rozwiązania z różnych stron. Wiemy także, że wspólnym mianownikiem dotychczasowych reform w Europie Wschodniej była próba wzmocnienia roli pieniądza i że nigdy się to nie udało: zawsze pieniądz wracał do roli wtórnej - biernego rejestratora procesów rzeczowych. Wydaje mi się, że pożądanym przełom efektywnościowy nie nastąpi, o ile nie rozwiąże się kwestii podstawowych: musi powstać integralny rynek to znaczy "system naczyń połączonych", złożony z rynku towarowego, kapitałowego i rynku pracy, natomiast środki produkcji muszą znajdować się w rękach realnego właściciela odpowiedzialnego ekonomicznie za swoje decyzje. Czy jest to w tej części Europy możliwe? Można się spierać - ale nie sądzę żeby wykluczyć, bo trzeba by wykluczyć takie "odstępstwa" od normy jak: 3/4 ziemi w rękach prywatnych, msza święta na antenie radiowej, powszechność nieocenzurowanych druków itd.

## 8. CO DALEJ

PP: *Zbliżamy się do końca rozmowy. Pora na bilans reformy ...*

J.M.: Po stronie pozytywów mamy pierwszą w dziejach powojennych Polski, w miarę kompleksową, regulację ustawową, oznaczającą formalny kres planowania dyrektywnego i znaczne usamodzielnienie przedsiębiorstw. Taki zakres zmian, wprowadzony np. 10 lat temu, powitalibyśmy z uznaniem, byłby miłym zaskoczeniem. Mamy jednak koniec roku 1985, za sobą Sierpień roku 1980 - inny pułap oczekiwań i inny poziom wyzwania cywilizacyjnego. Dzisiaj to nie wystarcza.

Reforma zrodzona z Umowy Społecznej, jako proces demokratyzacji i racjonalizacji systemu, zamieniona została wraz ze stanem wojennym w zespół działań ujawniających w miarę upływu czasu coraz silniejsze podporządkowanie grze politycznej, a nie racjonalności ekonomicznej. Reforma formalnie niby jest, ale jej literę wykoślawiono, zaś ducha zgubiono.

PP: *Czy zmiany zapowiedziane na rok 1986 oznaczają jakiś przełom?*

J.M.: Scenariusz rzeczywistego urynkowania gospodarki, nakreślony np. w raporcie "Polska 5 lat po Sierpniu" jest w obecnych realiach politycznych pobożnym życzeniem, a tylko on oznaczałby przełom. Z oficjalnych zapowiedzi wynika, że władze się tego scenariusza wyrzekły. Kontynuowana będzie kaleka, ale wygodna dla biurokracji, manipulacyjna wersja "reformy". Jakże nieistotne jest na przykład uchwalenie ustawy antymonopolowej, wobec otwartej zapowiedzi tworzenia koncernów, kombinatów i innych form temu podobnych. Symbolem wracającego do starej normy układu naszej gospodarki jest twór o nazwie "Megat", istniejący od października br., likwidujący "3 x S" /a nawet osobowość prawną/ tak znanych firm jak "Zamech" czy "Dolmel".

Najbardziej prawdopodobnym kierunkiem rozmocy reformy w drugiej połowie lat 80-tych jest jej "poszatkowanie" i "ubranżowanie" - doprowadzenie do takiego stanu, w którym każda branża, ba każde przedsiębiorstwo, będzie funkcjonowało w odrębnym /zmiennym i nieprzejrzystym/ otoczeniu reguł formalnych i nieformalnych.

PP: *Czy istnieje niebezpieczeństwo otwartego odwrótu od reformy?*

J.M.: Teoretycznie takie niebezpieczeństwo istnieje, bo kręgi otwarcie wrogie wszelkim zmianom, przede wszystkim ograniczonej nawet samodzielności i samorządności przedsiębiorstw, dają znać o sobie - choćby w czasie tzw. "narady poznawczej" zwołanej w maju 1985 r. i wielu innych narad "aktywu". Głosy domagające się przywrócenia "socjalistycznego" charakteru przedsiębiorstw znajdują wyraz w niektórych aktach prawnych /np. Uchwała Rady Ministrów z 19.03.1985 r w sprawie realizacji przez przedsiębiorstwa społecznych zadań na rzecz załóg/. Największym jednak zagrożeniem jest pogłębiająca się niewydolność gospodarki, która może skłonić rząd do sięgnięcia po paramilitarne metody działania.

Uważam jednak otwarty odwrót od "reformy" za mało prawdopodobny. Bardziej prawdopodobne i bardziej opłacalne dla władzy jest pozostawienie sztyldu. Kryzys tradycyjnych fikcji /uspołecznienie, produkcja dla zaspokojenia potrzeb, racjonalne planowanie/ będzie "rozwiązywany" metodą mnożenia fikcji /"3xS", samorządność/.

PP: *Czy trwające w różnych formach oporu społeczeństwo może zwiększyć szanse autentycznej reformy gospodarczej?*

J.M.: Jest to problem na osobną rozmowę, którą może kiedyś odbędziemy. Dzisiaj - już na zakończenie, tylko parę zdań. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że "przełomowa" reforma gospodarcza może udać się tylko jako dzieło wspólne. Nie jest w stanie tego dokonać osobno ani rząd ani też jakikolwiek ruch czy organizacja, działająca wbrew państwu. Warunkiem powodzenia reformy jest zgoda narodowa co do wizji docelowej i sposobu jej realizacji.

Wyrzekając się zasady "im gorzej tym lepiej" musimy uznać każdą dawkę zmian za stan korzystniejszy od systemu nakazowo-rozdzielczego. Nie stanowi to jednak dużego pocieszenia. Trzeba nadal rozwijać pracę koncepcyjną, edukacyjną, tworząc - choćby na zapas realne rozwiązania i społeczne zaplecze rynkowej reformy gospodarczej. W sferze działań gospodarczych nie mamy dziś dużych możliwości. Wypełniając owe stosunkowo niezależne pola działalności, które wskazał Lech Wałęsa w swym wystąpieniu z 7 marca 1984 roku /samorząd pracowniczy, spółdzielczość, rzemiosło, rolnictwo indywidualne/ robimy wiele, ale nie jesteśmy w stanie powstrzymać cywilizacyjnej degradacji kraju.

Musimy jednak pamiętać, że obowiązek działania dla Polski ciąży na każdym z nas. Pretensji o taki czy inny bieg minionych zdarzeń historycznych i tak nikt nie wysłucha, dlatego zamiast wyliczać trudności i przeszkody należy raczej "bez strachu ale z rozważą" zmierzyć się z naszymi problemami i realizować nasze zamierzenia, bo nikt inny za nas tego nie zrobi.

PP: *Dziękujemy za rozmowę.*

Grudzień 1985



Andrzej Richert

## PIERWSZY KRYZYS INTERWENCYJNY

*Zakończenie pierwszego poważnego od sierpnia 1980 r. kryzysu wewnętrznego w Polsce zarejestrowaniem "Solidarności" w początkach listopada 1980 (tzw. kryzys rejestracyjny) niosło - wydawałoby się - nadzieję na okres spokojniejszy. Konflikty, głównie na tle płacowym, dotyczyły jedynie kilku grup zawodowych (m.in. kolejarzy i włóknarzy). Jednak okres względnej spokoju nie trwał długo - trzecia dekada listopada przyniosła ponowne gwałtowne zaostrzenie sytuacji w Polsce.*

20 listopada Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła rewizję w siedzibie MKZ "Mazowsze" i zarekwirowała powielany tam tajny dokument Prokuratury Generalnej Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej do umiejętnego wykorzystania w pracy politycznej i zawodowej. Zawierał on omówienie sposobów walki władz z organizacjami, ruchami społecznymi, środowiskami opozycyjnymi, które miały swój udział w powstaniu NSZZ "Solidarność": KSS "KOR", Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Konfederacja Polski Niepodległej, Ruch Młodej Polski i inne. Następnego dnia aresztowano pracownika powielarni "Mazowsza", Jana Narożniaka, co wywołało protest "Solidarności", która zażądała również wypuszczenia z aresztu Leszka Moczulskiego i innych działaczy KPN.

Innym powodem wzrostu napięcia było nasilenie się trwającego od wielu dni konfliktu kolejarzy z "Solidarności" z rządem, spowodowanego niedotrzymaniem przezeń porozumienia w sprawach płacowych. 20 listopada rozpoczęła się akcja protestacyjna, choć ruch pociągów na razie odbywał się bez zakłóceń. Wobec braku skuteczności akcji ostrzegawczej, 22 listopada Międzyokregowa Komisja Porozumiewawcza Kolejarzy NSZZ "Solidarność" zapowiedziała - w wypadku niespełnienia przez rząd zobowiązań - przeprowadzenie 24 i 25 listopada drugiej fazy strajku ostrzegawczego: na dwie godziny stanąć miały koleje podmiejskie w Gdańsku i w Warszawie.

---

*Tekst niniejszy jest fragmentem rozdziału pracy dotyczącej najnowszej historii Polski (1980-81) w aspekcie międzynarodowym. Wybraliśmy część opisującą sytuację wokół naszego kraju jesienią 1980 r., rezygnując z partii tekstu nasświetlającej ogólnosięwiatowe problemy polityczne tamtego czasu (m.in. kwestie: afgańska, kambudzkańska czy wojnę irańsko-iraacką) oraz ich związek ze sprawą polską. Za zgodą Autora zrezygnowaliśmy z przypisów.*

W tym samym czasie gazety NRD i Czechosłowacji oceniały - w obszernych materiałach - sytuację w Polsce coraz bardziej krytycznie. Prasa czechosłowacka rozpisywała się o nacisku ekonomicznym Zachodu na Polskę, o przyznaniu Polsce przez Stany Zjednoczone szczególnych przywilejów, co miało ją związać mocniej z Zachodem i doprowadzić do stopniowego osłabienia socjalizmu. Wspominała też o przestrodze Amerykanów że polityka represyjna władz PRL zniszczy podstawę współpracy z USA. "Neues Deutschland" atakował Lecha Wałęsę, stwierdzając, że jest nieodpowiedzialny, operuje frazesami, opiera się na fantazji, nie specjalizuje się w umiejętności organizacji strajków, jego credo polityczne to klerikalizm i wrogość wobec odprężenia, podziela poglądy Solżenicyna i ma przyjaźnięć m.in. we włoskiej partii neofaszystowskiej MSI; zresztą wszystko, co zrobił do tej pory, to dopiero początek - jego apetyty są o wiele większe.

24 listopada, po aresztowaniu Piotra Sapełły (pracownika Prokuratury Generalnej, który przekazał tajny dokument Związkowi) i niespełnieniu żądań uwolnienia jego, Narożniaka oraz innych działaczy przetrzymywanych z przyczyn politycznych, wybuchły strajki w kilku ważnych zakładach przemysłowych regionu "Mazowsze". Wstrzymany tymczasowo został - zgodnie z zapowiedzią - ruch pociągów podmiejskich w Warszawie i Gdańsku. Do wzrostu napięcia przyczynił się też wiec branżowych związków zawodowych w warszawskiej hali "Gwardii" odbywany pod hasłem "Nie chcemy żyć w stanie wrzenia i chaosu".

Obydwa konflikty nasilały się. Jednak reakcja władz radzieckich, jaką tego dnia przekazała prasa, była nieproporcjonalna do poczynań kolejarzy. 24 listopada Moskwa stwierdziła, że w Polsce zaistniała groźba strajku powszechnego w transporcie, to zaś godzi w interesy narodowe, interesy bezpieczeństwa kraju, *naruszyć może szlaki tranzytowe biegnące przez terytorium Polski*. Było to najostrzejsze z dotychczasowych oświadczeń radzieckich dotyczących Polski od Sierpnia '80. Niepokojąco brzmiały sformułowania: *interesy obronne, zagrożenie tranzytu*. Na Zachodzie ponownie wzrosło zaniepokojenie sytuacją Polski.

Konflikt władz z MKZ "Mazowsze" i całą "Solidarnością" szybko zaangażował środki masowego przekazu krajów socjalistycznych. Rozwijały one kampanię wyraźnie wzmagającą zamieszanie wokół naszego kraju. I tak np. wschodnioniemiecka "Die Wahrheit" obarczyła "Solidarność" zarzutem działalności kontrrewolucyjnej i nawoływała do poskromienia Związku. 26 listopada w dramatycznym tonie o sytuacji w Polsce mówił Erich Honecker, podkreślając znaczenie stabilizacji sytuacji w PRL.

25 listopada zasiegł konfliktów powiększył się. W regionie warszawskim trwał stan gotowości strajkowej, nadal strajkowały niektóre wydziały wielkich zakładów stolicy. Delegacja "Mazowsza" negocjowała z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim, rozszerzając znacznie pakiet postulatów. Żądano już nie tylko uwolnienia aresztowanych, ale także ujawnienia i ukarania autorów dokumentu Prokuratury Generalnej, pilnego powołania komisji sejmowej, która współpracując z "Solidarnością" zbada praworządność funkcjonowania prokuratury, MO i SB, ujawnienia i osądzenia odpowiedzialnych za przestępstwa wobec robotników w czasie wydarzeń grudniowych i czerwcowych, ujawnienia materiałów tzw. komisji Szydłaka, ograniczenia budżetów i przeprowadzenia kontroli wydatków w MSW i Prokuraturze Generalnej. Jakkolwiek rząd podjął we Wrocławiu rozmowy z protestującymi kolejarzami, to jednak w innych branżach i regionach napięcie wzrastało: strajkowały kopalnie na Górnym Śląsku

ku, "Solidarność" okupowała budynek starych związków w Radomiu, w Gdańsku protestowała spółdzielczość inwalidzka.

Obrađująca 26 listopada w Gdańsku Krajowa Komisja Porozumiewawcza poparła region "Mazowsze" stanowczo i jednoznacznie. Istniało niebezpieczeństwo, że w stolicy może rozpocząć się strajk powszechny. Jednak w nocy z 26 na 27 listopada zwolniono dzięki poręczeniu Stefana Bratkowskiego Naroźniaka i Sapełkę. Mimo to huta "Warszawa" kontynuowała strajk żądając rozmów na temat generalnych problemów praworządności w Polsce. Pod naciskiem przywódców Związku, odwołujących się do niebezpieczeństwa zewnętrzne-go, strajk zakończono 28 listopada rano. Jedne konflikty łagodź-no, lecz pojawiały się następne. Osiągnięto porozumienie płacowe z kolejarzami, "Solidarnością" Radomia i cukrownikami, trwały jednak protesty górników oraz studentów dobijających się - na razie bezskutecznie - o rejestrację NZS-u. Generalnie jednak, w ostatnich dniach listopada napięcie opadło.

W tym krytycznym okresie doszło do szeregu kontaktów międzyna-rodowych na wysokim szczeblu. Do Polski przybył minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Lubomir Chnioupek. Przyjęty został przez Stanisława Kanję. Zachodnie doniesienia agencyjne spekulowały na temat domniemanych ostrzeżeń kierowanych tą drogą do przywódców PZPR. Do Budapesztu wyjechał sekretarz KC Tadeusz Grabski, który rozmawiał z sekretarzem KC WPK Nemethem oraz sekretarzem generalnym węgierskiej Krajowej Rady Związków Zawodowych Sandorem Gasparem.

Wokół Polski cały czas utrzymywała się napięta atmosfera. 28 listopada "Prawda" informowała o spotkaniu weteranów Wojska Polskiego i żołnierzy - Polaków służyących w Armii Czerwonej w okre-sie II wojny światowej. W relacji mowa była o potępieniu działal-ności antysocjalistycznej w Polsce, domaganiu się opanowania anar-chii, wyrażeniu gotowości podjęcia każdego działania w imię dobra socjalistycznej ojczyzny. Tego dnia krytykę "elementów demagogi-cznych" podjął organ francuskich komunistów "L'Humanite". 29 li-stopada ukazał się w "Rudym Pravie" artykuł - przedrukowany następnego dnia w "Prawdzie" - ostrzegający, że próby podważenia in-ternacjonalistycznej solidarności wspólnoty socjalistycznej zakoń-czą się niepowodzeniem. Zdaniem autora artykułu w Polsce powstał i umacnia się antysocjalistyczny i agresywny ruch związkowy, lecz należy mieć nadzieję, że siły socjalistyczne zrobią wszystko, aby uchronić 35-letni dorobek socjalizmu w Polsce. Rady komunistów z Czechosłowacji stawały się coraz bardziej natarczywe: bratysław-ska "Prawda", solidaryzując się z wiecem w hali "Gwardii" stwier-dzała, że PZPR znajdując się w stanie konfrontacji z przeciwnika-mi nie może zajmować stanowiska wyczekującego i zbyt cierpliwego; należy przejść do ofensywy. W ostatnim dniu listopada do głosów, tych przyłączyła się również kubańska agencja "Prensa Latina", powtarzając zarzuty sformułowane wcześniej przez komunistów ra-dzieckich, czeskich, słowackich i niemieckich.

Tymczasem na Zachodzie rósł niepokój. Temat polski omawiano 10 i 21 listopada na posiedzeniu Zgromadzenia Atlantyckiego w Brukseli. Był on szeroko dyskutowany w Komisji Politycznej Zgromadze-nia. 25 listopada kanclerz Helmut Schmidt w deklaracji rządowej, zawierającej wolę nieprzerwywania dialogu ze Wschodem, zażądał wy-cofania wojsk radzieckich z Afganistanu i zapowiedział, że odpre-żenie nie wytrzyma tego rodzaju ciosu, jakim byłaby interwencja w Polsce. Zapewnił równocześnie, że rząd RFN nie będzie ingerował w wewnętrzne sprawy Polski i nie chciałby, by jego pomoc dla naszego kraju była tak odbierana. W dwa dni później korespondent PAP-a

donosił z Waszyngtonu o panującej tam nerwowości w związku z sytuacją w Polsce, o zamieszaniu wokół konferencji prasowej w Departamencie Stanu dnia poprzedniego. Departament Stanu zaprzeczył później, jakoby wystosowano ostre ostrzeżenie pod adresem ZSRR, jednocześnie wyrażając pesymizm co do szybkiego rozwiązania polskich problemów. Deklarowano dalszą wstrzeźliwość w stosunku do wydarzeń w Polsce i wyrażano nadzieję, że inni postępować będą podobnie. Powracający z wizyty w Moskwie /26-28 listopada/ senator Charles Percy przestrzegał, że użycie siły w Polsce spowoduje wzrost wyścigu zbrojeń.

Na Zachodzie z uporem powtarzano żądanie nieingerencji w wewnętrzne sprawy Polski. Czynił to m.in. Klaus von Dohnanyi, minister stanu w rządzie RFN, który - powołując się na Akt Końcowy KEWE w Helsinkach - stwierdzał, że *wszelka ingerencja byłaby niedopuszczalna, niezależnie od kierunku jej pochodzenia.*

\*

W ostatnich dniach listopada sytuacja w Polsce uspokaja się; duże zakłady Warszawy wracały do pracy. Pierwszy tydzień grudnia minął na arenie wewnętrznej bez specjalnych napięć, mimo że pozostał pakiet negocjacyjny, zawierający postulaty "Solidarności" w zakresie praworządności. Nie powodowało to jednak w następnych dniach większych konfliktów, gdyż kierownictwo Związku odstąpiło na razie od żądania przedyskutowania najbardziej drażliwych spraw "systemowych" oraz kwestii odpowiedzialności za wydarzenia kryzysowe ubiegłych lat. Wpływ na to z pewnością miała pogarszająca się sytuacja zewnętrzna kraju. 29 listopada MKZ "Mazowsze" apelował już o normalną pracę.

Mimo doraźnego załagodzenia konfliktu już po raz drugi - po sporze rejestracyjnym - "Solidarność" angażowała się w kwestie polityczne i ustrojowe.

W dniach 1-2 grudnia odbyło się VII plenum KC PZPR. Podczas jego obrad nowe kierownictwo wykazywało, że "linia odnowy" wcielana jest w życie; wyrażać się to miało choćby w dymisjach udzielanych wielu członkom aparatu partyjnego. Z drugiej strony KC podjęło krytykę "Solidarności" za organizację strajków o charakterze politycznym i wykraczanie w swej działalności poza określone w statucie ramy. Atakowano ostro "siły antysocjalistyczne" i "radykałów" Związku. Minister spraw wewnętrznych Mirosław Milewski sugerował, że władze nie są już w stanie kierować zakładami pracy, a kraj zalewa antypaństwowa propaganda. Odezwa KC do społeczeństwa oceniała sytuację w Polsce w dramatycznych słowach. Referat Biura Politycznego *Ładania partii w walce o socjalistyczny charakter życia społecznego* wyrażał zrozumienie dla *internacjonalistycznej troski i niepokoju, jaki w bratnich partiach wzbudza sytuacja w Polsce.* Tak więc ton panujący na plenum nie powodował znaczącego się od kilku dni spadku napięcia, a raczej współbrzmiał z oświadczeniami i relacjami podawanymi przez prasę bloku socjalistycznego.

Pomimo względnego uspokojenia sytuacji w kraju, napięcie wynikające z zewnętrznego zagrożenia Polski wzrastało. 30 listopada amerykańska sieć telewizyjna CBS nadała półgodzinną dyskusję na temat sytuacji w Polsce. W związku z możliwością radzieckiej inwazji, senator Percy ostrzegł przed budzeniem w Polakach fałszywych nadziei. Uważał, że tak właśnie mogą być odbierane amerykańskie ostrzeżenia skierowane pod adresem Związku Radzieckiego, a dotyczące ewentualności interwencji w Polsce. Z punktu widzenia interesów USA sytuacja w Zatoce Perskiej jest ważniejsza od sytuacji w Polsce, w związku z którą Amerykanie na pewno nie podejmą żadnej lekkomyślnej

decyzji. Podobne tezy wysuwała prasa zachodnia: niemożliwa jest bezpośrednia reakcja militarna na wkroczenie wojsk radzieckich do Polski. Nie leży w interesie NATO obrona jednego członka Układu Warszawskiego przed drugim. Wyczuć można było zaniepokojenie polityką "Solidarności" zwiększającej - zdaniem tej prasy - ryzyko załamania się dotychczasowego układu sił. Stwierdzano, że "Solidarność" po ostatnich wydarzeniach w Warszawie przyjmuje rolę podmiotu politycznego. 30 listopada wypowiedział się na ten temat przedstawiciel nowej administracji amerykańskiej, doradca Ronalda Reagana, Edwin Messe. Oświadczył on, że nowa administracja waszyngtońska będzie się konsultować z sojusznikami USA w sprawie potencjalnego zagrożenia dla pokoju, jakie stanowiłaby radziecka interwencja w Polsce.

Obawy Zachodu co do możliwości inwazji radzieckiej na Polskę nie malały. 1 grudnia rzecznik radzieckiego ministerstwa spraw zagranicznych zdemontował informację o rzekomej mobilizacji w strefach przygranicznych ZSRR, a szczególnie w pobliżu granicy z Polską. Armia Czerwona, oświadczył, nie jest w stanie gotowości. Jednak tego samego dnia dowództwo wojsk radzieckich w NRD zakazało członkom zachodnich misji wojskowych wstępu na tereny NRD graniczące z Polską. Środki masowego przekazu w Europie Wschodniej donosiły o obradach VII plenum KC PZPR, eksponując sprawę "walki z przeciwnikiem politycznym" i obronę socjalizmu w Polsce jako najważniejszego zadania. Praski dziennik telewizyjny przyniósł komentarz na temat zachodniej ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski m.in. poprzez wykorzystywanie braku doświadczenia ludności, nacjonalizmu i religijności Polaków.

Tworzonego w ten sposób stanu napięcia wokół Polski nie osłabiła informacja z 2 grudnia o przyznaniu przez Związek Radziecki Polsce kredytu w wysokości 1 miliarda dolarów, tym bardziej, że tego samego dnia TASS w niezwykle ostry sposób zaatakował Zbigniewa Brzezińskiego - osobistość numer jeden w administracji Cartera, doradcę do spraw bezpieczeństwa państwa. Zarzucono mu, że wzywał polskie siły opozycyjne do stawiania zbrojnego oporu. Na spotkaniu, gdzie wg TASS-a miał sformułować to wezwanie, sprawę kredytów dla Polski miano wiązać z jej przystąpieniem do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i ustanowieniem faktycznej kontroli Stanów Zjednoczonych nad polską gospodarką. Na amerykańskie dementi, 3 grudnia potwierdzono raz jeszcze te zarzuty: *Brzeziński wezwał, aby polskie siły opozycyjne stawiały opór władzom*. Stanowiło to, w radzieckiej opinii, akt bezpośredniej ingerencji Stanów Zjednoczonych w wewnętrzne sprawy Polski. Moskwa twierdziła, że istnieją dowody, które ujawniają się, jeśli strona amerykańska będzie się tych faktów wypierała.

W dniach 1 i 2 grudnia obradowała Rada Europejska gromadząca przywódców dziewięciu państw EWG. Sprawa polska była jednym z najważniejszych punktów obrad. Komitet Wspólnoty Europejskiej otrzymał zalecenie pozytywnego ustosunkowania się do zgłoszonych przez Polskę próśb o kredyty żywnościowe. Nie ustalono co prawdy kwot kredytowych, chociaż rozważano możliwość sprzedaży Polsce mięsa i masła po cenach o trzydzieści procent niższych od cen eksportowych. Rozważano również kwestię ulg w spłacie przez Polskę jej zadłużenia. W deklaracji Rada wyrażała *sympatię dla sprawy polskiej* i zapowiadała przestrzeganie ze swej strony - w stosunkach z Polską - Karty Narodów Zjednoczonych i zasad Aktu Końcowego Konferencji Helsińskiej. Deklaracja przypominała, że jego sygnatariusze zobowiązali się respektować prawo każdego kraju do swobodnego wyboru systemu politycznego, gospodarczego, społecznego i uznali prawo

każdego narodu do swobodnego kształtowania swych praw, bez ingerencji z zewnątrz.

Środki masowego przekazu komentowały decyzję zamknięcia dla zachodnich obserwatorów wojskowych regionów NRD graniczących z Polską. Pentagon potwierdził, że amerykańska misja wojskowa w Poczdamie została poinformowana przez stronę radziecką, iż istnienie czasowy zakaz wstępu na obszar 40-kilometrowego pasa granicznego na terytorium NRD w okresie od 29 listopada do 9 grudnia. Rzecznik Pentagonu, gen. Jerry Curry stwierdził 2 grudnia, że amerykańskie wojska w RFN nie zostały jednak postawione w stan gotowości bojowej.

Dni 2 i 3 grudnia przyniosły serię amerykańskich ostrzeżeń pod adresem Związku Radzieckiego. We wtorek 2 grudnia Biały Dom ostrzegł ZSRR przed najpoważniejszymi negatywnymi skutkami interwencji dla stosunków USA-ZSRR i Wschód-Zachód. Stanom Zjednoczonym, mówił rzecznik Jody Powell, nie zabraknie woli i możliwości działania w okresie zmiany administracji. Liczenie na osłabienie stanowiska USA w tym czasie jest błędem. Edward Muskie mówił o wysokiej cenie, którą przyszłoby zapłacić ZSRR za interwencję w Polsce. Związek Radziecki jest tego świadom. Doradca prezydenta, Richard Allen mówił, że interwencja radziecka byłaby zło-wieszczą rzeczą dla przyszłości odprężenia w świecie.

3 grudnia oświadczenie w sprawie sytuacji w Polsce złożył sam prezydent Jimmi Carter. Po naradzie ze swoimi najbliższymi współpracownikami /Brown, Muskie, Brzeziński, Turner/ wydał oświadczenie, w którym napiętnował *bezprecedensowe gromadzenie sił radzieckich wzdłuż polskiej granicy oraz zamknięcie niektórych regionów przygranicznych*. Jest to obserwowane z niepokojem, podobnie jak i ataki ZSRR na siły odnowy w Polsce, co może - jak mówi doświadczenie historyczne - poprzeczając radziecką interwencję wojskową. Prezydent złożył deklarację udzielenia pomocy gospodarczej Polsce przy równoczesnym niemieszaniu się w jej wewnętrzne sprawy. USA nie są zainteresowane w wykorzystaniu polskich trudności dla własnych celów politycznych. Natomiast obca interwencja w Polsce miałaby najgorsze konsekwencje dla stosunków między Wschodem a Zachodem. Powołał się na Kartę Narodów Zjednoczonych i zawarte w niej prawo państw do istnienia bez obcej ingerencji. Postawa i przyszła polityka USA wobec Związku Radzieckiego zależą będzie od tego, czy użyje on wobec Polski siły.

Amerykanie zaobserwowali radzieckie przygotowania wojskowe do inwazji w Polsce. Ich zdaniem 20 do 30 dywizji było gotowych do interweniowania w Polsce. Obserwowano wspólne radz. czechosłowackie nocne manewry i kontrolowanie przez Rosjan dróg ewentualnej inwazji. Równoległy system komunikacji pokrywał cały kraj; organizowano loty rozpoznawcze. Siły radzieckie były postawione w stan gotowości. Wywiad amerykański dysponował informacjami o pospiesznych przygotowaniach w magazynach, na lotniskach i w szpitalach.

W tych dniach Waszyngton informował inne rządy mogące mieć wpływ na powstrzymanie radzieckiej interwencji o rosnącym zagrożeniu. Prezydent Carter przesłał Leonidowi Breżniewowi przesłanie, w którym powtórzone zostało stanowisko amerykańskie o konsekwencjach ewentualnej radzieckiej inwazji. Pośrednio zaś dał do zrozumienia, że Stany Zjednoczone rozważają możliwość dostarczenia nowoczesnej broni Chinom. Zapewniał jednocześnie, że USA nie mają intencji wykorzystania kryzysu polskiego w swoim interesie ani po to, żeby zagrozić bezpieczeństwu ZSRR.

Breżniew nie odpowiedział na przesłanie Cartera. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek. Amerykański prezydent zwrócił się również do Indiry Gandhi o poruszenie sprawy polskiej podczas zbliżającej się wizyty Breżniewa w New Delhi.

W pierwszych dniach grudnia wypowiadali się w sprawie Polski przywódcy wielu państw i inni wybitni politycy, m.in. M. Thatcher, lord Carrington, J. Wilberforce, H. Beker, M. Mc Guigan. Wszyscy oni podkreślali prawo Polaków do samodzielnego rozwiązywania swych problemów oraz wyrażali zaniepokojenie międzynarodowymi skutkami ewentualnej inwazji Armii Czerwonej. Treść oświadczenia Cartera poparł następnego dnia doradca Ronalda Reagana, R. Allen. Henry Kissinger wypowiadając się 3 grudnia w sprawie Polski zauważył, że USA i Europa Zachodnia będą zjednoczone w swej reakcji na radziecką interwencję. Niemiecki ambasador w Waszyngtonie powiadomił Biały Dom, że RFN podejmie sankcje ekonomiczne wobec Związku Radzieckiego w przypadku jego interwencji w Polsce. Administracja USA oceniła ten fakt jako poważne wzmocnienie polityki odstraszenia ZSRR, biorąc pod uwagę skalę dotychczasowych zachodniemieckich kredytów i handlu z Moskwą.

Oświadczenie Rady Wojskowej MON z 3 grudnia o zagrożeniu ładu społecznego, funkcjonowania państwa i jego obronności wznosiło tydzień napięcie i potęgowało atmosferę zagrożenia wiszącego nad Polską. 4 grudnia rzecznik prasowy KKP NSZZ "Solidarność", Karol Modzelewski wyjaśniał, że wbrew alarmistycznym ocenom VII plenum partii nie ma obecnie w Polsce żadnych strajków czy innych akcji protestacyjnych. Także kierownik Wydziału Ideologicznego KC PZPR Walery Namiotkiewicz potwierdzał, że w kraju od kilku dni panuje spokój.

Wypowiedź Józefa Klasy, kierownika Wydziału Radia, Prasy i Telewizji KC na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi zabrzmiała jednak złowieszczo. PZPR nadal liczy na rozwiązanie kryzysu w Polsce bez ingerencji z zewnątrz - mówił Klasa. Ale w razie bezpośredniego zagrożenia socjalizmu, partia zastrzega sobie prawo zwrócenia się o pomoc do przyjaciół. Po raz pierwszy więc wysoki funkcjonariusz partyjny stwierdzał publicznie, że partia w obronie swej władzy może poprosić inne państwo o pomoc.

4 grudnia Związek Radziecki ponownie zaprzeczył informacjom o koncentracji rezerwistów radzieckich na granicach polskich. Rzecznik radzieckiego MSZ stwierdził, że stacjonujące tam wojska wykonują "normalne czynności". Na przekór tym uspokajającym wypowiedziom w prasie radzieckiej nadal dominował alarmistyczny ton w prezentowaniu zagrożenia socjalizmu w Polsce. Korespondent "Izwestii" tego samego dnia donosił z Bonn, że środki masowego przekazu RFN próbują wpłynąć na wydarzenia w Polsce. Telewizja i część prasy nawołują do obalenia ustroju socjalistycznego w Polsce, zerwania sojuszu z ZSRR, wystąpienia z Układu Warszawskiego. Chodzi zatem o likwidację zdobyty socjalizmu. Towarzyszy temu aktywizacja rewizjonizmu niemieckiego, odwetowców. Żąda się zwrócenia Śląska i Prus Wschodnich. Powstał sojusz sił odwetowych w Niemczech Zachodnich z siłami antysocjalistycznymi w Polsce. Gazeta posługiwała się przykładami: przedstawiła m.in. "program reprezentacji Wolnego Miasta Gdańska".

4 grudnia Zbigniew Brzeziński mówił o interwencji radzieckiej jako sprawie możliwej, aczkolwiek nieprzesądzonej. Stronie radzieckiej na rękę może być przeświadczenie o możliwości interwencji wojskowej w Polsce; stwarza to bowiem nacisk psychologiczny i potęguje zastraszanie. 5 grudnia, kiedy napięcie osiągnęło swój zenit, kiedy wydawało się, że w każdej chwili może nastąpić inwazja,

Brzeziński wezwał polskich robotników, Kościół i władze PRL do umiaru i nakłaniał do gotowości przyjęcia kompromisu. Wyrażał nadzieję, że Polska nie stanie się jednak obiektem radzieckiej interwencji.

5, 6 i 7 grudnia są krytycznymi dniami kryzysu interwencyjnego. W Polsce panował względny spokój. Kraj żył takimi sprawami, jak rozwiązanie CRZZ, przygotowania do reglamentacji żywności i zaopatrzenie na okres świąteczny, zakaz wyświetlania filmu "Robotnicy '80", przygotowania do odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku.

5 grudnia wywiad amerykański przekazał do Białego Domu informację o dużej ilości dywizji radzieckich, które przygotowują się do wkroczenia do Polski, prawdopodobnie - jak sugerowano - w poniedziałek, 8 grudnia.

W takiej atmosferze rozpoczynało się tego dnia na Kremlu spotkanie przywódców siedmiu państw-członków Układu Warszawskiego. Był to kulminacyjny punkt napięcia - być może właśnie to spotkanie zdecydowało o późniejszych losach sprawy polskiej. W obradach uczestniczyli również niektórzy funkcjonariusze odpowiedzialni za bezpieczeństwo państwowe w krajach socjalistycznych /Jurij Andropow, Mirosław Milewski, Erich Mielke/. Ważnym, być może najważniejszym problemem obrad była kwestia jedności wspólnoty socjalistycznej zarówno w kontekście wzrostu napięcia międzynarodowego, jak i rozwoju sytuacji w Polsce. Komunikat z obrad mówił, że przedstawiciele PZPR poinformowali uczestników spotkania o rozwoju sytuacji w Polsce i programie działania polskiej partii wynikającym z przebiegu VII plenum KC PZPR. W dokumencie wyrażano nadzieję, że przywódcy PRL przezwyciężą aktualne trudności i że Polska pozostanie państwem socjalistycznym związanym z całym blokiem. Uczestnicy spotkania zapewnili polskich komunistów o gotowości przyjscia i z pomocą. Wiadomo skądinąd, że strona radziecka /oraz prawdopodobnie inni przywódcy państw Układu Warszawskiego/ podkreślała swoje zaniepokojenie w związku z rozwojem "działalności kontrrewolucyjnej" w Polsce. Uwagi radzieckie dotyczyły potrzeby obrony pozycji partii, trudnej sytuacji środków masowego przekazu, osłabienia autorytetu organów ochrony porządku publicznego. To samo źródło podaje że polscy przywódcy zgadzali się z poglądami strony radzieckiej we "wszystkich podejmowanych kwestiach". Hipotetycznie można stwierdzić, że tematem rozmów mogły być i inne kwestie, znajdujące swoje odbicie w licznych enuncjacjach radzieckich na tematy polskie /np. charakter związków zawodowych, ocena sił opozycji politycznej, skala nastrojów antyradzieckich, sprawa polska na tle sytuacji międzynarodowej/.

O stanowisku przywódców radzieckich pośrednio świadczy stanowisko Rumunii. Organ KC RPK "Scintea" w swoim komentarzu poświęconym znaczeniu szczytu moskiewskiego wiele miejsca poświęcił sprawie polskiej. W tekście wyrażono pełną solidarność z komunistami polskimi, zaufanie do ich woli i umiejętności działania, przede wszystkim zaś podkreślano suwerenność Polaków /komunistów polskich?/ w rozwiązywaniu swych własnych problemów. Przedstawienie tego poglądu na łamach "Scintei" w kontekście wyników szczytu moskiewskiego sugerować może chęć zaznaczenia odrębności stanowiska partii rumuńskiej od stanowiska Moskwy.

Szczyt moskiewski był zatem krytycznym momentem kryzysu listopadowo-grudniowego. Interwencja nie nastąpiła - w świetle tego wynik spotkania był dla sprawy polskiej niewątpliwie pozyty-



wny. Ostatecznie liczyło się dalsze zaufanie, jakim zostało obdarzone polskie kierownictwo "w dziele obrony systemu socjalistycznego". Zaufanie to uzyskano dzięki osiągnięciu zgodności poglądów co do charakteru wydarzeń i złożeniu obietnicy przez komunistów polskich przeciwdziałania niebezpieczeństwu.

W dniu, w którym ważyły się losy sprawy polskiej, Departament Stanu odrzucił radzieckie oskarżenia o wzmaganie przez Stany Zjednoczone napięcia w Polsce /w związku z oświadczeniem Cartera z dnia 3 grudnia/. E.Muskie miał nawet wyrazić przypuszczenie, że Polacy będą stawiali zdecydowany opór ewentualnej interwencji. Ministrowie spraw zagranicznych Japonii, RFN i Francji, a także Kurt Waldheim ponownie wyrażali swoje stanowiska: Polska ma prawo rozwiązywać swoje problemy samodzielnie, bez obcej ingerencji. Oświadczenie złożył także Santiago Carillo: inwazja na Polskę byłaby wielkim błędem Związku Radzieckiego, jest ona jednak mało prawdopodobna. Rzecznik jugosłowiańskiego MSZ podkreślił, że nic nie może zagrozić suwerennemu prawu narodu polskiego do rozwiązywania swoich problemów. Jugosłowiańskie środki masowego przekazu ostrzegają, że wszelka interwencja zewnętrzna może tylko pogorszyć sytuację w Polsce.

Jeszcze w sobotę, 6 grudnia, po południu na posiedzeniu SCC w Waszyngtonie Turner uprzedzał, że możliwe jest wkroczenie wojsk radzieckich do Polski w ciągu najbliższych 48 godzin. Amerykanie spodziewali się jednoczesnego zamachu władz polskich na "Solidarność". Wywierano nacisk na amerykańską ambasadę w Warszawie w celu uzyskania informacji o szerszym zakresie z Polski. Chodziło o takie informacje, które mogłyby potwierdzić możliwość ewentualnego przewrotu.

TASS posługiwał się nadal groźną retoryką. Nasila się ingerencja amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO w sprawę polską. Dokonywane się nielegalnego przekazu pieniędzy dla sił antyrządowych i anarchistycznych - twierdził TASS. Agencja podawała nawet kwoty wydawane na druki i kolportaż "dywersyjnej" literatury.

6 grudnia członek kierownictwa Włoskiej Partii Komunistycznej Paolo Buffalini w oświadczeniu opublikowanym w "Unicie" stwierdził, że interwencję w Polsce jego partia uważałaby za fakt najpoważniejszy, niemożliwy absolutnie do zaakceptowania. Poparł linię Stanisława Kani "odnowy bez anarchii". Walka o rozwiązanie polskiego kryzysu to sprawa polskiej klasy robotniczej, społeczeństwa polskiego i polskiej partii komunistycznej - oświadczył Buffalini. Natomiast belgijski minister spraw zagranicznych Charles-Ferdinand Nothomb, który 5 grudnia prowadził rozmowy w Warszawie, wypowiadając się następnego dnia, pogłoski o możliwości radzieckiej interwencji uznał za nieuzasadnione. Jego zdaniem Polska nie naruszała zasad ustroju, czy sojuszy; proces demokratyzacji prowadził ją w kierunku specyficznej formy socjalizmu.

W niedzielę, 7 grudnia, o godzinie 9<sup>00</sup> zebrała się w sprawie polskiej Narodowa Rada Bezpieczeństwa /NSC/ Stanów Zjednoczonych. W posiedzeniu wziął udział prezydent. Wiadomości amerykański wskazywał na możliwość wkroczenia wojsk radzieckich do Polski pod pozorem ćwiczeń pokojowych i przeprowadzenia równoległego, masowego uderzenia w "Solidarność". Carter postanowił wystosować przesłanie w sprawie Polski do rządów innych państw, nalegając na ich silniejsze publiczne i dyplomatyczne wystąpienie w celu odstraszenia Związku Radzieckiego. Poinformowano również czołowych kongresmanów o możliwym rozwoju sytuacji. Przede wszystkim prezydent postanowił zająć zdecydowane stanowisko w tej sprawie występując publi-

cznie. 7 grudnia ukazało się spektakularne oświadczenie Białego Domu dotyczące sytuacji wokół Polski, które lakonicznie informowało o zakończeniu przygotowań do radzieckiej interwencji. Ponawiało ostrzeżenia z 3 grudnia co do konsekwencji takiego aktu dla stosunków USA-ZSRR i wyrażało nadzieję, że do interwencji nie dojdzie. Brzeziński w czasie konferencji prasowej potwierdził jeszcze raz, że strona radziecka zakończyła przygotowania do interwencji.

Zbigniew Brzeziński informował również telefonicznie papieża Jana Pawła II o dramatycznej sytuacji wokół Polski. Doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA ostrzegł także przywódców "Solidarności" w Warszawie i zalecił im ostrożność wobec możliwości zatrzymania w ciągu nocy.

7 grudnia głos w sprawie polskiej zabrały również Chiny. Ukazał się komentarz agencji "Sinhua" podkreślający, że wszelkie wydarzenia w Polsce są jej wewnętrzną sprawą i powinny być rozwiązywane przez naród polski.

Mimo zaufania okazanego 5 grudnia na Kremlu kierownictwu polskiej partii, sytuacja wojskowa wokół Polski ciągle pozostawała niejasna, a charakter radzieckich doniesień powodował, że nadal liczone się z możliwością inwazji. 8 grudnia TASS w korespondencji z Warszawy podał wiadomość /a za nim CzTK i ADN/ jakoby "grupy kontrrewolucyjne" działające pod przykrywką lokalnych oddziałów "Solidarności" przeszły do jawnej konfrontacji z PZPR i administracją państwową. Na przykład w kieleckiej "Iskrze" samowolnie usunięto administrację i rozbrojono straż przemysłową. W komitetach "Solidarności" działacze związkowych zastępują osoby wypowiadające się z pozycji antyrządowych. Kontrewolucja - zdaniem TASS-a - dąży do zaostrzenia walki politycznej. Tego dnia "Rude Pravo" pośrednio wskazywało na międzynarodowy charakter kryzysu polskiego, na niebezpieczeństwo rozbitcia wspólnoty socjalistycznej.

Po spotkaniu moskiewskim i po oświadczeniach Białego Domu napięcie związane z Polską utrzymywało się jeszcze przez jakiś czas. Poza tym wywiad amerykański donosił, że zakres radzieckiej interwencji może być nawet większy, niż przewidywano. Obserwowano kolejne dywizje postawione w stan gotowości oraz przygotowane zapasy paliwa, rozwinięte namioty szpitali polowych oraz przygotowania różnego rodzaju wyposażenia wojskowego. Brzeziński konferował z Lane Kirklandem w sprawie powszechnego bojkotu dostaw do ZSRR na wypadek inwazji. Administracja amerykańska rozważała, jaka broń mogłaby być wysłana do Chin.

Aż do połowy grudnia tematyka interwencyjna często gościła w wypowiedziach zachodnich polityków i zachodnich środków masowego przekazu. Administracja amerykańska konstatowała, że publiczny alarm USA zrodził wielki niepokój międzynarodowy o los *detente*.

10 grudnia Stany Zjednoczone zaskoczyły obserwatorów politycznych wypowiedzią swego sekretarza stanu. E. Muskie oświadczył, że nie można wykluczyć użycia siły przez NATO w przypadku radzieckiej interwencji w Polsce. Retoryka tej wypowiedzi wskazywała na znaczenie, jakie administracja przywiązuje do sprawy polskiej. Potwierdzała to korespondencja PAP-a z Waszyngtonu z następnego dnia: wydarzenia związane z Polską dominują nad procesem przygotowań do zmiany administracji. PAP twierdził, że politykę USA planuje się na najbliższe tygodnie zależnie od rozwoju wydarzeń w Polsce. Zdaniem tej agencji w Ameryce panuje pesymizm co do dalszego rozwoju wydarzeń.

W dniach 8-12 grudnia odbywały się obrady różnych gremiów Paktu Północnoatlantyckiego: "eurogrupy" NATO, Komitetu Planowania Obrony i Rady Atlantyckiej. Na spotkaniu Komitetu Planowania Obrony ujawniono, że postanowiono podjąć ograniczone posunięcia wojskowe w celu zapobieżenia rozprzestrzenianiu się wydarzeń w Polsce na inne strefy. Wprowadzono w stan pogotowia atlantycką siłę morską NATO i sprowadzono do bazy w Ramstein /RFN/ cztery samoloty wczesnego ostrzegania i dowodzenia /AWACS/ dla obserwacji ruchów wojsk. Zapowiedziano jednak, że nie będzie się intensyfikować posunięć wojskowych, by nie wzmacniać napięcia. Komunikat wojskowy wyrażał zaniepokojenie sytuacją wokół Polski i powtarzał znane ostrzeżenia wobec ZSRR.

W czasie obrad Rady Atlantyckiej E. Muskie przedstawił propozycje sankcji wobec ZSRR na wypadek interwencji. Według prasy zachodniej miałyby one obejmować: zerwanie wszelkich rokowań /kontrola i ograniczenie zbrojeń, Madryt 80, rozmowy gospodarcze i handlowe/, cofnięcie NRD przywilejów w kontaktach z EWG, zerwanie kontaktów politycznych na wysokim szczeblu /odwołanie ambasadorów z Moskwy i zmniejszenie personelu misji dyplomatycznych/, zawieszenie wymiany kulturalnej, wstrzymanie kredytów dla ZSRR i Polski oraz wymiany technologii, rezygnację z projektu budowy gazociągu. Ministrowie spraw zagranicznych uczestniczący w obradach zlecili Radzie Stałych Przedstawicieli śledzenie sprawy polskiej i przygotowanie opcji alternatywnych. Muskie na konferencji prasowej podkreślił jedność i zdecydowanie NATO w sprawie Polski. Powiedział, że radziecka inwazja zniszczy ostatecznie *detente*. Również lord Carrington podkreślał jedność sojuszników w kwestii polskiej /przeciwieństwu miało to miejsce w wypadku Afganistanu/. W podobnym duchu wypowiadali się pozostali ministrowie państw NATO.

12 grudnia opublikowany został Komunikat Rady Atlantyckiej, zawierający wspólne stanowisko w sprawie polskiej, na które często w późniejszym okresie Zachód się powoływał. Była w nim zawarta krytyka polityki radzieckiej i apel do ZSRR o poznanowanie Karty Narodów Zjednoczonych i Aktu Końcowego KBWE. Polska powinna mieć swobodę decydowania o własnej przyszłości. Wszelka interwencja w zasadniczy sposób zmieniłaby całą sytuację międzynarodową. Sojusz atlantycki zareagowałby ostro na taki krok ZSRR.

Reakcje radzieckie były bardzo krytyczne. Władimir Fallin w wywiadzie dla "Der Spiegel" zapowiedział, że ZSRR nie będzie się mieszać w sprawę polską. TASS i prasa radziecka zarzucały wypowiedziom zachodnim podżeganie nastrojów antyradzieckich, dramatyzowanie sytuacji związanej z Polską, podsycanie hysterii antykomunistycznej dla usprawiedliwienia zbrojeń.

Dzień później Senat Stanów Zjednoczonych uchwalił rezolucję 562, w której domagał się od prezydenta Cartera wspólnego rozpatrzenia z sojusznikami konkretnych posunięć na wypadek radzieckiej interwencji w Polsce. Prasa zachodnia natomiast zastanawiała się, czy jest sens podnosić alarm. Jedni ostrzegali aby "nie wywoływać wilka z lasu", inni twierdzili, że metoda milczenia w przeszłości nie zdała egzaminu.

W końcu pierwszej i w drugiej dekadzie miesiąca blok wschodni kontynuował kampanię propagandową odnośnie Polski, choć nie miała ona już tak alarmistycznego tonu, jak poprzednio. Agencja ADN np. cytowała Lecha Wałęsę zapowiadającego dalsze akcje przeciwko władzom. Ponownie celem ataków radzieckich stała się osoba Zbigniewa Brzezińskiego. Oskarżano go o wzniecanie psychologicznej kampanii nacisku na Polskę i kraje socjalistyczne, udzielanie poparcia siłom

antysocjalistycznym i antynarodowym w Polsce i podważanie jedności ideologicznej narodu polskiego. Moskwa twierdziła, że sytuacja w Polsce jest obecnie mniejszym powodem do zmartwienia niż dążenia Zachodu do destabilizacji władz w Warszawie.

W dniach 12-14 grudnia w Budapeszcie odbywał się kongres węgierskiej Krajowej Rady Związków Zawodowych. Przemawiający Sandor Gaspar przeciwstawiał się opozycyjnemu charakterowi związków zawodowych w państwie socjalistycznym. Prezentowany przez niego model związków w niczym nie był podobny do tego, który realizowała "Solidarność".

Na tematy polskie wypowiedział się także przewodniczący Komunistycznej Partii Finlandii A. Saarinen. Według niego w zapale dążenia do demokratyzacji zagrożone mogą się stać podstawy systemu socjalistycznego. Celem krytyki Georges Marchais był Zachód i jego "oszczerca kampania" w sprawie groźby radzieckiej interwencji. Wiktor Fallin zaś zwracał uwagę na różnice między Polską a Afganistanem - temu ostatniemu ZSRR udzielił pomocy po trzynastu prośbach. Podobne prośby z Polski nie nadeszły. Mówiąc o niebezpieczeństwie kontrrewolucji powoływał się na wypowiedzi S. Kani.

\*

W dniach 16 i 17 grudnia na Wybrzeżu odbyły się wielkie uroczystości odsłonięcia pomników ofiar wydarzeń grudniowych 1970 r. Przebieg uroczystości telewizja transmitowała na Zachód. Wzbudziły one duże zainteresowanie, wiele mówiono przy tej okazji o godności i spokoju Polaków. Polska była obiektem zainteresowania tak opinii publicznej Zachodu, jak i ośrodków politycznych. Komentarze na jej temat nabrały wówczas bardziej refleksyjnego charakteru. W jednym z wywiadów Willy Brandt zastanawiał się nad podobieństwem kwestii afgańskiej i polskiej. *Polska to o wiele bardziej polska sprawa niż kwestia stosunków Wschód-Zachód*, twierdził Brandt. Chiny potwierdziły swoje wcześniejsze stanowisko odnośnie suwerennego rozstrzygnięcia przez Polaków własnych spraw. Muskie wypowiadając się 21 grudnia podkreślił, że sytuacja w Polsce wykazuje pewną stabilizację, chociaż nadal jest trudna i wymaga zachowania czujności. Z drugiej strony przyznał, że gotowość wojsk radzieckich jest ciągle utrzymywana.

Po świętach Bożego Narodzenia nadal snuto na Zachodzie rozważania o dylematach, które musiałaby породzić radziecka interwencja w Polsce. Omawiano również rolę Zbigniewa Brzezińskiego w rozwiązywaniu polskiego kryzysu, stwierdzając, iż to jego zasięga, że reakcje Waszyngtonu na te wydarzenia były tak ostre i zdecydowane.

W drugiej połowie grudnia sytuacja w Polsce nadal była przedmiotem zainteresowania ruchu komunistycznego. KP Kuby, państwa, które przeżywało wielkie trudności wewnętrzne, zajęła się na swoim zjeździe także wydarzeniami polskimi. Fidel Castro mówił o niekwestionowanym prawie obozu socjalistycznego do ratowania swej integralności. Z drugiej jednak strony powiedział o "świętym prawie" polskich komunistów do samodzielnego rozstrzygnięcia własnymi siłami walki z kontrrewolucją. 17 grudnia bratysławska "Prawda" doniosła o przekazywaniu przez Josefa Straussa sum pieniężnych dla Polski. Praski dziennik telewizyjny komentował cele działania KSS KOR i jego duży wpływ na przyjmódcę "Solidarność". Niewątpliwie ważnym w tym przedświadczeniowym okresie był artykuł Aleksjia Pietrowa w "Prawdzie". Stanowił on atak na ostatnie reakcje Zachodu, a przede wszystkim na wypowiedzi i deklaracje sesji różnych organów NATO jakie odbyły się w pierwszej połowie miesiąca. Pietrow pisał, że na politykę radziecką rzucano oszczerstwa i konstruowano insynuacje. E. Muskie straszyl niebezpieczeństwem praktyczności się wewnętrzne-

go kryzysu w Polsce w kryzys światowy. Na Zachodzie materiał ten odebrano jako najważniejsze radzieckie oświadczenie od 5 grudnia. W dwa dni później moskiewska "Prawda" obszernie przedstawiła wypowiedź S. Kani na posiedzeniu Komisji Zjazdowej, wypowiedź uznaną za jedno z najostrzejszych jego wystąpień. W przeddzień Wigilii czasopismo "Trud" zajmowało się nadal ingerencją amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO w sprawę polskie.

Także i w Wigilię prasa czechosłowacka rozpisywała się o Polsce. Omawiano posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR, sprawy gospodarcze, artykuł o KPN zamieszczony w "Trybunie Ludu". Posługując się tezami z "New Age" /organ KP Indii/ wskazywano na zakłócenia w funkcjonowaniu systemu podziału pracy w krajach RWPG. Pisano, że zmniejszenie dostaw towarów z Polski komplikuje sytuację gospodarczą CSRS i NRD.

Końcowym akordem stosunków polsko - radzieckich w upływającym roku była wizyta w Moskwie, w okresie Świąt Bożego Narodzenia /25-26 XII/ ministra spraw zagranicznych PRL, Józefa Czyrka. Został on przyjęty przez Breżniewa, rozmawiał z Gromyką, z którym wymieniał poglądy na temat stosunków dwustronnych PRL - ZSRR i sytuacji międzynarodowej. Wspólnie potępiono podczas tej wizyty zachodnią politykę wobec Polski, mieszanie się, jak to nazwano, w jej wewnętrzne sprawy i jej stosunki sojusznicze. Breżniew raz jeszcze wyraził przekonanie, że PZPR przezwycięży trudności piętrzące się przed Polską. Komunikat opublikowany po wizycie podkreślał całkowitą jedność poglądów w omawianych sprawach. 31 grudnia ukazał się w polskiej prasie wywiad z Czyrkiem poświęcony tej wizycie. W trzy dni po powrocie Czyrka z Moskwy dośzło do jego spotkania z Lechem Wałęsą. Miało to miejsce na kilka dni przed wyjazdem przewodniczącego RKP do Rzymu.

ANDRZEJ RICHERT

TADEUSZ DONECKI

## CHWAŁĘ PARYŻ

Napisać po kilkutygodniowym pobycie w Paryżu polityczny reportaż dotyczący polskiego i francuskiego życia politycznego w tym mieście zdawałoby się sprawą nienajtrudniejszą. Same wędrowki po ulicach deptanych kiedyś tam i całkiem niedawno przez Tocqueville'a i Rousseau, Camusa i Simone Weil, Arona i Sartre'a natchnąć powinny każdego piszącego o polityce; wystarczy - możnaby mniemać - wejść do polskiej księgarni "Libella" na wyspie św. Ludwika, mając za plecami hotel Lambert, a obok Bibliotekę Polską, by niezły artykuł sam spłynął z niewprawnego nawet pióra. Nic z tego. Mimo szlachetnych zamierzeń i gorących postanowień, po przekroczeniu magicznej granicy na lotnisku Orly znika gdzieś nieopatrzenie tak mocne do tej chwili poczucie wspólnoty z europejską kulturą i z Paryżem w szczególności, ulatnia się podniecenie obietnicą bliskiego kontaktu z ukochanymi myślicielami i ideami, a na ich miejsce wlewa się potężną strugą uczucie znane tylko gościom z prowincjonalnego, komunistycznego kraju: mieszanek ośmieszenia, zagubienia, zazdrości i poczucia krzywdy. Szkoda zresztą papieru na mnożenie określników; każdy, kto pierwszy raz przekraczał szlabany i zasieki "obozu", coś podobnego przeżyć musiał.

Jeśli więc chciałbym w tekście o Paryżu dać wyraz swym niechęciom i sympatiom politycznym, mógłbym właściwie poprzestać na dokładnym opisie codziennego życia, wyglądu sklepów, wysokości zarobków i cen, działania policji, poziomu komputeryzacji i motoryzacji, praw i obowiązków obywateli, ubiorów i architektury, etc., etc... Mógłbym też pokusić się o oddanie tego nieuchwytnego uczucia wolności, które ogarnęło mnie już pierwszego dnia - najprościej, choć niedoskonale, określić je można jako brak lęku, tego niekonkretnego strachu przed wszystkim i niczym, który nieustannie towarzyszy mieszkańcowi państwa realnego socjalizmu. A pointą najdosadniejszą tego opisu byłoby odmalowanie beznadziejnego smutku na widok Pałacu Kultury z samolotu zniżającego swój lot nad płytą Okęcia.

Myślę zatem, i nie jestem chyba tu oryginalny, że nawet ten zewnętrzny, powierzchny ogląd powinien z każdego powracającego uczynić przysięgłego zwolennika wolnego rynku, konkurencji, demokracji parlamentarnej. Dla czytelników niezależnych pism ta konkluzja może wydać się jednak banalna, tym bardziej, że Paryż to - dla Polaków w szczególności - coś więcej niż tylko przykład wyższości kapitalizmu nad komunizmem. Spójrzmy więc nań z innej trochę perspektywy.

\*

Niełatwo dostrzec, spacerując pięknym bulwarem Saint Germain,

skromną witrynę Księgarni Polskiej. Bez krzykliwej reklamy, ze skromną nalepką z napisem "Solidarność", jest jednak dla wielu Polaków miejscem w tej części Paryża najistotniejszym. Nic zatem dziwnego, że w środku zawsze sporo klientów, głównie z kraju. Niektórzy trochę przestraszeni widokiem książek, za posiadanie których w Polsce można mieć kłopoty, inni z wypiekami na twarzy buszują wśród półek pełnych skarbów. Pani Jacqueline Dyjas, pełna elegancji gospodyni księgarni, znaną z tego, że zapamiętuje prawie wszystkich kupujących ("Witam panią, pani chyba już była u nas? Pięć lat temu? No właśnie!"), szczególnie pomaga w wyborze książek tym, którzy wracają do kraju. Prawie regułą jest, że ktoś taki może liczyć też na upominek, a książki we Francji, jak na polską kieszeń, są piekielnie drogie. Niezmiennym powodzeniem cieszą się Miłosz, Gombrowicz, oczywiście "Kultura"; wielu pyta o *Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy* Mackiewicza. Wybór jest zresztą spory, z nowości: *Z dziejów honoru w Polsce* Michnika, *Konspira* i *Barańczaka Uciekinier z utopii*.

Podobnie jest w "Libelli", drugiej placówce tego typu. O polską książkę jest w Paryżu łatwo; funkcjonuje sporo antykwariat polski, zaś w księgarniach francuskich jest trochę przekładów z naszej literatury - najwięcej ze wszystkich krajów komunistycznych, wyłączwszy Rosję czy raczej rosyjskich pisarzy, choć mniej niż by to mogło wynikać z ciągle dużego zainteresowania Francuzów Polską. Sporo polskich nazwisk widać nie tylko na półkach księgarń, ale także w gazetach i pismach francuskich, choć nie ma wątpliwości, że najmłodniejszym ze wschodnioeuropejskich pisarzy jest dziś Milan Kundera.

Nie ma w Paryżu polskiej dzielnicy, ale są miejsca i sytuacje, gdzie Polska jest prawdziwsza niż nad Wisłą. Szczególnie od czasu grudniowej wojny. Czuje się to z wyjątkową intensywnością właśnie w polskich księgarniach, w Maisons Laffitte, w Bibliotece Polskiej. Ważne i podniosłe musiało być to przeżycie Polski mickiewiczowskiej i solidarnościowej zarazem dla tych wszystkich, których stan wojenny zastał i osadził na dłużej nad Sekwaną. *Tego dnia* - pisał w pierwszej rocznicy Grudnia 81 Wojciech Karpiński - *polskie cienie w Paryżu znów narzucały się z zadziwiająco intensywnością. Paryż nie wydawał mi się umarły, choć żywy puls miasta w pierwszej rocznicy zdużenia "Solidarności" nie przynosił uspokojenia. Paryż - po raz już który - stawał się duchową stolicą Polski. W starym gmachu na Quai d'Orléans odbywała się sesja o "Solidarności", jej rodowódzie, znaczeniu, perspektywach. Nad stołem prezydyjnym wisiał portret patrona spotkania i sali, księcia Adama Czartoryskiego.*

Przy niewątpliwym znaczeniu ludzi emigracji paryskiej i ich pracy trudno o jednoznaczną ich ocenę. Obecnie mieszka w Paryżu ponad sto tysięcy Polaków, a pismo "Kontakt" prowadzone przez Bronisława Widsteina ma kilkuset prenumeratorów i siłą rzeczy jest przedsięwzięciem deficytowym. Paryska polonia nie jest zintegrowana, choć płaszczyzn tej integracji sprzyjających jest wiele, zarówno instytucjonalnych, jak i psychologicznych. W porównaniu z innymi emigracjami z krajów Europy Wschodniej, ta nasza jest najliczniejsza, chyba najmniej solidarna, najbardziej zhierarchizowana i niejednorodna, o najliczniejszej i może najwybitniejszej elicie, której twórczość w w słabym jednak stopniu trafia do "mas" emigracyjnych. Ta grupa ludzi, nazwana przeznaczenie elita, też jest zresztą podzielona i na różnych poziomach działająca.

Rozmawiałem z wielu jej przedstawicielami, ale spotkanie z Jerzym Giedroyciem miało dla mnie znaczenie wyjątkowe - że tak będzie, domyślałem się tego jeszcze w Polsce. Zupełnie przypadkowo, w przeddzień wizyty w Maisons Laffitte, obejrzałem video-film o "Kulturze" i Instytucie Literackim, zrealizowany przez "Video-Kontakt", firmę pracującą głównie na użytek Kraju (nagrywanie, powielanie i wysyłka videokaset). Wydawało mi się, że już przed wyjazdem do Paryża dostatecznie zdawałem sobie sprawę ze znaczenia dla polskiej kultury tego, co od ponad trzydziestu lat robi Giedroyc z grupą swych przyjaciół i z ogromu jego pracy. Jednak dopiero projekcja tego skromnego w formie filmu uświadomiła mi w pełni, z kim następnego dnia będę rozmawiał. Kilkaset numerów "Kultury" wychodzących regularnie przez trzydzieści lat na niezmiennie wysokim poziomie, "Zeszyty Historyczne", ponad trzysta tytułów książek, których łączny nakład przekroczył siedem milionów egzemplarzy, a wśród nich pozycje tak ważne w polskiej literaturze, jak choćby Gombrowicz czy Miłosz. I to wszystko jest owocem pracy zespołu kilku osób. Wartość jej dostrzegają zresztą nie tylko Polacy. *Można sobie tylko życzyć - pisał ostatnio w "Encounterze" Francois Bondy - żeby "Kultura" miała taki wpływ na opinię w Europie Zachodniej, jaki ma w Europie Wschodniej, gdzie uznawana jest za istotną siłę kreującą w sferze kultury i polityki nie tylko podziemnej. Pokazuje ona, jak wiele możemy nauczyć się od Polaków.*

Zarówno w polskich księgarniach, jak i później w Maisons Laffitte, dostrzegłem wyraźnie u ludzi tam pracujących poczucie satysfakcji, zadowolenia i pewności wartości swego działania. Po kilkudziesięciu latach pracy w różnych, z początku bardzo ciężkich warunkach, przy ciągłej kampanii nienawiści i oszczerstw ze strony władz PRL, przy skąpych do niedawna kontaktach z rodakami z Kraju, dla których w większości wypadków wizyta w "Libelli" czy u Giedroycia była aktem niepowседневnej odwagi, dzień dzisiejszy jest nagrodą i potwierdzeniem sensu wyboru tej właśnie drogi działania. Coraz więcej jest Polaków, którzy trafiwszy do stolicy Francji chcieliby chociaż zobaczyć znaną z DTW siedzibę "Kultury", nie mówiąc już o spotkaniu z samym "Księciem" (nikt inaczej w Paryżu Giedroycia nie nazywał).

"Jak pan ocenia sytuację polityczną w Polsce?" - to pierwsze słowa Jerzego Giedroycia po przywitaniu. Gospodarz jak zwykle elegancki, z lekką arystokratyzm, choć przy tym ujmująco skromny. Świetna orientacja polityczna, jasność umysłu, logika wypowiedzi, to wszystko robi duże wrażenie. Wszędzie książki, na biurku ostatni bestseller wydawniczy "Przedświtu" - zbiór wywiadów Teresy Torańskiej *Oni*. Rozmowa toczy się wokół bliskich wyborów do sejmu, stosunku do nich poszczególnych środowisk opozycyjnych, a szczególnie zamieszania związanego z domniemanym kandydowaniem na posłów niektórych luminarzy opozycji. Giedroyc przekonany jest o konieczności maksymalnej mobilizacji podziemia i wszelkich grup niezależnych w okresie przedwyborczym, widząc w 13 października dzień niezwykle ważny politycznie, z czym trudno mi się zgodzić. Interesuje go przebieg dotychczasowej akcji propagandowej podziemia i nastroje społeczne. Zirytowany jest trochę moimi pesymistycznymi odpowiedziami i przewidywaniami.

Rozmowa trwa ponad godzinę; dla niego być może pożyteczna, dla mnie pozostanie najważniejszą ze wszystkich odbytych w Paryżu.

Giedroyc nie jest jedynym autorytetem emigracyjnym w Paryżu. Mirem sprawnego i niezwykle skutecznego organizatora cieszy się



Mirosław Chojecki. Intelktualnym i towarzyskim autorytetem, szczególnie dla młodszej części polskiego wychodźstwa, jest Aleksander Smolar. Bardzo interesujące było spotkanie z redaktorem "Kontakt", dawnym działaczem krakowskiego SKS-em, Bronisławem Wildsteinem, człowiekiem o silnej osobowości, dużej inteligencji i wiedzy.

Życie i praca solidarnościowej emigracji wygląda trochę inaczej, niż to sobie często w Kraju wyobrażamy. Wiele słyszałem przed wyjazdem o jej rozbięciu, a nawet koteryjności, a także oschłości czy wręcz niechęci do przybyszów z Polski. Jest to prawda niepełna, a bez znajomości realiów owa niepełność staje się bałamutna. Niezależnie od przywiązania do ojczyzny i działania na jej rzecz, wszyscy ci emigranci żyją we Francji i muszą, w większym lub mniejszym stopniu, przyjąć miejscowe reguły życiowej gry. Każdy z nich powinien liczyć głównie na siebie - z punktu widzenia tej części przybyszów, która z różnych względów nie potrafiła "ustawić się" w nowej rzeczywistości, jest to reguła okrutna, jednak w wolnych społeczeństwach jedyna do przyjęcia. Kto nie zdołał opanować języka, znaleźć pracy lub fundatorów, kto nie potrafił działać sprawnie i mądrze, wypada z gry. W Paryżu nie wystarczy przepięta do klapy plakietka "Solidarności", choć nadal jest ona atutem.

Stać się członkiem francuskiego społeczeństwa w najpełniejszym tego słowa znaczeniu nie rezygnując z uroków i przyjemności prywatnego życia i pozostawszy przy tym działaczem politycznym pracującym na rzecz Kraju, to bardzo trudna sprawa. Intensywny kurs francuskiego, studia, doktorat lub praca zawodowa, sprawy "Solidarności" i kontakty z Polską, to wszystko poprzetykane niezliczonymi telefonami, korespondencją i spotkaniami, a na dodatek prawie zawsze pilotowanie i opieka (również materialna) nad gośćmi z Polski - wystarczy, żeby być nieustannie zajętym od rana do rana. Trzeba przy tym pamiętać, że prawie każdy przybysz z Kraju przyjeżdża z superważną misją, reprezentując interesy ultraważnych osób, środowisk i redakcji i nie bardzo ma ochotę dokładniej przyjrzeć się codziennemu życiu emigranta, wysłuchać kilku stonowanych słów o kłopotach i nadmiarze zajęć. Prawie zawsze zaś chętnie dzieli się refleksjami typu: "wy tu niewiele rozumiecie", "macie kiepską informację", "my z konspiracji" itp. Tym dziwniejsza to sytuacja, że efekty pracy i jej intensywność w wykonaniu emigrantów są większe niż u wielu działaczy krajowych.

Obraz emigracji ma swoje cienie. Nienajlepiej prezentuje się np. teoretycznie najważniejsza instytucja: Komitet "Solidarności". Na pierwszy rzut oka przypomina przeciętny MKZ z przedgrudniowych czasów - głównie atmosfera luzu, prowizorki i nieładu, który coraz trudniej przychodzi mi określać mianem urokliwego. W porównaniu z dawnymi regionalnymi siedzibami "Solidarności" jest tam jednak smutniej, panuje dużo mniejszy ruch, nie czuć podniecenia sprawą i pracą. Wszystko razem wzięte robi złe wrażenie i niepokoi, szczególnie gdy uwzględni się zainteresowanie (wciąż duże) Francuzów naszymi problemami.

Francuzi - z jednej strony egocentrycy podatni na nacjonalistyczne resentymenty, przekonani o wciąż centralnej pozycji Francji, a Paryż w szczególności, nie znający z reguły żadnego obcego języka, z drugiej otwarci na problemy świata, głównie tego biednego, głodującego i niewolonego. Spotkałem takich, których

wyobraźnia polityczna sprowadzała się do hasła, wypisywanego zresztą na murach i ścianach domów: "Sexism et rasism". Ich jedynym problemem politycznym jest "inwazja czarnych" i innych imigrantów. Nastroje antyimigracyjne, obecne głównie wśród zwolenników Le Pena, nie dotyczą dwóch grup: Żydów i Polaków. Front Narodowy, krzykliwe i dość dynamicznie ugrupowanie Le Pena, szuka podobno w celach reklamowych (!) Polaka na swą listę wyborczą; nie znalazłszy, wystawił Rumuna, którego przedstawiano w trakcie kampanii wyborczej jako naszego rodaka. Równocześnie w Paryżu działa kilkadziesiąt organizacji i grup wspomagających rozmaitymi metodami pokrzywdzonych na całym świecie. Wiele z nich to znane i uznane inicjatywy: "Lekarze świata", "Medycyna bez granic", "Solidarność z Solidarnością", organizacje wspomagające afgański ruch oporu, czy ostatnia wielka akcja pomocy głodującym w Etiopii. Jest w tych inicjatywach coś z koniunktury, wraz z upływem czasu ich rozmach i zainteresowanie nimi maleją wyraźnie, co jednak nie dyskredytuje ich wartości i znaczenia.

Szczególnie interesowały mnie te, które wspierały ludzi i ruchy ze strefy sowieckiej. O głośnej akcji pomocy tak zwanym *boat people*, czyli wietnamskim uciekinierom, pisała już krajowa "Karta"; Afgańczycy obrali sobie Paryż za europejską stolicę ruchu mujahedinów. Dla Polaków rola Paryża nie zmienia się od dwóch wieków (choć oficjalnie siedzibą władz "Solidarności" na wychodźstwie jest przecież Bruksela). Wynika to m.in. właśnie ze stosunku Francuzów do naszej ojczyzny.

Relacje francusko-polskie na płaszczyźnie oficjalnej dla nikogo nie stanowią specjalnej tajemnicy, a ewentualne posunięcia i reakcje jednej czy drugiej strony rzadko bywają zaskakujące. Ciekawskawe wydawało mi się spojrzenie Francuzów "nieoficjalnych" na "Solidarność". Prawdziwą niespodzianką były dla mnie zarówno ilość francuskich sympatyków "Solidarności" jak i poziom ich zaangażowania w pomoc polskiemu ruchowi związkowemu. Spotkałem m.in. Jacques'a Challota, który swego czasu został zatrzymany na granicy polsko-niemieckiej w trakcie przewożenia dla "Solidarności" sprzętu poligraficznego. Odsiedział w polskim więzieniu parę miesięcy. Takie doświadczenie niejednego Polaka zniechęca do dalszej działalności, ale nie Jacques'a. Niepozorny, w podszyczonej kurtce jeansowej, całą swoją aktywność nadal poświęca pomocy "Solidarności".

Tuż po wybuchu wojny grudniowej zawiązało się we Francji spontanicznie wiele grup, które postawiły sobie za cel zebranie dla Polaków maksymalnych ilości pieniędzy, lekarstw, żywności, odzieży, a także sprzętu technicznego i książek. Rozmawiałem z młodym socjalistą, który z grupą przyjaciół organizował zbierkę pieniędzy w małym mieście podparyskim i w przeciągu kilku dni zebrał blisko 50 tysięcy franków! Rzecz jasna, wraz z upływem czasu ofiarność dawców i energia organizatorów malały, choć do dziś jest to nadal jeden z obfitszych strumieni pomocy zachodniej dla Kraju. Przeprowadzono też wiele akcji nakierowanych propagandowo na Francuzów. Parę z nich odbiło się we Francji szerokim echem. Jest w Paryżu stacja metra "Stalingrad". Kiedy nad Sekwanę dotarły pierwsze informacje o stanie wojennym, tablice informacyjne na tej stacji zostały zakryte przez "nieznanych sprawców" tablicami z napisem "Gdańsk". Służby porządkowe przez wiele dni "nie dostreżęły" tej niespodziewanej zmiany nazwy, mimo że wszystkie paryskie gazety opublikowały zdjęcia nowych tablic. Spotkałem jednego z uczestników tej akcji; jak się okazało, to właśnie on ze swymi kolegami w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w Hiszpanii napsuł tyle krwi realizatorom polskiej telewizji transmi-

tującej mecze z udziałem naszej drużyny, wywieszając na trybunach olbrzymie transparenty z napisem "Solidarność". *Nota bene*, przesiedział za to kilkadziesiąt godzin w hiszpańskim areszcie. On też sprawił, że przez jakiś czas "Solidarność" górowała nad całą Europą..., kiedy zatknął sztandar naszego ruchu na szczycie Mont Blanc.

Anegdotyczne to zdarzenia, nie oddające w pełni charakteru i rozmiaru francuskiej dla nas pomocy. Paryskie życie polityczne nie kręci się jednak wokół polskich spraw; jest bogate własnymi problemami i przemianami, którym na pewno warto przyjrzeć się bliżej.

\*

Pierwszy polityczny napis na murze, jaki zobaczyłem w Paryżu (jest to tam bardzo popularna forma walki politycznej), brzmiał *MORT LES ROUGES*. Po kilku dniach mogłem stwierdzić, że właśnie antykomunistycznych napisów jest najwięcej, a prawie każda rozmowa utwierdzała mnie w przekonaniu, że "kokosy" (pogardliwa nazwa komunistów) mają wśród ogółu Francuzów coraz gorszą opinię. Potwierdzają to zresztą badania opinii publicznej, ankiety różnego rodzaju i wybory do władz lokalnych, w których komuniści przegrywają już nie tylko z liberalnym sojuszem partii umiarkowanie prawicowych i socjalistami, ale także z ultraprawicowym, populistycznym, jak chcą niektórzy "faszystowskim" Frontem Narodowym Le Pena (nowi członkowie Frontu to bardzo często niedawni komuniści). Jest to tylko jeden z sygnałów przemiany politycznej Francuzów, o której więcej za chwilę; sami komuniści przestają być powoli istotną siłą również dlatego, że - jak to określił mój paryski gospodarz - zbyt wyraźnie przypominają swych sowieckich promotorów, a reputacja tychże - mimo tradycyjnego sentymentu Francuzów do Rosjan - jest niedźna jak nigdy dotąd po drugiej wojnie. Wspominano mi o audycji telewizyjnej, w której wystąpił Georges Marchais. Na pytanie prowadzącego program, czy komuniści po dojściu do władzy zezwalaliby na wydawanie *Sołżenicyna*, odpowiedział, że zezwoliłby, gdyby znalazło się wydawnictwo *ch c a c e* go wydać. Marchais wie, że w komunistycznej Francji nie byłoby miejsca dla takiego wydawnictwa.

Komuniści, choć ich pozycja słabnie, stanowią nadal grupę zwartą i solidarną, działającą metodami często do złudzenia przypominającymi te sprawdzone na Wschodzie. (Znamienne, że z burżuazyjnych swobód korzystają bez specjalnego skrepowania, o choco konsumują efekty działania złowieszczonego rynku i wolnej konkurencji, zdają też sobie dokładnie sprawę z sowieckiego zagrożenia - największym budynkiem w architektonicznym kompleksie ich Komitetu Centralnego jest schron przeciwatomowy, mający chronić elitę FPK bynajmniej nie przed pershingami). Ich głównym oparciem jest CGT - komunistyczna centrala związkowa, bardzo silna w niektórych branżach i zakładach (drukarnie, metro, kolej). Właśnie w miejscu pracy ich metody można odczuć w przykry sposób. Świetnym przykładem jest konflikt komunistów z sympatykami "Solidarności". Rozmawiałem z Francuzem, który pracował w przetwórnictwie rybnej, gdzie CGT była bardzo silna. Dość szybko awansował, zaistniała właśnie szansa na jeszcze lepsze stanowisko, ale pewnego dnia przyszedł do pracy ze znaczkami "Solidarności". Już po kilku dniach zwolnił się na własną prośbę - niedawni koleździ stworzyli wokół niego atmosferę nie do zniesienia. Jest niemal regułą, że kto trafi do przedsiębiorstwa, gdzie komuniści są w wyraźnej przewadze, jest zmuszony wstąpić do CGT, gdyż inaczej

grozi mu bojkot i zorganizowana nagonka. Słyszałem o lekarce, Polce żyjącej we Francji już kilkanaście lat, która w swoim szpitalu boi się rozmawiać o polityce, a "Solidarność" szczególnie, bo mimo długiego stażu i świetnej opinii mogłaby stracić pracę; większość jej współpracowników należy do CGT...

Nie sądzę, by we Francji szalał utajony czerwony terror, jak mogłoby to wynikać z przytoczonych zdarzeń. Istotne, że takie właśnie doświadczenia - choć należy przypuszczać, że jest to margines francuskiego życia - utwierdzają Francuzów w przeświadczeniu, które nam dane jest od lat: gdzie pojawiają się komuniści, powstaje atmosfera fałszu i zastraszenia.

Komunistów widać we Francji nie tylko poprzez napisy malowane na murach przez ich przeciwników. Popiera ich ok. osiem procent wyborców, mają swych merów, organizują też częste, niezbyt imponujące liczbą uczestników, za to niezwykle agresywne demonstracje. Nie oni jednak uczestniczą w przewrocie - jak nazywają to sami Francuzi - umysłowym i politycznym, jaki dokonuje się od kilku lat nad Sekwaną, a który jest częścią zjawiska szerszego, ogarniającego prawie cały zachodni świat i dostrzegalnego także u nas. Renesans prawicy - z takim jego określeniem spotykałem się najczęściej.

Nad francuską polityką od dwóch - z przerwami - wieków ciąży lewicowy ethos Wielkiej Rewolucji. *Liberté, égalité, fraternité* - te hasła wręcz immanentnie związane są z francuskim pojmowaniem polityki i do dnia dzisiejszego niewielu jest polityków, którzy odważyliby się ten związek naruszyć. Równość i Rewolucja to wciąż dla przeciętnego Francuza święte słowa - nieprzypadkowo socjaliści rządzą już cztery lata, a ich partia jest ciągle największym ugrupowaniem politycznym (przewaga prawicy i jej wielce prawdopodobne zwycięstwo w zbliżających się wyborach wynika z sojuszu trzech centroprawicowych partii). Hymnem Francji jest wciąż "Marsylianka", świętem narodowym rocznica Rewolucji, zaś każdy - polityk, historyk czy twórca - próbujący rewidować apologetyczne jak dotychczas widzenie rewolucji, naraża się na powszechną krytykę i niechęć. Wspomnieć wystarczy choćby wzburzenie, jakie wywołał u wielu Wajdowski "Danton". Zmiany zachodzą jednak coraz szybciej.

Wiele jest przyczyn odrodzenia prawicy we Francji - mamy i my w tym swój udział, choć "Solidarność" była u skontowana politycznie głównie przez socjalistów. Niewątpliwie jednak takie wydarzenia jak agresja na Afganistan, ludobójstwo w Kambodży, okrucieństwa Wietnamczyków po zakończeniu wojny, coraz powszechniejsza znajomość literatury łagiernej (jednym z autentycznych szlagierów na paryskim rynku wydawniczym w ostatnich miesiącach było pierwsze francuskie wydanie *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego) i tyczącej ZSRR w ogóle, rozbiście "Solidarności" miały nie mniejsze znaczenie niż kryzys ekonomiczny i społeczny narastający za rządów lewicy czy działalność na rzecz rozsądku i naturalnego porządku takich wybitnych indywidualności jak Raymond Aron, którego Francuzi pod koniec jego życia wreszcie docenili. Poszukiwanie i określenie wszystkich źródeł wrotu na prawo przekracza znacznie ambicje tego tekstu; poprzestane więc na ilustracji zjawiska.

Określenie prawica jest - truizm - mało precyzyjne i bardzo pojemne. Mówiąc o awansie formacji tym mianem określanej, mam na myśli dwa jej nurty, zresztą niesymetryczne oraz nie zawsze i wszędzie objawiające się w odrębnych instytucjach czy organiza-

cjach; przeplatają się one i wzajemnie przenikają, wyrażają często na innych płaszczyznach społecznego oddziaływania. Upierając się można jednak dostrzec układ dychotomiczny: nowa prawica, przez niektórych nazywana neokonserwatyzmem, raczej ruch intelektualny i kulturowy niż polityczny i organizacyjny, o dużych wpływach w elitach intelektualnych, uniwersytetach i redakcjach najpoważniejszych pism, oraz neoliberalizm wyznawany przez najsilniejszą formację polityczną, która prawdopodobnie obejmie po najbliższych wyborach władzę, opisywany i rozpowszechniany przez najpopularniejszych publicystów i pisarzy politycznych (np. Sorman, Revel, Lepage), którym patronuje największy autorytet intelektualny Francuzów - zmarły niedawno Raymond Aron. Przyjrzyjmy się bliżej tym dwóm nurtom.

W przedmowie do książki *Vu de Droit* Alain de Benoist, francuski neokonserwatysta, stawiając tezę o chorobie prawicy, głosi, że nastał czas, aby sobie przypomnieć, że być na prawicy oznacza przede wszystkim brać pod uwagę różnorodność świata, a w konsekwencji i względną nierówność będącą nieuchronnie jej wytworem - i uznać ją za rzecz korzystną i pożyteczną, zaś ujednocnianie świata, wieszczane i realizowane przez egalitarne ideologie od dwu tysięcy lat - za zło. Świat zachodni, zdeprawowany przez kosmopolityzm z jego żydowsko-chrześcijańskimi - a więc obcymi Europie - mitami zapomniął o swych celtyckich i germańskich korzeniach, stanowiących jego prawdziwą naturę.

Światu zachodniemu brak ludzi czynu i prawdziwych przywódców. Stało się konieczne kształtowanie nowych elit, które swą energię będą czerpały z witalności barbarzyńskiej Europy z jej etnicznymi odrębnościami i prastarymi obrzędami; energia naszych przodków tkwi potencjalnie w nas. Elity są naturalna i pożądana konsekwencją nierówności - ich brak jest więc gwałtem na naturze. Nowa prawica jest właśnie taką elitą, przynajmniej w mniemaniu de Benoista i jego przyjaciół. To przekonanie daje im poczucie życia w prawdzie i świetle - wartościach niedostępnych dla mas ludzi nieprzygotowanych, głupszych i słabszych. Celem działania tych elit ma być ustanowienie nowego (a raczej na nowo) naturalnego porządku rzeczy, harmonijnego ładu wynikającego z hierarchiczności społeczeństwa. W ten sposób, na przekór "demokratycznej demagogii", wrzaskowi zazdrośników i lewicowych mieznot narodzi się społeczeństwo, w którym rzeczywiste wartości nie będą musiały już dłużej pozostawać w ukryciu, a prawo podejmowania decyzji przez najlepszych zostanie ustanowione. To, co opóźnia tak ukierunkowany rozwój społeczeństwa - demokratyczno-liberalne i judeo-chrześcijańskie superego - zostanie przełamane m.in. dzięki posłużeniu się modnymi na prawicy: etologią, socjobiologią, lingwistyką i ekologią oraz dzięki awansowi problemów związanych z rodowodem i siłą ruchów etnicznych i narodowościowych zmierzających do lokalnych autonomii.

Socjaliści i liberałowie, a więc zdecydowana większość polityczna Francji, patrzą na nową prawicę niechętnie i sceptycznie, choć nie da się ukryć, że intelektualnie wpływa ona również na część klienteli partii liberalnych. Odbiciem jej poglądów - ale jakby w krzywym zwierciadle - jest także program i ideologia Frontu Narodowego Le Pena; sama nowa prawica partii nie stworzyła.

Dla dystansujących się od francuskiego neokonserwatyizmu obserwatorów, jego filozofia polityczna ma niepokojąco wiele pierwiastków nacjonalizmu (i to w dość ponurej postaci), a nawet rasizmu. Staje się bowiem filozofią, która już nie konstataje nie-

równości ludzi, ale uprawia jej apologię. Ideał, do którego się odwołuje, to powrót do *ethnie* w jej pierwotnej indoeuropejskiej czystości z czasów przedchrześcijańskich, w których przewaga silnych sankcjonowana była hierarchią wynikającą z naturalnej nierówności. Powrót ten oznacza odrzucenie z jednej strony marksistowskiej antropologii i wizji przyszłości oraz wszelkich idei egalitarnych i planujących, ale z drugiej także "zdegenerowanej" cywilizacji amerykańskiej, dzięki czemu ujawniony ma zostać "geniusz praeuropejskiego ludu" i pojawi się szansa przywrócenia Europie choćby względnej autochtonii.

W społecznościach naturalnych w walce o życie przetrwać mogą jedynie najlepsi. Efektem jest podporządkowanie słabych i wielbienie silnych, zaś konsekwencją tego jest hierarchiczna organizacja różnic, nie tylko wewnątrz konkretnej społeczności, ale również w planie międzyetnicznym. Wśród ludzi nowej prawicy powszechnie jest przekonanie, że tak jak ludzie rodzą się nierówni, tak niektóre rasy i grupy etniczne są genetycznie wyższe od innych, jeśli jako kryterium wyższości przyjąć zdolność do tworzenia cywilizacji i wydawania ze swego łona większej liczby jednostek wyżej uzdolnionych. W głośnej zbiorowej książce *Race and intelligence* (Rasa i inteligencja), jednej z ulubionych lektur neokonserwatystów, lansuje się m.in. tezę, w myśl której patrymonium genetyczne niektórych populacji murzyńskich miałoby warunkować ich niższość intelektualną w porównaniu z białymi. Alain de Benoist, tak jak większość jego współpracowników, dystansuje się od rasizmu, co nie przeszkadza, by niektórzy z nich pozwalali sobie na wykładanie kwestii wprost. Na przykład pismo francuskiej nowej prawicy "Nouvelle école" poświęciło sporo ciepłych słów Amerykaninowi Revilo Oliverowi, który został wykluczony z prawicowego zreszta stowarzyszenia "John Birch Society" za stwierdzenie, że w świecie działały się lepiej, gdyby wszystkich Żydów, jutro o świcie, zryczajnie zagazowano.

Ideologia odrębnych i shierarchizowanych tożsamości grupowych powoduje, że przedstawiciele nowej prawicy występują z reguły jako gorący rzecznicy odrębności etnicznych i powrotu do korzeni. *Najodleglejsza przeszłość stanowi najpotężniejszą siłę inspirującą przyszłość* - pisze de Benoist w *Renaissance de l'Occident* (tytuł jest oczywiście aluzją do *Zmierzchu Zachodu* Spenglera). *Jeśliby należało szukać idei nowych, powinno się zwrócić na pewno nie w stronę większości, lecz w stronę mniejszości, które pozostają pośród nas zapomnianymi świadkami autochtonicznej antycznej cywilizacji.*

Dbałość o czystą etnicznie i kulturowo tożsamość europejską jest centralnym problemem badawczym i politycznym tej formacji. Symptomatyczny jest temat piętnastego spotkania GRECE (*Groupe-ment de recherches et des études pour la civilisation européenne* - klub polityczny, który stał się zaczątkiem francuskiej nowej prawicy) zorganizowanego w 1981 r.: "Wojna kulturalna przeciw cywilizacji amerykańsko-zachodniej". (De Benoist powiedział kiedyś, że gdyby musiał wybierać, to wolałby nosić czapkę czernomocarmisty niż jeść hamburgery w Brooklynie!). Stwierdzono tam m.in., że rewolucja 1789 r. chciała podeptać przywileje związane z urodzeniem lub uzyskane od państwa, uważane za obraźliwe z mocy samej swej definicji, w konsekwencji zatrzeć wszelkie różnice, a w szczególności te, które wynikały z faktu istnienia różnych ludów, jakie żyły na obszarze królestwa Francji. Dziś wyniszczenie *ethnie* poszło o wiele dalej, dokonując się głównie w szkole, przedsiębiorstwie i w sferze religii. Sekretarz GRECE,

Guillaume Faye oświadczył w konkluzji spotkania: *arywając z racjonalizmem szczęścia indywidualnego, aby stanąć po stronie ludów, ich woli afirmacji odrębności i własnych przeznaczeń, pragniemy stworzyć prawdziwą alternatywę...*

Neokonserwatyzm nie jest zjawiskiem specyficznym francuskim; problematyka, którą podejmuje, cieszy się na całym świecie coraz większym zainteresowaniem, choć niewątpliwie jej ujęcie budzi - delikatnie mówiąc - kontrowersje. Ci Francuzi, którzy niechętni są nowej prawicy, z satysfakcją pokazywali mi materiały wyszukiwane w prawniczych periodykach i niesygnalowanych publikacjach rozsyłanych do różnych osobistości mających wpływ na opinię publiczną (jest to coraz powszechniejszy sposób działania politycznego), które wskazują na obecność skrajnych poglądów w tym nurcie prawicy. Przeczytać tam można było m.in. takie słowa: *Jeśli chodzi o nas, nie zawahamy się przed wywołaniem skandalu powtarzając, iż naszymi braćmi są Bretończycy, a nie jakies ludy na drugim końcu świata. Te są ludźmi jak i my, co znaczy tyle, że pragniemy należeć do pewnego gatunku ssaków. I to jest całe nasze pokrewieństwo z przeświątym Mahometem ben Mahometem, który na południe od nas popycha taczki lub obija bruki, czy też z dzielnym Matłjczykiem, który nieco dalej jeszcze grzebie w śmietniku...* Inny cytat: *Owa rewolucja, która przyczyniła i przyczynia tyle zła rasie aryjskiej, została zadecydowana przez żydowskich obywateli świata po pogromie w Kiszyniowie w 1897 r. Celem rewolucji było z jednej strony obalenie reżimu carskiego, z drugiej zaś stworzenie rządu światowego kierowanego przez Żydów. Zasadniczym celem tego pseudorządu było z jednej strony połączenie ras, tj. zniknięcie białej rasy aryjskiej drogą przemieszania jej z murezyńską, żółta inwazja itd., a z drugiej strony stworzenie zjednoczonej religii na żydowskich podstawach. Jak się wydaje, cel ten nie został po dziś dzień poniekąd przez światowców...*

Trudno mi określić rzeczywisty wpływ tego typu idei i poglądów na współczesnych Francuzów. Jedno jest pewne: nie ten kierunek myśli prawicowej jest decydujący w tym ogólnym francuskim zwrocie na prawo. Paryż wraca do idei, której w pewnym sensie jest prekursorem - do liberalizmu.

Myśl neoliberalna święci swe tryumfy głównie w sferze ekonomicznej. Stanowi najistotniejszą obecnie inspirację większości znanych ekonomistów i polityków, stając się równocześnie wspólnym punktem odniesienia dla najróżniejszych prądów opozycji (gdy czytelnik będzie czytał powyższe słowa, opozycja ta będzie już prawdopodobnie obozem rządzącym). Nieprzypadkowo *La solution liberale* Guy Sormana\*, książka stanowiąca błyskotliwą i głęboko argumentowaną pochwałą liberalizmu, stała się niekwestionowanym sukcesem wydawniczym.

Współczesny liberalizm w sposób kategoriyczny odrzuca jakiegokolwiek formy interwencji państwa opartą na rynku, konkurencja i wolna inicjatywa jako jedynymi sposobami organizacji gospodarki. Dlatego też Francuzi wolą używać nazwy "ultraliberalizm" dla odróżnienia tego kierunku myśli od tych wszystkich, które zgadzają się na pewne współistnienie własności społecznej i prywatnej oraz rynku i interwencji. Jest on wrogi jakiegokolwiek reglamentacji ekonomicznej wynikającej z uspołecznienia gospodarki, eta-

\* Książka tegoż autora pod tytułem *Rewolucja konserwatywna w Ameryce* wyszła w Polsce nakładem niezależnego wydawnictwa "Kurs" w 1985 roku.

tyzacji i centralnego planowania. Obecny kryzys według ultraliberałów to skutek wzrostu państwa jako podmiotu polityki socjalnej (służba zdrowia, emerytury), jako organizatora praw socjalnych (np. pensja minimalna czy reglamentacja zwolnień z pracy) i wreszcie jako poborczy podatków czy zatrudniającego.

Remedium na kryzys to wycofanie państwa ze sfery ekonomiczno-publicznej i sprowadzenie jego aktywności do działań czysto politycznych i zabezpieczających porządek prawny. Jest to w jakimś sensie propozycja powrotu do koncepcji "państwa-stróża nocnego".

Paryżanie nie bez dumy przypominają, że antyetytyzm jest bardzo starą tradycją francuską, choć świat odbiera ją jako głównie anglosaską, co w jakiejś mierze wynika z nowatorskiej interpretacji klasycznej myśli liberalnej w Stanach Zjednoczonych Reagana czy w Zjednoczonym Królestwie pani Thatcher. We Francji szesnastowieczny hasłem powstań ludowych było zawołanie: "Niech żyje król bez podatków!", a historycy francuscy podkreślają, że wszystkie rewolucje francuskie miały swój wymiar fiskalny. Nic dziwnego zatem, że nawet Wielka Rewolucja Francuska dla takich klasyków leseferyzmu jak Priestley czy Concordet była w swej społecznej i ekonomicznej treści rewolucją liberalną.

Ultraliberalizm ze swoim totalnym odrzuceniem interwencjonizmu usystematyzował się w XIX w. dzięki dokonaniom francuskiej szkoły liberalnej, niewątpliwie bardziej dogmatycznej niż jej brytyjski odpowiednik. Właśnie nad Sekwaną powstał termin "państwo-wrząd" (Jean-Baptiste Say), a ekonomiści ze wspomnianej szkoły paryskiej sformułowali teorię "systematycznego powstrzymywania państwa", które powinno się ograniczyć do utrzymywania i obrony możliwie dużego obszaru wolności. Po 1945 r. liberalizm we Francji tracił na znaczeniu, choć nie brakowało zdolnych ekonomistów przezeń inspirowanych, jak np. Jacques Rueff (*brzydota jest nierozdzielnie związana z planowaniem*); warto jednak pamiętać, że to, co przybywa dziś do Europy z USA jest w dużej mierze reekspozycją idei francuskich z XIX w.

Liberalizm francuski zaczyna wracać na swe miejsce w połowie lat 60-tych, kiedy to partia CNPF w swej "Karcie liberalnej" ogłoszonej w 1965 r. wysuwa dobitne oskarżenia wobec ingerencji państwa w sprawy cen; w latach 70-tych liberałowie rozpoczynają zdecydowaną kampanię przeciw lewicowemu programowi nacjonalizacji. Jednym z czołowych popularyzatorów anglosaskich propozycji w tej dziedzinie staje się Henri Lepage, dziś autorytet w skali międzynarodowej.

Wzrost znaczenia idei liberalnej znajduje swój wyraz w programach politycznych partii prawicowych. Domagają się one całkowitej denacjonalizacji, zniesienia podatku progresywnego, powrotu do ubezpieczeń prywatnych, reprivatyzacji systemu nauczania, rewizji systemu ubezpieczeń społecznych, reprivatyzacji służby zdrowia itp. Wszystkie te propozycje składają się na program bardziej liberalny niż te realizowane przez Reagana czy Margaret Thatcher, program zaskakujący swą kategorycznością i skrajnością nawet niektórych ludzi prawicy. Jest to jednak być może tylko kwestia przyzwyczajenia. Jacques Chirac jeszcze w 1979 r. twierdził, że *wiara w państwo-observatora i w spontaniczną grę sił gospodarczych jest koncepcją archaicznego liberalizmu, a sam liberalizm nie jest odpowiedzią na problemy współczesnej ekonomiki, zaś dziś oświadcza, że liberalizm narzuca się nie jako wybór, lecz jako konieczność i że w tym, co dotyczy produkcji, państwo powinno być nieobecne całkowicie lub tak, jak to tylko jest możliwe.*



Trochę bardziej powściągliwy jest Raymond Barre, jedna z najwybitniejszych postaci opozycji, według wielu już niedługo prezydent Republiki. Wzbraniając się przed zamknięciem w program zbyt krepujący, reklamuje koncepcję społeczeństwa liberalnego, w którym dokonywać się będzie postępująca denacionalizacja począwszy od banków oraz administrowanie typu prywatnego przedsiębiorstwa publicznymi. Ironizuje przy tym na temat "partyzantów reaganizmu we Francji" i "powierzchnowych koncepcji leseferystycznych". Jego zdecydowana niechęć wobec socjalistycznego "nadopodatkowania" i nadmiernej władzy związków zawodowych czy też "peizującej socjalizacji", nie wyklucza rezerwy względem "skrajności liberalnych" wynikającej z przekonania, że tradycja francuska jest równie przywiązana do bezwładu i działania nawykowego oraz do publicznej i parapublicznej protekcji socjalnej.

Dotarłem w Paryżu do wyników badań opinii publicznej na tematy ustrojowo-ekonomiczne. Okazuje się, że ci narzekający w większości na kryzys spowodowany rządami lewicy Francuzi nie są bynajmniej skłonni zrezygnować z korzyści, jakie daje protekcja państwa. Te same osoby dawały swój głos za planowaniem i prywatną własnością, blisko 70 proc. optowało za gospodarką mieszaną, choć zdecydowana większość była przeciw podatkom. Ta ambiwalencja i niezdecydowanie są łatwo wytłumaczalne; wszyscy dostrzegają ujemne skutki lewicowej polityki ekonomicznej, a z drugiej strony, rozpieszczeni przez protekcję państwa, boją się rzucenia na głębokie wody wolnego rynku. Tym ciekawsze będą losy prawdopodobnie zwycięskiej w najbliższych wyborach opozycji.

Zwycięstwo to jest zresztą w jakimś sensie już faktem. Aron, który przez prawie całe swe życie odrzucał byłą przez większość Francuzów, a szczególnie młodsze, przeważnie lewicujące pokolenie, który żył trochę w cieniu swego przyjaciela, a później antagonisty Sartre'a, w ostatnich latach doczekał się pełnego uznania. Wznawiane są jego dzieła, pośmiertnie wydane wspomnienia stały się bestsellerem, jego imieniem nazywane są place i ulice francuskich miast. Coraz większym autorytetem cieszą się we Francji również liberałowie z innych krajów. Friedrich von Hayek, jeden z ojców neoliberalizmu, witany był ostatnio w Paryżu wręcz entuzjastycznie przez tłumy ludzi. Jeszcze parę lat temu byłoby to nie do pomyślenia.

\*

Francuskie życie polityczne tak różni się od polskiego, jak Paryż od Warszawy. Powrót do szarej i smutnej rzeczywistości, do pustych sklepów i polityki był równocześnie powrotem do kraju, gdzie uprawia się politykę (oficjalną) prostacką i opartą na przemocy. I nie chodzi tu bynajmniej o swoistą estetykę polityki, choć i ona ma znaczenie. Chodzi o jedną z podstawowych dla nas kwestii: naszej przynależności do Europy. Polska peerelowska kieruje się coraz bardziej w stronę Azji, bliżej nam - okrutny to paradoks - z Warszawy do Ulan Bator niż do Paryża; w księgarniach kupić możemy dzieła Breźniewa, Żiwkowa i Jaruzelskiego, zaś myśli istotne i ważne dla współczesnego człowieka i przyszłości cywilizacji europejskiej wciąż ukrywać się muszą w cieniu podziemnych drukarni. Ale podkop pod murem jest coraz obszerniejszy. Raymond Aron i Friedrich von Hayek stają się powoli naszą własnością, tak jak "Solidarność" stała się własnością ludzi Zachodu. Wspólnota idei, którą dostrzegłem z równą wyrazistością w Paryżu i tutaj spowodowała, że powrót do trudniejszego świata nabrał dodatkowego sensu.

Tadeusz Donecki

JĘDRZEJ BRANECKI

## POLSKI LIBERAŁ FERDYNAND ZWEIG

Polskość i liberalizm to trudne i rzadko spotykane połączenie - podwaja to wartość Zweiga, zwiększając liczbę powodów, dla których postać krakowskiego profesora zasługuje na wydobycie z cienia. Orientacja liberalna, nie odnosząca w Europie XX wieku sukcesów masowych, w Polsce zawsze stanowiła nurt wąty i peryferyjny. Trudno było bowiem nie ulec kombinacji sił duchowych i materialnych wyznaczających Polakom inny styl myślenia. Ani indywidualizm nie miał większych szans tam, gdzie jednostkę poświęcano na ołtarzu ojczyzny, a dobro narodu jako całości było najwyższym prawem, ani też przedsiębiorczość gospodarcza nie uzyskała nigdy pełnej legitymacji moralnej i równouprawnienia do "szlachetniejszymi" sposobami życia. Także właściwa liberalnym demokracjom gra polityczna, wyzbyta fanatyzmu, oparta na tolerancji i sztuce kompromisu, dochodziła tylko epizodycznie do skutku w społeczeństwie spiętym ku realizacji zadań obronnych - walki o kulturę i polityczne przetrwanie.

Z tych wszystkich powodów Ferdynand Zweig, jako polski liberał, jest egzemplarzem rzadkiego gatunku. Zasługiwałby z tego tytułu na taryfę ulgową, ale jej nie potrzebuje jako autor bogatej i pięknie napisanej książki, zatytułowanej *Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu /1938/* oraz wartościowej syntezy *Cztery systemy ekonomii /1932/*, nie licząc innych prac opublikowanych przed wojną w kraju. Znalazłszy się w Anglii, a więc na gruncie obcym i wymagającym, łatwo uitorował sobie drogę do renomowanych wydawnictw. Ale polski rodowód w widoczny sposób przenika system myślowy Zweiga i barwila jego liberalną orientację. Przede wszystkim musiał być człowiekiem dialogu i "liberałem środka", jeśli chciał, wraz ze swym krakowskim mistrzem Adamem Krzyżanowskim, funkcjonować na tle krajowego środowiska, ciągnącego ku odmiennym stylom myślenia politycznego. Tłumaczy to miejsce zajmowane przez Zweiga na mapie XX-wiecznego neoliberalizmu - jest ono odległe od skrajnych pozycji Misesa i Hayeka. *Bronię neoliberalizmu, czyli liberalizmu społecznego, który, wierzę, przyjdzie po ekscesach obecnego neomerkantylizmu jako nieuchronna reakcja, jako nawrót do tych wielkich wartości twórczych i nieprzamiłujących, jakie dała ludzkości epoka liberalna.* - uprzedzał Zweig w przedmowie do swojego głównego dzieła.

Liberalizm społeczny Zweiga równał się silnemu przewartościowaniu klasycznej doktryny liberalnej. Nie jest to, deklarował, ... *liberalizm pasywny, liberalizm założonych rąk, liberalizm fałszywego harmonizmu i solidaryzmu, jeno liberalizm aktywny, domagający się interwencjonizmu*

państwa na szerokiej płaszczyźnie, ale interwencjonizmu nale-  
 żyć zorientowanego, liberalizm głoszący hasła równych szans  
 dla obywatela, zasadę równych punktów wyjścia. Jest to libera-  
 lizm domagający się nie tylko wolnej gry sił, ale utworzenia  
 warunków dla tej "wolnej gry" w strukturze społeczno-gosudar-  
 czej - przez dążenie do bardziej wyrównanego ustroju własności  
 zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle, przez ochronę pracy,  
 przez oświatę i kulturę ludu.

Nasilenie pierwiastka socjalnego przypomina stanowisko Wal-  
 tera Lippmanna i niemieckich Ordoliberalistów, natomiast spośród  
 klasyków jest w tym świadome nawiązanie do Johna Stuarta Milla.  
 Tak jak Mill, Zweig akcentuje e t y c z n e nacylenie swej  
 doktryny: *W neoliberalizmie pierwszą wartością jest nie zysk,  
 ale wolny, nowy człowiek odrodzony w prawdziwym humanizmie,  
 który rozwijać się może tylko i wyłącznie w atmosferze wol-  
 ności.*

Pomimo swobodnego brzmienia, głos Ferdynanda Zweiga nie wy-  
 łączył się z ostrzegawczego chóru neoliberalnego lat 30-tych,  
 zwracającego opinii publicznej uwagę na śmiertelne zagrożenie  
 demokracji zachodnich. Przypomnę, że główne dzieło Zweiga  
*Zmierzch czy odrodzenie Liberalizmu* wyszło w roku 1938, kiedy  
 zagrożenia te były już widoczne gołym okiem. Zmierzch Zachodu  
 - pisał Zweig - to przede wszystkim proces rozkładu wspólnoty  
 kulturowej i gospodarczej świata euro-amerykańskiego. Spokojna  
 ewolucja form ustrojowych została przerwana w ogniu wojny świa-  
 towej 1914-1917. Nadeszła epoka zwycięska dla kombinacji nac-  
 jonalizmu i socjalizmu, dwóch sił, które wyzwoliły ogrom ki-  
 netycznej energii. Okazało się przy tym, że siły te wzmacnia-  
 ją się wzajemnie, zamiast się - jakby się pozornie zdawało -  
 wykluczać. *Socjalizm jest najkonsekwentniejszym nacjonaliz-  
 mem, gloryfikującym państwo i wszystko oddającym temu pań-  
 stwu. Nacjonalizm, gloryfikujący naród i wszystko temu narodo-  
 dowi oddający w istocie prowadzi do tego samego. I wszędzie  
 nacjonalizm wzmacniał socjalizm, a socjalizm wzmacniał nac-  
 jonalizm.* Zwycięstwo obu sił przyniosło nie tylko kres wew-  
 nętrnych wolności obywatelskich w szeregu krajów, spowodowa-  
 wało też chroniczny kryzys całej sfery stosunków międzyna-  
 rodowych. *Cały dorobek humanizmu europejskiego rozpada się  
 przed nami!... Istnieje jeszcze w Europie wspólnota cywil-  
 izacji technicznej świadomie kontynuowana i rozwijana, ale  
 wspólnoty kulturowej jest coraz mniej.* Zweig miał przed  
 oczami narodowy socjalizm Niemiec i komunistyczną ekspansję  
 Rosji. Jawił mu się - i nie tylko jemu - obraz chaosu, który  
 bynajmniej nie był żywiołem twórczym, zapowiadającym wykry-  
 talizowanie się nowego ładu o trwałych wartościach kulturo-  
 wych.

Kreśląc w czarnych barwach przyszłość Europy, Zweig nie  
 traktował swej wizji w kategoriach fatalistycznego przeznac-  
 zenia - niepomyślny trend uważał za odwracalny. Polski li-  
 berał należał do tych, którzy najmocniej wierzyli, że idea  
 wolności nie jest martwa, że przyjęcie zmodyfikowanego pro-  
 gramu liberalnego będzie jedynym wyjściem z tego, jak to  
 nazywał *stek sprzeczności i bezsensów*, w jakie wpłatała  
 się ludzkość. Niezbędna była jednak po temu wyteżona praca  
 myślowa, przedzająca proces historyczny, ucząca ludzi wi-  
 dzieć stare prawdy liberalne w nowym świetle - tak też poj-  
 mował swoją misję życiową. *Jeśli w nowym człowieku obudzi-  
 my głód i umiłowanie wolności, wytworzy on nową skalę war-  
 tości dynamicznych, nowy układ i treść elementów potrzebnych*

dla gry liberalizmu, a zniszczy inne elementy dziś gry liberalizmu wykluczające. W całym kręgu neoliberalnym, stawiającym sobie za cel rewitalizację tradycyjnego systemu wartości, Zweig wyróżniał się optymizmem; wierzył, że liberalizm może stać się swego rodzaju utopią przysięsą. Aby jednak odnaleźć drogę do masowej wyobraźni, nawiązać ponownie kontakt z dążeniami szerokich rzesz ludzkich, program liberalny musiał być pozbawiony swego "ultraracjonalizmu" - musiał odzyskać zdolność wzbudzania emocjonalnych reakcji społecznych.

Na czym opierał swój optymizm krakowski uczyony, piszący w epoce zwycięskiego pochodłu faszyzmu i narastającego stalinizmu? Analizując pod tym kątem jego prace wydane w Polsce, można doszukać się czterech powodów. Pierwszy z nich, to przedwcześnie ogłoszony przez Zweiga kryzys mitu socjalistycznego i rozczarowanie co do reform dokonywanych pod wpływem marksistowskiego wariantu tej ideologii. Za szczególnie fałszywy i destrukcyjny element marksizmu uważał Zweig idee walki klasowej, czyli sztuczne zamykanie społeczeństwa w dwa obozy, tworzone pod hasłem nienawiści i walki. Jest to bowiem tworzenie warunków dla stałej, ciągle grożącej wojny domowej, wojny dwóch klas, nastawionych na wzajemne wyniszczenie i ujarzmienie. Zweig przewidział, że system totalny, wyłaniający się z tej wojny, będzie systemem deprawowania charakterów. *Ustrój ten - pisał - nigdzie, na żadnym polu nie wykazuje tak fatalnych rezultatów, jak na polu moralnym. Tu spustoszenia są największe i najgroźniejsze ... Twierdził jednak, że ... emocjonalnie ten typ socjalizmu nie może wywoływać już dziś głębszych ruchów i silniejszej ideowej dynamiki.* Socjalizm, by mógł powstać z kleski, musiałby zanegować marksistowską ślepa uliczkę i wrócić do swych źródeł w socjalizmie utopijnym, to znaczy odrodzić się w kombinacji z żywotnymi i niewygasiającymi siłami liberalizmu. Zweig nie przewidział, iż kryzys ideologii nie zahamuje ekspansji komunizmu, wzrosnie jedynie cena militarna kolejnych podbojów i nie zmaleje dawka przymusu potrzebna dla utrzymania dotychczasowych zdobyczy.

Drugą przesłanką optymizmu Zweiga było przekonanie, że w końcu szeregi zwolenników liberalnych wolności zasila robotnicy, dojrzewiając do tego szybko, gdy tylko znajdą się w szponach biurokratycznego aparatu państwa totalitarnego, zmuszeni przyjąć narzucone odgórnie warunki pracy i płacy, pozbawieni prawa do strajku i protestu, słowem zdegradowani do roli współczesnych niewolników. Nasycenie protestów robotniczych w pówojennej Europie Wschodniej hasłami wolnościowymi potwierdziłoby częściowo przepowiednię Zweiga, z drugiej strony jednak warto pamiętać o rozdźwięku między hasłami a faktycznymi postawami, nasiąkniętymi bezsprzecznie wielopokoleniowymi wpływami totalitaryzmu - reprodukcjami, jak powiedziałaaby Jadwiga Staniszkis, istniejący system. Ponadto, o ile w jakimś stopniu druga przesłanka optymizmu Zweiga znajduje potwierdzenie na Wschodzie, to równolegle w bogatych społeczeństwach Zachodu nic nie wskazuje na to, by wolność mogła zdystansować bezpieczeństwo socjalne w hierarchii potrzeb masowych.

Trzecim czynnikiem zwiększającym szanse rozważania liberalnego była, zdaniem Zweiga, zmiana charakteru postępu technicznego. Wzorem innych neoliberalistów przeciwstawiał się on tezie, że

postęp techniczny musi koniecznie iść w kierunku koncentracji produkcji i kapitału, monopolizacji i przez to eliminacji gry wolnorynkowej. Monopole, trusty i kartele to częściowo tylko twory nowoczesnej techniki przemysłowej; potrzebują one dla swojego istnienia ochrony prawnej i "pożytki protekcyjnalistyczno-statystycznej". Zweig odnotował przykłady postępu technicznego typu *d e k o n c e n t r a c y j n e g o*, widząc w nich dowód odwracającego się trendu. Analogicznym wzmocnieniem szans liberalnych była korzystna ewolucja w sferze uwarstwienia społecznego - czwarty i ostatni powód optymizmu /1/. Ewolucja ta polegała na stopniowym zmniejszaniu się szeregów proletariatu i odradzaniu się *s t a n u ś r e d n i e g o*, będącego naturalnym nośnikiem etosu liberalnego. Gdy rozpatrujemy los liberalizmu w przyszłości, pisał Zweig, musimy też uwzględnić szanse restytucji stanu średniego.

Wszystkie te naturalne procesy sprzyjające liberalizmowi, należało oczywiście świadomie wspomagać. Zasadniczym atutem zwiększającym atrakcyjność programu liberalnego powinna być, według Zweiga, zgodna z logiką tego programu reforma własności - uwiązanie mas poprzez zaopatrzenie ich w jakieś minimum własności, zapewniające im swobodę ruchów i niezależność, wydobywające szerokie rzesze ludzkości ze stanu sproletaryzowania i alienacji. Oto sedno programu Ferdynanda Zweiga - jego neoliberalizm był programem *d e m o k r a t y z a c y j i w ł a s n o ś c i p r y w a t n e j*. Była to propozycja uspołecznienia, powiedzmy raczej upowszechnienia własności, ale nie na złudnej drodze nacjonalizacji, mającej nieuchronne implikacje totalitarne, lecz poprzez zwiększenie liczby drobnych posiadaczy środków produkcji. Klasyczny liberalny związek własności z wolnością został więc podtrzymany - własność prywatną nazywa Zweig atrybutem wolności. Kto walczy w obronie wolności, ten musi walczyć o obdzielenie mas własnością, dającą im materialny fundament niezależności. Z podobną konsekwencją stawiali ten postulat jedynie niemieccy Ordoliberalowie. Oni też chcieli zamienić system akcyjny, pracujący dotąd na rzecz koncentracji przemysłowej, w instrument demokracji własności. Zweig uważał, że mogłoby to nastąpić na drodze zapewnienia akcji, jako ... *instrumentowi oszczędności ludowej, skutecznej ochrony przez zwolnienia i ulgi podatkowe dla małych dochodów płynących z akcji, przez usprawnienie gospodarki akcyjnej, jej rygorystyczną kontrolę bilansową i prawną, przez zapewnienie akcjonariuszowi bezpośredniego prawa do zysku przedsiębiorstwa akcyjnego itp.*

Byłby to oczywiście zaledwie fragment reformy zdolnej zjednać liberalizmowi masowe poparcie. Równoległe Zweig zalecał radykalne opodatkowanie spadków, popieranie spółek ludowych, kas i spółdzielni, kredyt powszechny, aktywne poparcie rzemiosła, małego i średniego przemysłu oraz rozwój szkolnictwa zawodowego. Na zewnątrz program ten uzupełniony byłby wolnym przepływem dóbr, kapitałów i swobodną migracją ludności w skali międzynarodowej. Pokazanie wzajemnych zależności między wewnętrzną i zewnętrzną częścią programu liberalnego to jeden z najmocniejszych punktów w dorobku Ferdynarda Zweiga. W książkach *Zmierzach czy odrodzenie liberalizmu* oraz *Cztery systemy ekonomii* dał on uderzająco trafną i aktualną do dziś analizę związków autarkii z etatyzmem i militaryzmem oraz charakterystykę koniecznych międzynarodowych uwarunkowań gospodarki rynkowej i demokratycznego ładu politycznego.

/1/ Nowe tendencje w zakresie technologii i uwarstwienia społecznego opisał Zweig w pracy *Ekonomia i technika*, Kraków 1935.

Zweig przyjmował więc, że szansa stojąca wciąż przed liberalizmem jest warunkowa. Wierzył jednak, że podaje warunki możliwe do spełnienia. Tym bardziej, iż według jego własnych słów - liberalizm należy dawkować, stosować z niego tyle ile się da i tak długo jak się to da. Dążenie do liberalizmu integralnego uważał za nierealne, podobnie jak i dążenie do jakiegokolwiek innego ustroju opartego na jednej, czystej zasadzie myślowej - chodzić może o przewagę, a nie o wyłączenie jednej zasady. Neoliberalizm Zweiga był w założeniu orientacja światopoglądowa, ustrojowa i ekonomiczna co do celów i metod działania, nie zaś zamknięta wizja czy kodeksom praw i zobowiązań. Rozumowo wykonany plan ma wprawdzie wyższość nad liberalną wizją systemu opartego na społecznej i rynkowej autoregulacji, realizującego się poprzez swobodne czyny jednostek, ale jest to wyższość w kategoriach logicznych, niezmiernie zawodnych i ryzykownych w projektowaniu społecznym. *Liberalizm chce realizować ustroj niedoskonały ale lepszy od innych.* - pisał Zweig.

Takie było pierwsze wcielenie Ferdynanda Zweiga, profesora ekonomii i doktora prawa z Krakowa, wierzącego głęboko, że w poszukiwaniu rozwiązania węzła gordyjskiego, w jaki ludzkość uwikłały rządy przymusu, opieki i manipulacji, wybór padnie na liberalny program wolności, bo ... *wolność jest najlepszą, najskuteczniejszą i najtańszą zasadą sztuki rządzenia i gospodarowania.*

Potem jednak nastąpił kataklizm wojenny. Zweig, poprzez Francję trafił do Anglii, gdzie na początku otrzymał stypendium *British Council*. Pełnił funkcję doradcy ekonomicznego polskiego rządu emigracyjnego. Szybko, jak wspominałem, stanął na własnych nogach - zaczął publikować w języku angielskim. Ale były to już nieco inne książki od tych, które wydawał w Polsce. W czasie wojny powstała praca o planowaniu *The Planning of Free Societies* . 1942/, interesująca nie tyle jako analiza totalnego planowania w komunistycznej Rosji i faszystowskich Niemczech, ile jako przegląd wczesnych, cząstkowych eksperymentów planistycznych, dokonywanych w wolnych społeczeństwach, między innymi polskiego Centralnego Okręgu Przemysłowego. Potem Zweig rozpoczął całą serię studiów społeczno-ekonomicznych, poświęconych życiu, pracy i nawykowi konsumpcyjnym górników i innych grup przemysłowych w Anglii/*Men in the Pits, Labour, Life and Family* - obie w roku 1948, *The British Worker* - 1953, *The Worker in Affluent Society* - 1961/. Już same tytuły tych książek sygnalizują, że mamy do czynienia z innym Zweigiem. Usiłuje on wprawdzie, także w nowym wcieleniu, bronić liberalnego systemu wartości, ale przestał wierzyć w liberalizm jako "utopię przyszłości". Wspomniana praca o planowaniu, wydana w 1942 roku w Londynie, symbolizuje warunkowe pogodzenie się autora z technokratycznym trendem w gospodarce, trendem, któremu przeciwstawił się wcześniej, podobnie jak wielcy neoliberaliowie tego okresu: Mises, Roepke, Eucken, Robbins oraz Hayek, który zresztą zapoznał się z manuskryptem pracy Zweiga i któremu nasz uczyony dziękuje za życzliwe uwagi. W konkluzji swego dzieła Zweig pisał: *Wszystko, co możemy powiedzieć, co że świat, jakismy kiedyś znali, przestał istnieć, a świat, do którego zmierzamy nie jest ani znany, ani też doskonały czy stabilny. Ma on plastyczną, żeby nie powiedzieć wulkaniczną charakterystykę. Jest pełen niekonsekwencji, nierozwiązanych sprzeczności, pełen zagrożeń i nadziei,*

*Jest mieszanina zła i dobra i dlatego obiecuje nagrodzenie od-  
wagi i wyobraźni.*

Trzeba zatem studiować nową ekonomię i nowe społeczeństwo, zrozumieć funkcjonowanie nowych idei i instytucji. *Świat planowania, taki jaki odstania się obecnie naszym oczom - pisał Zweig - to całkowicie nowa ekonomia, całkowicie nowa cywilizacja ....* Zwraca tu uwagę zmiana stanowiska Zweiga w kwestii postępu racjonalizacji i planowanie jedynie *wieńczy dzieło, które rozpoczęła rewolucja przemysłowa.* Ugięcie się przed tym, co nieuchronne, nie oznacza jednak rezygnacji z wolności i cnót liberalnych. *Gospodarka planowa wymaga, dla sneutralizowania jej ujemnych następstw, wzmocnienia tradycji tolerancji i wolności. Najcenniejsze wartości, takie jak tolerancja, wolność, swoboda myśli i wyznania, moralna suwerenność każdej istoty ludzkiej, muszą być podtrzymane za wszelką cenę.* Tak więc Zweig pozostał świadom zagrożenia, jakie niosła planowa organizacja życia gospodarczego dla demokratycznego ładu społeczno-politycznego. Planowanie traktował jako potężne, aczkolwiek niebezpieczne narzędzie, które powinno być używane z rozwagą, tylko tam, gdzie wydaje się to niezbędne - narzędzie użyteczne tylko w małych, kontrolowanych dawkach, jak lekarstwo, którego przedawkowanie zabija pacjenta, zamiast go uleczyć.

Na czym wobec tego polega rezygnacja, jaką dostrzegam w angielskiej twórczości Zweiga? Polega ona na próbie wkomponowania liberalnego systemu wartości w projekty społeczne pochodzące z odmiennych ideologii. Liberalizm ograniczony do sfery aksjologii zamienia się niestety w katalog pobożnych tyczeń. Ostrze kampanii neoliberalnej czasu wojny skierowało się przeciw tego typu myślowym i praktycznym kompromisom, jakie zawarł Zweig. Mises i Hayek uważali je za próby pogodzenia ognia z wodą - próby dezorientujące opinię publiczną i zwiększające groźbę infiltracji świadomości zbiorowej przez doktryny totalitarne. Elementy planowania były dla konsekwentnych neoliberalistów narzędziami destrukcji, wymykającymi się spod kontroli, zagrażającymi rozkładem gospodarki rynkowej, zniszczeniem w rezultacie ekonomicznych podstaw wolności politycznej i wyjąłowieniem głębi życia społecznego z cnót liberalnych.

Z perspektywy dzisiejszego państwa dobrobytu i niereformowalnego jak dotąd państwa realnego socjalizmu, przesadzony wydaje się zarówno alarm neoliberalistów, jak i bezkrytyczna wiara w rozwiązania mieszane. Z dwóch wcieleń Ferdynanda Zweiga wybieram jednak osobiście to pierwsze, krakowskie - uczonego pracującego swym dziełem na rzecz odnowy liberalizmu, ufającego, że ... *Myśl nie jest bezsilna. Założona w odpowiednim punkcie i w odpowiednim czasie, staje się nagle jednokrotnie dźwignią historii.*

JĘDRZEJ BRANECKI

JERZY KULICKI

## ZDZIECHOWSKI I ROSJA

Co niedzielę podążał z Antokolu do wileńskiej katedry trzymając w dłoni gruby modlitewnik, zamyślony, nie zauważający starych kamieniczek ani barokowych kościołów o roztańczonych kształtach, przejęty rozważaniami o naturze dobra i zła, o losach świata i sensie dziejów. Wydawał się anachroniczny w XX wieku - epoce elektryczności, samolotów, odkryć Einsteina i Bohra, epoce dalekosiężnych i precyzyjnych armat. Niejednokrotnie zarzucano mu i nadal się zarzuca, że jego sposób widzenia rzeczywistości jest zupełnie nienowoczesny, pasujący raczej do średniowiecza przesyconego mistyką i teocentryzmem, wypełnionego głośnym brzmieniem przestrogi *memento mori*. Marian Zdziechowski nie zmieniał tych przekonań mimo licznych ataków, nie ulegał modom. Dażył do poznania prawd ponadczasowych i nie uważał bynajmniej, by współczesne społeczeństwo pozbawione zmysłu świętości mogło mu udzielić jakichś skutecznych wskazówek w drodze do przeniknięcia największych tajemnic człowieka.

Bez specjalnych wahań powinniśmy go uznać za najwybitniejszego myśliciela religijnego jakim mogła szczerzyć się Polska na przełomie XIX i XX wieku i jednego z najbardziej interesujących w ówczesnej Europie. Był prawdziwym prekursorem ekumenizmu, lecz nie to fascynuje nas obecnie w postaci starego profesora z Wilna. Zwykło się mu przyznawać dzisiaj miano Kassandry, jako że pod koniec życia niestrudzenie ostrzegał świat, Europę, a przede wszystkim Polskę przed nadchodzącą Apokalipsą. Wieszczylł zagładę świata wartości uosobianego jeszcze przez współczesne mu społeczeństwo, głosił katastrofę osoby ludzkiej mającej utracić swe zasadnicza atrybuty - poczucie własnego "ja", wolność wyboru oraz umiejętność rozróżniania dobra i zła - które miał pochłoniąć molołch kolektywizmu. Pod tym względem Zdziechowski nie był nikim niezwykłym w swojej epoce, działali wszakże Spengler, Znaniecki, Ortega y Gasset, Witkacy... Odróżniał się jednak od nich żarliwością, z którą przestrzegał ludzi przed "widmem przyszłości". Nikt nie czynił tego z większym przekonaniem niż on. Spekulacja historiozoficzna spotkała się u niego z doświadczeniem mistycznym: *Należę do tych, jak się zdaje nielicznych - pisał w 1937 roku - którzy bardzo wyraźnie słyszą huk nadchodzącej nawałnicy, o której powiedziano, że "prajdą dni ucisku, jakie nie były od początku stworzenia i powstanie naród przeciwko narodowi, królestwo przeciw królestwu, nastąpi obrzydliwość spustoszenia i ludzie schnąd będą ze strachu" a "gdy ujrzycie to wszystko, wiedzcie, iż Pan blisko jest, we drzwiach" /Mat. XXIX 33/.*

Namiętność wystąpienia Zdziechowskiego nie była bynajmniej poddyktowana jego temperamentem. We wspomnieniach uczniów czy współpracowników - Czesława Miłosza, Stanisława Stommy, Czesława Zgo-



rzelskiego - zachował się obraz człowieka skromnego i spokojnego, wręcz nieśmiałego. To wyjątkowa wrażliwość na wszelkie postacie zła kazała mu krzyczeć, że Europa zmierza ku przepaści spychana przez obłąkańcze sukcesy totalizmów, że najpotężniejszy kraj naszego kontynentu stał się krajem bez Boga, władztwem szatana. Rosja, właśnie ona, była kolebką niebytu - zła, które miało ogarnąć cały świat. Zdziechowski znakomicie znał imperium carów oraz ZSRR. Wszystkim jego poważniejszym pracom i setkom artykułów towarzyszy refleksja nad dziejami i przyszłością tego państwa. Nie ludzi się, że na kilkunastu stronach uda się nam wszystko to przeanalizować i ocenić. Jesteśmy zdani na szkice szybkie, pobieżne, wychwytyjące jedynie kontury problemów. Aby jednak nie popaść w beziań, nie zamienić szkicownika w brudnopis, należy ustalić pewien porządek. Otóż porzucmy marzenia o streszczeniu - to niewykonalne - spróbujmy odtworzyć w oparciu o pisma Zdziechowskiego pewne kategorie myślowe, którymi posługiwał się on w swej publicystyce oraz pracach naukowych.

## ROSJA

Pojęcie wydawać by się mogło oczywiste, posiadające swą definicję w każdej encyklopedii, pocóż więc dokonywać jakichś sztucznych zabiegów? W istocie rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana niżbyśmy chcieli to niejednokrotnie widzieć. Dla nas, owszem, słowo "Rosja" stanowi wyłącznie nazwę krainy geograficznej, tudzież pewnego zjawiska historycznego i nie zawiera szczególnych podtekstów, jednakże dla ludzi z przełomu XIX i XX wieku nie było to wcale tak jasne. Dziewiętnastowieczny poeta rosyjski Fiodor Tiutczew pisał, że *Rosji nie można pojąć ani zmierzyć, w Rosję można tylko wierzyć*. Na ową wypowiedź powołują się w swych pracach Zdziechowski oraz Bierdiajew, choć każdy czyni to z innych względów. Bierdiajew, spadkobierca i namiętny krytyk rosyjskiej filozofii XIX stulecia, widział w swojej odcyżnie uosobienie cech predystynujących ją do odegrania wybitnej roli w dziejach świata, szczególnie zaś w dziejach chrześcijaństwa. Dla Zdziechowskiego Rosja, jak zresztą każdy inny kraj, a właściwie zamieszkujący go ludzie, stanowiła nośnik pewnych wartości moralnych urzeczywistniających się w historii za pośrednictwem danego narodu. Starał się odkryć najgłębsze tajniki duszy rosyjskiej, usiłował stworzyć to, o czym marzył Gogol pisząc drugi, spalony później przez siebie tom *Martwych dusz* - pełny obraz Rosjanina ze wszystkimi jego wadami i zaletami.

Zestaw wartości prezentowanych przez dany naród nie jest w ujęciu autora *Widma przyszłości* czymś stałym, ahistorycznym. Kolejne cechy pojawiają się stopniowo, są wynikiem realnych wydarzeń z przeszłości i na odwrót, niektóre fakty dziejowe zdefiniowane są w pewnym stopniu aksjologicznym obliczem danego społeczeństwa. Za najważniejszy dla duchowego rozwoju Rosji uważał Zdziechowski najazd mongolski, a następnie panowanie Piotra I. Upadek Rosji Kijowskiej oraz brutalne rządy tatarskich zdobywców wycisnęły niezatarte piętno na charakterze kultury rosyjskiej. Wówczas to, z nigdy później nie spotykaną ostrością, stanął problem azjatyckości Rosji. Czy jest ona jeszcze Europą? *Rosja spadkobierczyni duchowej spuścizny Bizancjum, choć nie należy do Zachodu w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz nie jest też Wschodem, a stanowi przejście z jednego do drugiego, zarówno wewnętrzenie pod względem geograficznym, jak i wewnętrzenie w swoich właściwościach psychicznych*. O silnych związkach z Azją przesądzały w przypadku Rosji zasady, na któ-

rych opierało się życie społeczne: niewolniczy strach przed absolutnym władcą - carem, strach przed jego gniewem nie znającym hamulców. Knut, zsyłka i szubienica - nieodłączni towarzysze Rosjanina.

*Naród rosyjski, ten olbrzym o stu rękach, zniesie prędzej okrucieństwo i pychę swego pana niżli jego słabość - pisał Lermontow - on chce być karany, ale chce pyssać się ze swej niewoli, chce głowę podnieść by móc podstawić kto mu rozkazuje.* Okrucieństwo i przemoc kładące się cierpieniem na życie mieszkańców Moskwy czy Woroneża były źródłem nie tylko masochistycznego zachwytu nad własnym cierpieniem i poniżeniem, lecz także maksymalizmu w działaniu.

Badacze dziejów Rosji ze szczególną uwagą przyglądają się tym chwilom w historii, kiedy pękały carskie kajdany - powstaniom chłopskim, działalności rewolucjonistów. Rosjanin stawał wówczas wobec nieodcziennej dla siebie sytuacji, możliwości wolnego dokonania wyboru celów, do których ma dążyć, które ma urzeczywistniać w swym życiu. Dotychczas ich zasięg określała kozacka nahałka, teraz miał to uczynić sam. Wybierał cele najwyższe. Rosjanin - twierdził Bierdiajew - *pragnie ni mniej ni więcej tylko zupełnego przeobrażenia życia i zbawienia świata, to cecha rasowa i z tą cechą wiąże się wszystko, co jest rzeczywistością wielką i oryginalną w kulturze rosyjskiej.* W odpowiedzi na poglądy przyjaciela Zdziechowski pisał: *Maksymalistyczna orientacja myśli ma swoją słabą stronę, z wyjątkiem bowiem nieskończonych i nieuchwytnych aspiracji ziemia i sprawa ziemskie wydają się czymś tak matym i martwym, że błędą nawet różnice między dobrem i złem i obrzydzenie budzą w duszy maksymalisty Rosjanina te drobne w jego mniemaniu i głupie cnoty, którymi stoją społeczeństwa, a które nie sięgają poza sferę elementarnych obowiązków rodzinnych i obywatelskich.* W dążeniu do celu Rosjanin potrafiłby zdeptać wiele wartości nieświadom nawet ich istnienia; przykładów nie trzeba szukać daleko: w literaturze Raskolnikow, w historii - rewolucja październikowa.

*Z natury rzeczy głównym dla nas problemem etycznym duszy rosyjskiej jest jej stosunek do narodów podbitych.* - pisał Zdziechowski zwracając uwagę na problem najbardziej niepokojący wszystkich, którzy pragnęli przypisać Rosji wyjątkową rolę w dziejach świata. Jakże bowiem stoić w szaty zbawiciela Europy państwo dążące do wyniszczenia Polaków, Żydów, górali kaukaskich. W społeczeństwie rosyjskim opinie na ten temat były bardzo podzielone. Istniała grupa żądająca bezwzględnego kursu wobec mniejszości narodowych, zdławienia jakichkolwiek form samodzielnosci. Zesto nawet nie starano się o szukanie wyższych przesłanek dla uzasadnienia takiego postępowania - wystarczyło stwierdzenie, że taka jest rosyjska racja stanu. Jedynie niewielka garstka elity intelektualnej usiłowała stawiać opór tej nienawiści, lecz wpływy jej były znikome. Dominowała grupa starająca się uspokoić swoje sumienie rozmaitymi wywodami przedstawiającymi Rosję jako narzędzie w rękę Boga - *Gesta Dei per Rusos!* Działania polityczne, czy to zaborcze, przybierały wówczas charakter wzniosłych czynów moralnych lub religijnych. Zniszczenie Turcji - ostoja islamu, oswobodzenie i zjednoczenie braci Słowian, wyzwolenie chłopów polskich spod władzy szlachty - oto niektóre przykłady.

Zdziechowski był niezrównanym szermierzem w walce z *fałszywym uniwersalizmem wnoszącym się pod chmurami, identyfikującym powszechność z rosyjskością, nie potrafiącym zrozumieć innych narodów, co więcej walczący nie tylko piórem.* W 1903 roku powstał w Krakowie Klub Sło-

wiański skupiający najwybitniejsze osoby ówczesnego życia naukowego i kulturalnego w Galicji. Zdziechowski piastował w nim godność prezesa, a jego członkami byli m.in.: Adam Grzymała-Siedlecki, Jan Baudouin de Courtenay, Kazimierz Nitsch, Józef Treściak, Kalikst Morawski, Feliks Koneczny. Założyciele Klubu zdecydowali się przeciwdziałać prorosyjskiej propagandzie pansłowiańskiej zdobywającej duże wpływy w monarchii austro-węgierskiej, dążącej do przekonania mieszkańców Europy Środkowej i Południowej, że jedynie arcysłowiańskie imperium carów jest im w stanie zapewnić godziwe warunki rozwoju. Była to walka z fałszem, który aczkolwiek był początkowo teorią historiozoficzną, słowianofilską utopią, jednak szybko przeobraził się w niebezpieczną doktrynę polityczną uzasadniająca z moralnego punktu widzenia zabobność Rosji. Taka postawa była dla Zdziechowskiego konsekwencją pojmowania tego kraju jako uosobienia niewoli, kłamstwa, strachu, okrucieństwa oraz maksymalizmu zgubnego dla wszelkiej wartości.

### PRAWOSŁAWIE

Jednym z nielicznych jaśniejszych punktów w obrazie Rosji stworzonym przez Zdziechowskiego było jej życie religijne, a i to nie w całości. Po pierwsze chrześcijaństwo straciło najważniejszy łącznik z Europą. O ile państwowości i zasady życia społecznego przepojone były w Rosji według niego duchem Azji, o tyle religia miała wspólne korzenie z Zachodem. Powtarzał za Sołowiowem, że patrząc na współczesną sytuację chrześcijaństwa, a szczególnie katolicyzmu i prawosławia należy pamiętać, że zanim doszło do rozłamu upłynęło tysiąc lat jedności, siedem soborów powszechnych ustanowiło dogmaty wspólne dla obu obrządków, różnice zaś mają przede wszystkim charakter kulturowy i organizacyjny.

Głoszenie poglądów podkreślających spójność chrześcijaństwa to dopiero wiek XX. W momencie gdy Zdziechowski rozpoczynał swoją karierę uczonego /lata 80-te XIX w./ triumfowały w Rosji sądy zupełnie odmienne, wywodzące się ze słowianofilskich idei Aleksiego Chomiakowa, Konstantego Aksakowa, Iwana Kirejewskiego. Pierwszą, niepodważalną prawdą była wyższość prawosławia nad katolicyzmem wynikająca z utrzymania przezeń charakteru najbliższego duchowi pierwotnego chrześcijaństwa, religii Chrystusa i apostołów. Rzymski katolicyzm uchodził za twór zwyrodniały, zdeprawowany przez racjonalizm oraz dążenie do supremacji nad władzą świecką. Myśliciele rosyjscy podkreślali jak wielkie znaczenie dla podtrzymania prawowierności miało uniknięcie przez cerkiew rozbudowy hierarchii duchownej oraz instytucji kościelnych - cerkiew umie zapewnić swym wiernym wolność w obrębie kościoła, podczas gdy katolicyzm owładnięty bezdusznym legalizmem surowo reguluje szczegóły życia ludzkiego. Wiele energii kościoła na Zachodzie pochłaniają według Aksakowa zmagania z władzą państwową, czego uniknął kościół ortodoksyjny wyrzekając się wszelkich pretensji do władzy świeckiej i kierując swe wysiłki ku jednemu tylko celowi - Zbawieniu ludzkości poprzez modlitwę i ofiarę. Taki sposób widzenia prawosławia oraz katolicyzmu przyjął się w Rosji powszechnie, stał się elementem wielkorozyjskiego szowinizmu wypracowywanego w pocie czoła przez propagandę /dużą rolę w kształtowaniu tego obrazu odegrała literatura - np. Dostojewski i jego Wielki Inkwizytor/.

Spory o to, komu przyznać prymat w chrześcijaństwie zabarwio-

ne subiektywizmem i emocjami religijnymi nie zajęłyby tyle miejsca w pismach Zdziechowskiego, gdyby nie konsekwencje polityczne owych polemik. Otóż z wyższości prawosławia nad katolicyzmem wyprowadzali słowianofile teorię o szczególnej roli, która winna przypaść Rosji w Europie, a zwłaszcza w świecie słowiańskim. Ona, ostoja prawdziwej wiary oraz najdoskonalszych form życia społecznego podzielił się z innymi narodami swym dorobkiem. Rusyfikacja uchroni gnijącą Europę przed zagładą, otworzy nowy rozdział w dziejach - epokę szczęśliwości. W latach osiemdziesiątych XIX wieku niechętnie dotychczas tolerowani przez władze słowianofile znajdują pełną akceptację u najwyższych czynników państwowych jako ci, którzy udzielią błogosławieństwa polityce nie przebiegającego w środkach wynaradawiania Polaków, Ukraińców, Litwinów, mieszkańców Kaukazu; którzy uczynią z rosyjskiej ekspansji na Bałkanach obowiązek etyczny i religijny. Odtąd każdy, kto próbowałby stanąć w poprzek koncepcjom Petersburga, winien być uznany za szaleńca przeciwstawiającego się prawom historii i zamiarom Opatrzności.

W swoich polemikach z panslawistami atakował Zdziechowski przede wszystkim niemoralność takiego postępowania, udowadniał, że nie można budować dobra poprzez czynienie zła - zadawanie cierpień, ograniczanie wolności. Atakował również dokonywaną przez rosyjskich publicystów i myślicieli idealizację życia społecznego w Rosji, które w rzeczywistości było ponure i prymitywne, zaś prawa nim rządzące trzeba było uznać za rażąco anachroniczne, a nigdy za wzór godny naśladowania. Szczególnie mocno krytykował cerkiew, jej stan wewnętrzny /zapomocnictwo, pogon za majątkiem, ciemnotę, zupełne zagubienie powołania kościelnego/ oraz funkcje, które spełniała na rzecz państwa. Dodać tutaj należy, że wychwalane wyrzeczenie się przez cerkiew ambicji w życiu politycznym doprowadziło do całkowitego jej podporządkowania biurokracji, która uczyniła z niej coś w rodzaju specjalnej służby inwigilującej obywateli. Samo słowianofilstwo, początkowo oceniane przez Zdziechowskiego bardzo pozytywnie, stało się dlań *zbiorem sentencji klerykałno-politycznych - doktryną patriotyczno-łojalną*.

Sprzymierzeńcem Zdziechowskiego w zwalczaniu panslawizmu okazał się najwybitniejszy przedstawiciel rosyjskiej myśli filozoficznej - Włodzimierz Sołowiow hołdujący za młodu słowianofilstwu, później krytykujący je namiętnie. Zadał on cios śmiertelny tej doktrynie - udowodnił wewnętrzne sprzeczności, które w sobie ona zawiera i tym samym zakończył poważne dyskusje na jej temat. Słowianofilstwo egzystowało od tego momentu jedynie jako hasło propagandowe albo slogan rzucany czasem przez salonowych polityków. Większe znaczenie miały czysto teologiczne wystąpienia Sołowiowa. Od czasu jego wystąpień przeciwko policyjnym funkcjom pełnionym przez cerkiew oraz przeciwko wynaturzeniom, którym uległa organizacyjny strona wschodniego chrześcijaństwa, datuje się początek wielkiego prądu odnowy życia religijnego Rosji. Podążyły za nim najwybitniejsze umysły - sławni "bogoiskatiele": Bierdiajew, Bułgakow, Mereżkowski, Trubeccy, Floreński i inni. Zdziechowski zaangażowany w dyskusje wokół idei modernizmu katolickiego żywo zainteresował się analogicznym ruchem prawosławnym. Zawsze uważał, że kościół ortodoksyjny posiada wiele wartościowych cech, które katolicyzm utracił w ciągu stuleci, lub których nigdy nie zdołał wypracować. Jednak aż po pierwsze lata XX wieku dyskusja była niemożliwa. Duchowieństwo prawosławne było zbyt konserwatywne; by dopuścić do siebie myśli o kontaktach z katolicyzmem, zaś wszyscy świeccy teologowie byli prawowiernymi sło-

wianofilami. Lecz *tempora mutantur*, nowe pokolenie było otwarte na głosy płynące z Zachodu, krytycznie nastawione wobec istniejącej rzeczywistości. Dialog stał się faktem. *Wpłynęli myśliciele tej miary co Sołowiew i Eugeniuś Trubiecki* - pisali w latach trzydziestych Zdziechowski - *wszaliśmy za pośrednictwem dla rozwoju myśli katolickiej, spełniając rolę pośrednika między Zachodem a Wschodem.*

Pierwszą wielką ideą, która zafascynowała Zdziechowskiego, była wizja przywrócenia jedności chrześcijaństwa. Wierzył, że przezwyciężenie dziewięćsetletniego rozłamu będzie przełomowym momentem w dziejach świata. Sołowiew, który w nim to pragnienie niejako wyzwołał, twierdził, że *wschodnie prawosławie i zachodni katolicyzm pod względem swych pierwiastków kształtujących nie wykluczają się wzajemnie, lecz, przeciwnie, uzupełniają się, przeto ich podział nie wypływa z ich istoty, jest tylko bieżącym faktem historycznym.* Zdziechowski nigdy nie rozumiał zjednoczenia jako po prostu triumfu katolicyzmu: *Jeśli w dążeniu do urzeczywistnienia jednej ołtarza i jednego pasterska idea unii ze Wschodem prayswiteca Rajmowi, to oczywiście nie jako dążność do zniszczenia duchowej odrębności Wschodu, tego sposobu myślenia i czucia, który wieki tam wyrobiły. Duszę Wschodu trzeba umieć pociągnąć ku sobie, trzeba liczyć się z nią, przyswoić sobie co w niej najlepsze.* Rosyjska duchowość - *geniusz religijny Rosji*, jak sam to określał - oto co pociągało go najbardziej w chrześcijaństwie wschodnim. Swoboda pozostawiona jednostce w jej praktykach religijnych dawała wspaniałe owoce, czasami niemożliwe do uzyskania w sformalizowanym katolicyzmie, gdzie bowiem szukać u nas w XIX czy XX wieku indywidualności równie potężnych jak "starcy" - św. Serafim Sarowski, Amwrosij, Warsongij, czy Aleksy Miaczew. Wschód nobilitował doświadczenia mistyczne uznawane przez Zdziechowskiego za jedyną drogę poznania Boga, a przygaszone w kościele rzymskim przez racjonalizm. Mistyka prawosławna była dlań bardzo atrakcyjna ze względu na nacisk, który kładła na fakt zmartwychwstania Chrystusa, odgrywającego zresztą najważniejszą rolę w liturgii oraz teologii w całym chrześcijaństwie wschodnim. Święta Wielkiej Nocy zajmują tam pozycję, która na Zachodzie przypada Bożemu Narodzeniu. *Wyobraźnię, myśl, duszę człowieka zachodniego pociąga przyjęcie postaci człowieka przez Boga, trudy i męki, które Bóg jako człowiek poniósł w celu wyzwolenia człowieka spod jarzma śmierci. Kontemplacyjny Wschód woli patrzeć na dokonane dzieło zwycięstwa nad śmiercią obejmujące radość zmartwychwstania i szczęśliwość żywota wiecznego tych, którzy w zmartwychwstającego Zbawiciela wierzyli.* Cała praca naukowa Zdziechowskiego przepojona jest dążeniem do odpowiedzi na pytanie, skąd bierze się zło i jak je pokonać. Prawosławie wskazywało mu drogę do celu.

Stosunek autora *Widma przyszłości* do chrześcijaństwa wschodniego nie uległ w ciągu kilkudziesięcioletniej działalności naukowej żadnym gwałtownym przełomom. Ten potomek ziemian kresowych urodzony na Białorusi już za młodu odrzucił oficjalną cerkiew i zaakceptował rosyjską duchowość oraz reformatorską myśl religijno-filozoficzną przełomu XIX i XX wieku kładące nacisk na swobodę praktyk religijnych jednostki, prymat wiary i doświadczenia mistycznego nad rozumem.

## PAŃSTWO

Pojęcie to stanowi uzupełnienie dwóch omówionych powyżej, bez niego nie zdołalibyśmy odtworzyć obrazu Rosji widzianego oczami Zdziechowskiego. Podobnie bowiem jak w każdym innym przypadku i tu nie wyrzekł się on roli krytyka-moralisty, pozostając

wierny dewizie z książki *Byron i jego wiek* mówiącej, że *lepiej pióro ziamad niż piśzqo, nie silid się myśli ludzkiej kierować ku dobru*. Nie zgłębiał natury państwa, jego genezy, organizacji i funkcjonowania, nie był tym zainteresowany ani też nie miał odpowiedniego przygotowania. W swych wypowiedziach dotyczących państwa odwoływał się przede wszystkim do prac bliskiego znajomego, Borysa Cziczeryna, znakomitego filozofa oraz teoretyka państwa i prawa, uważającego, że *państwo jako powołane do urzeczywistnienia idei dobra powszechnego, z natury rzeczy siewiera w sobie pierwiastek moralny i dąży do celu moralnego, oczywiście więc powinno dążyć drogą środków moralnych*.

Przyglądając się rosyjskiemu imperium przez pryzmat aksjologicznej teorii państwa, Zdziechowski starał się odnaleźć wartości moralne, które ono realizowało. Rezultat owych poszukiwań okazał się dla Rosji wielce niekorzystny. Po pierwsze, negatywne zjawiska w życiu cesarstwa nie pojawiały się stopniowo wraz z upływem czasu. Przyczyny ich sięgają początków Księstwa Moskiewskiego, stanowiąc filary, na których zbudowano nowożytnie państwo rosyjskie. Dawna Moskwa przejęła wiele z ducha mongolskich zdobywców. Okrucieństwo, wiarołomstwo i ślepy despotyzm stały się czynnikami regulującymi funkcjonowanie całego aparatu państwowego, wyrabiającymi wśród poddanych dzikość i podstępność. Właśnie wokół początków państwowości rosyjskiej rozgorzała gwałtowna polemika między Zdziechowskim a słowianofilami idealizującymi swoją ojczyznę i zaciekłe potępiającymi Zachód. Zdziechowski krytykował poglądy Iwana Aksakowa oraz jego zwolenników głoszących teorię narodzin Rosji bez przemocy, pomijających znacznie niewoli tatarskiej; obalał mity o zgodzie, pokoju i wolności jako podstawach na których oparte było życie Rusi. Pisał między innymi, że *dążenie do władzy i panowania jest zanadto ukorzenione w duszę ludzką ażebyśmy nawet przypuszczać mogli, że kiedykolwiek panować mogły te idealne stosunki*. W Rosji *narod i państwo dążyły do władzy i to ostatnie odniosło zwycięstwo z łatwością nierównie większą niż się to działo w innych mocarstwach*. W dziewiętnastowiecznej historiografii pojęcia "narod" i "państwo" były bardzo często przeciwstawiane sobie jako uosobienie zupełnie różnych zjawisk historycznych. Fetyszacja tych kategorii prowadziła niejednokrotnie do widzenia przeszłości jako terenu zmagania się owych dwóch sił; podobnych błędów nie udało się uniknąć także Zdziechowskiemu. Dzieje Rosji uważał on za klasyczny przykład triumfu państwa nad narodem pozabawionym wszystkich swych najważniejszych atrybutów z wolnością na czele. Nie był to chyba sąd całkiem bezpodstawny, skoro Lermontow pisał z nutą przechwałki: *Możem niewolnik, ale niewolnik cara świata całego*. Gogol zaś komentował tą wypowiedź zgryźliwie twierdząc, że cześć monarchy stanowiła istotę liryzmu poetów rosyjskich.

Zdziechowski wyczuwał, że państwo było dla Rosjanina czymś więcej niż instytucją prawną, regulującą życie społeczeństwa. Formalizm ustępował miejsca uczuciowości oraz religijnej pokorze: *osoba cara była w Rosji święta, był więcej niż pomazańcem bożym, był zastępcą Boga na ziemi*. Bez takiej interpretacji postaw obywatelskich dominujących w całym społeczeństwie, niemożliwe jest zrozumienie niektórych zjawisk z dziejów Rosji, przede wszystkim przekonania chłopów, że car jest dobrym batiuszką gotowym ostatnią kroplę krwi utoczyć z piersi dla dobra swego ludu, a jeśli tego nie czyni, to tylko w winy możliwych panów izolujących go od narodu. Spektakularnym przykładem funkcjonowania tego stereotypu była krwawa niedziela 1905 roku.

Rosja znała tylko patriotycznym państwowym, który zastąpił miłość ojczyzny... Państwo zaś to car i ci, co w jego imieniu rządzą, gdzie zaś nie ma cara, to dyktator, grupa, czy klika mająca w danej chwili władzę w ręku. Ojczyzna obejmuje wszystkich, państwo zaś nie pyta, czy poddani jego ojczyznę miłują, państwu chodzi o "biogonadłoźnych", czyli takich, co własnej myśli, woli i sumienia się wyrzekli, a ślepo spełniają rozkazy naczałstwa, każdego jakie się zdarzy.

## ZSRR

Rosja carów zniknęła, rozpadła się pod ciosami wojny światowej oraz rewolucji. Ta, która powstała na jej gruzach, zadziwiła cały świat żelaznym uporem, z jakim bolszewicy wcielali w życie abstrakcje wydumane przy biurku. Niewiele osób traktowało poważnie nowe państwo, jeszcze mniej rokowało mu szansę dłuższego istnienia, powszechnie uważano je za twór sezonowy, który niebawem zniknie z powierzchni ziemi. Jedyne nieliczni dostrzegali w Rosji Sowieckiej cechy gwarantujące jej trwałość, a zarazem czyniące z niej śmiertelnie niebezpieczeństwo dla starego świata. Zaliczyć do nich należy również Zdziechowskiego, który - jak pisał S. Kościółkowski - miał w sobie coś z wążonera, powiadał-bym więcej, coś z proroka, miał jasnovidzenie, przeczuwanie i zdolność wieszczenia rzeczy przyszłych, tego, czego jeszcze nie ma, ale co przajść musi, co przajdzie nieuchronnie jako nieodbita konieczność, jako konsekwentny, jutrzejszy wynik dnia dzisiejszego. ZSRR nie był dlań tworem, który pojawił się na widowni dziejów niczym *deus ex machina*, wydarzenie to miało swoją perspektywę historiozoficzną oraz eschatologiczną. Najistotniejszym jej elementem był stosunek ludzi do Boga, do religii. Właśnie we wzajemnych relacjach pomiędzy *sacrum* a *profanum* dopatrywał się Marian Zdziechowski źródła zjawisk, które stanowią o obliczu kolejnych epok historycznych.

Sredniowiecze to czas równowagi. Religia zajmuje należne jej miejsce, ludzie respektujący dekalog mogą cieszyć się wolnością oraz dobrymi warunkami rozwoju. Siły twórcze narastające w ciągu stuleci eksplodują i rozpoczyna się panowanie renesansu. Ludzki geniusz osiąga wyżyny, upojony powodzeniem i wiara w swe możliwości, usuwa w cień Boga. Ogień żywiołowej twórczości wypala się jednak bardzo szybko, odrodzenie odchodzi w niepamięć, pozostawiając po sobie ubóstwionego człowieka. Wielbią go oświeceni, wielbi zmechanizowany wiek XIX - pierwsi za potęgę rozumu, drugi za zdolności twórcze pozwalające pretendować ludziom do władzy nad naturą. Religia jest zdruzgotana. Osłabiona przez wolterian, poniżona przez rewolucję francuską i Napoleona, dobiega pozytywizm. Bilans wieku XIX nie jest wszelako korzystny dla człowieka. W roku 1789 wołano *liberté, égalité, fraternité!* Na początku XX wieku Zdziechowski stwierdzał: *Wolność wyrzucono dziś do rupieciami, o braterstwie nie może być mowy wśród toczącej się walki klas, pozostała równość; ona to jest boginią czasów naszych.* Szybki rozwój nowoczesnych ruchów nacjonalistycznych, gwałtowne przemysłowienie Europy zepchnęły człowieka z cokołu, na którym stał od renesansu. Przejścioczył się w mięso armatnie - płonka w szeregach potężnych armii, dodatek do maszyny. Marzenie pozytywistów o ujarzmieniu przyrody nie spełniło się. Człowiek czuje się zagubiony, zaczyna szukać ucieczki i znajduje ją. Masa - ona da mu schronienie, zdejmie z jego wątłych barków ciężar odpowiedzialności za podejmowane decyzje, wyzwoli go od koszmaru wolności. Warunek jest tylko jeden - całkowita anonimowość, wyrzeczenie się własnej osobowości. W tym miejscu Zdziechowski zgadza się

z Ortegą y Gassetem, S.I. Witkiewiczem - początek XX wieku to czas dezindywidualizacji, dążenia do jednostajnej szarości.

W 1917 roku powstało państwo, które jak żadne inne podkreślało wyższość kolektywu nad jednostką winną mu się podporządkować. Przyczyną tego wydarzenia w ujęciu Zdziechowskiego można podzielić z grubsza na zjawiska powszechne, o których była wyżej mowa /dezindywidualizacja, zanik religijności, pozytywizm, industrializacja/ oraz na partykularne zjawiska wynikające z przeszłości Rosji.

Zdziechowski uważał, że rewolucja potwierdziła jego dotychczasowe intuicje. Do takiego mniemania uprawniał go przede wszystkim aksjologiczny obraz narodu rosyjskiego stworzony przez siebie jeszcze przed I wojną światową, a potwierdzony przez wydarzenia rewolucyjne. Maksymalizm każący wybierać cele najwyższe i zapominać o innych wartościach, okrucieństwo oraz podstępność ujawniły się w całej pełni.

Dzisiaj zwykło się analizować ZSRR pod rozmaitymi względami - politycznym, ekonomicznym, socjologicznym - lecz pomija się jednak kategorie religijne, choć zastosowanie ich, pozwoliłoby nam ujrzeć pierwsze państwo komunistyczne w zupełnie nowym świetle. Zdziechowski wraz ze swym przyjacielem M. Bierdiajewem mogą uchodzić za prekursorów takiego spojrzenia na ZSRR.

Pomijając podobieństwo formalne zachodzące pomiędzy bolszewizmem a wielkimi religiami światowymi /kapłani, święte księgi, mesjasz-Lenin itd./ zatrzymajmy uwagę na sprawach najważniejszych, na bóstwie oraz wierze. Komuniści głosili co prawda z uporem /i głoszą nadal/, że ich światopogląd opiera się na logicznym rozumowaniu wywodzącym się ze zdobyczy nauki /głównie nauk ścisłych/, lecz w gruncie rzeczy jest w nim sporo elementów irracjonalnych. Jakżes bowiem oceniać ufność w nadejście epoki powszechnego szczęścia, która nastąpi po zrealizowaniu zasad socjalizmu z zasadą powszechnej równości na czele. To nie nauka przemawia z komunistycznych haseł, to wiara, wiara w ubóstwioną ideę dobrobytu, sprawiedliwości i szczęścia.

Idea socjalizmu była dla bolszewików bóstwem lecz nie bogiem - istniał przedmiot wiary, lecz nie było boga. *Prawdą, której nie ukryje teraz żadna zasłona - pisał w latach 20-tych Bierdiajew - jest niemożliwość neutralności religijnej oraz bezreligijności; religii Boga żywego przeciwstawia się religia szatana, religii Chrystusa, religia Antychrysta. Religia sowiecka była w przekonaniu Zdziechowskiego czymś zupełnie przeciwnym do naszych wyobrażeń o niej, była nie-religią. Rozumiejąc destruktywny charakter wydarzeń zachodzących w Rosji, odwoływał się do słów wypowiedzianych przez Zinaidę Hippus tuż po wyjeździe z ZSRR: *Rosja jest teraz jednym wielkim Nic. Uważał, że sama natura rewolucji uniemożliwia wyrwanie się z kręgu nicości i rozpoczęcie działalności pozytywnej: *Rewolucja nie oznacza wcale początku nowego życia jak wielu sądzi; ona jest tylko końcem życia starego, zakończeniem procesu rozkładu i gnicia w organizmie narodu czy kraju, karą za grzechy. Żadna rewolucja nie była rozumną, żadna nie przyniosła owej radości wolności, o której marzyły poprzedzające ją pokolenia, każda zaś wywoływała z ciemnych głębin duszy ludzkiej wszystkie jej najciemniejsze i najpodlejsze instynkty ... Rewolucja rosyjska kultury nowej nie stworzyła dla tej przyczyny, że kultura rewolucyjna wyrzekając się przeszłości, zaciekle zmiatająca wszelkie jej ślady, jest contradictio in adiecto.***

Bakunin, ojciec anarchizmu i jeden z najsławniejszych opozycjonistów rosyjskich uważał, że warunkiem stworzenia nowego ustroju, nowych form życia jest zniekształcenie tych, co były, jeśli bowiem będzie zachowaną choć jedna stara forma, to tym samym ocaleje dorobek dawnych form



wraz z możliwością ich rozkwitu w przyszłości. Bolszewicy przejęli się naukami płynącymi z pism ich poprzednika - pierwsze lata rewolucji to właśnie niszczenie starego świata. Zdziechowski dobrze rozumiał tę zasadę i z bólem przyglądał się śmierci wszystkiego, co w Rosji cenił najbardziej - religii, literatury, inteligencji... Miał na jego oczach terror niweczył pracę wielu pokoleń. Właśnie terror stanowił przedmiot największego zainteresowania Zdziechowskiego, a początkowo nawet przyczynę jego zdumienia i strachu: *Stajemy przed zjawiskiem w historii dotychczas nie spotykanym, przed jakąś tajemniczą formą terronu zadmiewającą wznosząco, odmy styżeli o okrucieństwie i obrzydliwości człowieka i co jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.* Dysponował bardzo dokładnymi informacjami o tym, co działo się w Rosji; jeden ze swych szkiców poświęcił nawet opisowi metod torturowania więźniów przez ceka w różnych miastach /z podkreśleniem lokalnych osobliwości/. Przychyła się do zdania Gorkiego, że naród rosyjski jest wyjątkowo okrutny, ma wrodzoną sobie myśl okrucieństwa na zimno, żądę wybróbowywania na zimno, jakie są granice wytrzymałości człowieka w zadawanych mu torturach. Wyjaśniając ów fenomen, nie poprzestawał na szukaniu jego źródła wyłącznie w historii. Nawet w najszybszych analizach rewolucji nie opuszczała go myśl, że ona sama oraz terror, jej nieodrodne dziecię, są widomymi znakami satanizmu na ziemi. W przekonaniu tym utwierdzało go nie tylko niszczenie dawnych wartości, lecz także wizja nowego świata, bowiem terror nie był bezcelowy, miał spełnić zadania pozytywne. Najważniejsze dla wodzów rewolucji było przekształcenie narodu rosyjskiego w posłuszną im i bezwonną masę. Mogli korzystać z dotychczasowego dorobku rządów carskich, które szczyliły się sporymi osiągnięciami w tej dziedzinie, lecz nie chcieli na nich poprzestać. Carat borykał się z różnymi kłopotami, których oni chcieli uniknąć - liberalna inteligencja, rewolucjoniści, opozycja... Najprostszym sposobem była eliminacja ze społeczeństwa jednostek zdolnych do mówienia głośno swego zdania, do stawienia oporu. Zdeindywidualizowana, jednolita masa będzie posłuszna, bez sprzeciwu spełni rozkazy zmierzające do budowy nowego ustroju, choćby odbywało się to kosztem olbrzymich ofiar. *Człowieka sowieci nie uznają - pisał Zdziechowski - jest to wyraz mocno podejrzany, zamiast człowieka mamy "kolektyw" ... ludzie męcznych w Rosji już nie ma. Terror ciąży nad każdą chwilą życia poddanego sowieckiego, upojone mu przeświadczenie, że w każdej chwili może on być rozstrzelany, albo storturowany, albo zesłany na katorgę, sparaliżowało w nim odporność moralną, nastąpiła atrofia odwagi, śmiałości i męstwa.*

Niejednokrotnie może się wydawać, że rozważania Zdziechowskiego nad rewolucją są zbyt ogólne i oderwane od ziemskich realiów; w gruncie rzeczy stary profesor z Wilna stał mocno na ziemi i potrafił dostrzegać sprawy bardzo konkretne. Głosił na przykład, że komunizm jako teoria gospodarcza to nowa forma kapitalizmu, kapitalizmu państwowego, w państwie scentralizowanym na gruzach kapitałów prywatnych. Bardzo wnikliwie przejrzał mechanizm ekspansji sowieckiej, twierdził, że pod względem zaborczości nowe państwo będzie spadkobiercą imperium carów, a nawet je przewyższy. Pierwszy krok do opanowania jakiegoś kraju to zjednoczenie lewicy politycznej i podporządkowanie jej Moskwie. Grupa oddanych ludzi jest potrzebna do szerzenia propagandy sowieckiej; dopiero gdy umysły części społeczeństwa są odpowiednio ukształtowane może wkroczyć wojsko. Metodzie tej dał nazwę strategii Dżyngischana.

Bał się Zdziechowski o Polskę, w której u sчыku swego życia dostrzegał oznaki toczącej ją choroby. Przeczynała konfrontację dwóch światów - Wschodu i Zachodu, lecz nie przydawał jej charakteru walki orężnej, a rozpatrywał ją w kategoriach zmagania idei: *Widmo przeszłości przesładuje mnie i dręczy we dnie i w nocy, i nie*

*jest to sugestią ani wytworem rozgorączkowanej wyobraźni ... Chmura czarna brzemienna piorunami pędzi na nas od najbliższego nam wschodu, od Mińska i Kijowa, od Smoleńska i Moskwy; co będzie - pytam - gdy nagle znajdziemy się w kleszczach czerwonego terroru, nie koniecznie moskiewskiego, znajdziemy i u nas nowych Dzierżyńskich ... Co nas od zbliżającej nawałnicy uratować może? Tylko świętość mogłaby zwyciężyć w strasznej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza ... To potężny prąd apostołstwa płynący przez historię. Może ten prąd zmiecie wysiłki piekła. Może, nie wiem, bo czy da się odrobić to, co dopuściła bezmyślna niedbałość, czy da się odeprzeć najście ciemności? Nie wiem, ale to pewne, że ciężkie męczennicze próby mamy przed sobą.*

\*

Wiele można Zdziechowskiemu zarzucić - anachroniczność /W.Karpiński/, uproszczony sposób widzenia świata /M.Król/, nieoryginalność w głoszeniu haseł katastroficznych. Nie stworzył on spójnego systemu historiioficznego, zaś jego sądy w tej materii grzeszyły nadmiernym europocentryzmem i oderwaniem od nauk szczegółowych, socjologii czy ekonomii. Poglądy Zdziechowskiego nie pochodziły więc z chłodnych analiz, były wyrazem tego, co przeczuwał, co było niepodejmowalne dla nauki, dostępne tylko jego przenikliwej intuicji. Najbardziej przemawiały doń wartości moralne i w takich kategoriach rozpartywał otaczający go świat. Zdziechowskiego nigdy nie interesowały mechanizmy społeczne ani wydarzenia mogące nastąpić w wyniku ich działania. Interesował go jedynie porządek moralny, dobro i zło w życiu narodów. Chciał poznać wymiar etyczny życia społecznego, przede wszystkim społeczeństwa rosyjskiego. "Czyn" składające się na życie narodów, a więc zbiorowości ludzkich posiadają swój aspekt etyczny, podobnie jak czyny pojedynczych osób. Jeśli Zdziechowski popełnił jakiś błąd w poszukiwaniu oceny społeczeństwa rosyjskiego, to nie w tym, że takiej próby w ogóle się nie podjął. Błądził personifikując narody, społeczeństwa, czyniąc z nich świadome podmioty działań na arenie historii. Nie jest to zresztą wyłącznie jego ułomność - błąd ten był grzechem całej dziewiętnastowiecznej historiografii europejskiej. Słysząc libyśmy myśl starego profesora interpretując jego przepowiedzi jako odnoszące się do rzeczywistości politycznej. W istocie bowiem dotyczyły one moralnych konsekwencji różnych wydarzeń, które miał możliwość obserwować za życia. Tutaj nie musiał nic upraszczać. Trafnie przewidział, że komunizm szybko zwiększy swoje wpływy i być może obejmie nimi Polskę /strategia Dżyngischana została zastosowana w wirtuozerią/ oraz że jedynym skutecznym orężem przeciwko temu wrogowi będzie dla zniewolonego kraju Kościół.

Znaczenie Zdziechowskiego dla Kościoła trudno jest przecenić. Głębiej jego koncepcji dotyczących reformy katolicyzmu możemy dostrzec dopiero z perspektywy Soboru Watykańskiego II. Należy uznać go za pierwszego w Polsce i jednego z pierwszych w Europie głosicieli haseł ekumenizmu. Idea połączenia cerkwi prawosławnej oraz kościoła rzymskiego w jeden kościół powszechny stanowiąca fundament dzisiejszego ruchu ekumenicznego, przyswiecała mu w staraniach o nawiązanie kontaktów pomiędzy myślą religijną Wschodu i Zachodu, była również natchnieniem w piętnowaniu wad katolicyzmu. Drogi naprawy wielu schorzałych Kościoła wiodły do prawosławia; do jego olbrzymiego dorobku duchowego, z którego chciał uczynić dziedzictwo dla całej Europy.

Zdziechowski znał Rosję jak mało kto, umiał ganić jej wady oraz docenić jej zalety. Niesłuszne jest więc zapominanie o jego wkładzie w badania nad kulturą tego kraju, tym bardziej, że wiedza Polaków o naszym wschodnim sąsiedzie daleka jest od choćby poprawności. Winniśmy korzystać z doświadczeń starego wileńskiego profesora, by przestała być aktualną gorzka skarga, którą pisał tuż przed śmiercią: *Stary jestem, wyczerpany pracą, znudzony życiem, zgnębiony daremnością usiłowań. Nie porównując siebie ze Słowackim, powtarzam za nim:*

*"I próżno słowa wyrzucam namiętne  
Na serca które zawsze dla mnie wstrętne"*

JERZY KULICKI

GEORGE WATSON

## CZY HITLER BYŁ MARKSISTĄ ?

*Ogień przytłumi ogień;  
Klin wybijają się klinem;*

Shakespeare, *Koriolan*  
(przeł. J. S. Sito).

*Istotę faszyzmu można zrozumieć jedynie poprzez jego związki z bolszewizmem i marksizmem*

Ernst Nolte, "Frankfurter Allgemeine Zeitung",  
21 VII 1984

W maju 1913 roku z wiedeńskiego pociągu wysiadł w Monachium dwudziestoczteroletni Austriak i z zachwytem wciągnął pierwszy haust monachijskiego powietrza. "Niemieckie miasto" - tak nazwie je dziesięć lat później w *Mein Kampf*. Przybył do Niemiec, by malować. Kiedy jednak młody Adolf Hitler nie był zajęty malowaniem i nie spał, oddawał się żarliwej lekturze książek wypożyczonych z monachijskich bibliotek - wśród nich pism innego rewolucyjnego myśliciela, Karola Marksa. Ten okres intensywnej lektury trwał ponad rok, aż do wybuchu wojny w sierpniu 1914 roku, kiedy to Hitler wstąpił do niemieckiej armii, by walczyć. "Doktryna zniszczenia" - oto jak nazwie marksizm w

"Encounter", grudzień 1984.

swojej autobiografii, w uwadze, która zapewne nie była całkiem deprecjonująca, skoro wyszła od kogoś, kto przez całe życie uważał siebie za apostoła zniszczenia. I nie tylko czytał, lecz także interpretował: *Zanurzyłem się w teoretycznej literaturze tego nowego świata, próbując wyjaśnić sobie jego możliwe praktyczne konsekwencje.*

Jego monachijski gospodarz, Herr Popp i jego żona, relacjonowali później, jak w latach 1913-1914 "austriacki czarusz" (tak go nazywali) uprzejmie wymawiał się od brania udziału w posilkach na dole - wspinając się po schodach do swego pokoju z plikiem książek pod jedną pachą i z chlebem pod drugą. Żył jak eremita w dniach ostatecznych, opowiadała Frau Popp, z nosem wetkniętym w grube księgi i nie można było odgadnąć, o czym myśli. A kiedy pytała go, dlaczego tak się męczy, odpowiadała wymijająco: "Droga Frau Popp, czy ktoś może wiedzieć, co jest, a co nie jest przydatne w życiu". /1/

Pragnę dowieść, że Hitler uważał marksizm za przydatny w życiu, nawet niezbędny i że współcześni historycy nazizmu nie potrafili, zupełnie jak jego gospodyni, powiedzieć, o czym myślał. A nie potrafili, bo - podobnie jak Frau Popp, kiedy widziała tamte książki pod pachą - pominieli dowód, który znajdował się przed ich nosem. Pominęli marksizm Hitlera.

## 1. "SZCZĄTKI LUDÓW"

Dług Hitlera wobec Związku Sowieckiego, jako technicznego modelu eksterminacji rasowej, został już wykazany. Kilka lat temu (*Rehearsal for Holocaust*, "Commentary", czerwiec 1981) wysunąłem sugestię, iż nazistowska eksterminacja w latach 1941-1945 mogła być bezpośrednio inspirowana przez stalinowską Rosję, która miała wtedy za sobą mniej więcej 20 lat doświadczeń na tym polu. Choć zebranie sowieckich świadectw nastęrcza trudności, nie ulega wątpliwości, że komunistyczna eksterminacja pojawiła się jako pierwsza i jest dość prawdopodobne, że naziści czerpali z niej wzory po 1941 roku. Mimo wszystko byli przecież wtedy przez dwa lata sprzymierzeńcami Rosjan.

Artykuł ten spotkał się z mieszanym, wręcz burzliwym przyjęciem. Dowodzi to przynajmniej jednego: że piśmiennictwo tradycji socjalistycznej nie jest obecnie, poza kilkoma znanymi cytatami, przedmiotem intensywnych lektur. Marks i Engels należą do tego rodzaju autorów, o których ludzie sądzą, że już ich znają. Bardzo wielu socjalistom (i zadziwiająco wielu ich oponentom) sprawia dzisiaj trudności staranne studiowanie dzieł nastawionych pionierów, czy też sięganie w mroczne zakamarki ich umysłów. Oto wyjątkowo zabawne zdarzenie związane z tą sprawą. W latach siedemdziesiątych włoscy katolicy sennie się ubawili i wprawili w zakłopotanie swych komunistycznych przeciwników, cytując na plakacie w czasie referendum marksowską diatrybę przeciw rozwodom, a zdumienie włoskich komunistów było tak komiczne, że aż trudne do wytrzymania: nie mogło im się pomieścić w głowach, że ich ideologiczny bohater może być zaangażowanym konserwatystą w sprawach rodziny, niemal po prawicy papieża. Nawet zdeklarowani antysocjaliści są skłonni przyjąć, że przynajmniej w intencjach socjalizm jest humanistycznym i wyemancypowanym poglądem, choć nieskutecznym w praktyce. W najgorszym razie uważa się, że jest on we wzniosły sposób nierealistyczny. Sama nazwa otoczona jest aureolą - a ta oślepia. Celem tego artykułu, który zajmuje się zagad-

nieniem socjalistycznych źródeł rasowej eksterminacji i długim Hitlera wobec tych doświadczeń, jest wymazanie tej aureoli.

Nie jest szerzej znany fakt, że Marks, Engels i niektórzy spośród ich socjalistycznych następców, z całym przekonaniem opowiadali się za ludobójstwem i otwarcie podtrzymywali to przekonanie właśnie dlatego, że byli socjalistami.

Oto sposób na szybki sprawdzian znajomości socjalistycznej literatury: spytaj zaprzyjaźnionego marksistę, czy akceptuje on pogląd Marksa i Engelsa, że społeczny postęp wymaga rasowej eksterminacji. Co do mnie, nigdy nie spotkałem się tu z niczym innym, jak tylko z bezmyślnym i najeżonym zdumieniem lub oburzonym żądaniem dowodu. Od lat trzydziestych jesteśmy przekonani, że faszyci z całą wiarą opowiadali się za walką rasową, marksiści natomiast za walką klasową. Jesteśmy w błędzie. Marks i Engels głosili publicznie, że całe narody, tak samo jak całe klasy będą musiały ulec zagładzie. I to właśnie - głosili gromkim głosem - jest istotą każdej rozwiniętej doktryny naukowego socjalizmu. /2/

Na przełomie stycznia i lutego 1849 roku Fryderyk Engels opublikował w piśmie Marksa "Neue Rheinische Zeitung" artykuł na temat kryzysu węgierskiego, w którym zzywał do eksterminacji całych narodów w Europie. *Der Magyarische Kampf* zostało pomieszczone w wydaniu książkowym więcej niż raz nawet we wschodnioeuropejskich edycjach Marksa i Engelsa i jego autentyczność nie budzi wątpliwości. Dla młodego człowieka korzystającego z monachijskich bibliotek w latach 1913-1914 najbardziej dostępnym był ten tekst w wydaniu Franza Mehringa *Aus dem Literarischen Nachlass von Marks, Engels und Lassalle* (gdzie na stronie tytułowej stuttgarckiej edycji widnieje rok 1902). Ponowne wydanie miało miejsce w roku 1913, w którym to roku Hitler osiedlił się w Niemczech. Staatsbibliothek w Monachium, która była wypożyczalnią od I wojny światowej, zanotowała, że pierwsze wydanie zostało nabyte w październiku 1901 roku.

Sądzi się częstokroć, iż program rasowej eksterminacji, sformułowany w 1849 roku przez Marksa i Engelsa, znikł z pola widzenia nowszych debat socjalistycznych; uważa się go za pewien zapomniany szczegół. Być może obecnie rzeczywiście nie pamiętają o nim uczeni zajmujący się naukami politycznymi (- przypuszczalnie powodem jest zakłopotanie. Dobrze jednak pamiętano o tym programie we wczesnych dekadach naszego wieku. Stalin z pełną aprobatą nawiązywał do niego w *O podstawach Leninizmu* (1924), kilka miesięcy po śmierci Lenina, kiedy sięgał po władzę. Jego książka była powszechnie czytana w Związku Sowieckim i została wkrótce przełożona na język niemiecki pod tytułem *Lenin und der Leninismus*, wychodząc w Wiedniu w czasie, gdy Hitler przebywał w landsberskim więzieniu. Stalinowskie rozważania są otwarcie ludobójcze, a jego uzasadnienie ludobójstwa opiera się na artykule z 1849 roku. Państwo sowieckie - dowodzi Stalin - będzie musiało zniszczyć wszystkie narody, które staną na drodze rewolucji: Marks w latach 40-tych ubiegłego stulecia wypowiadał się za ruchem narodowym Polaków i Węgrów, przeciw ruchowi narodowemu Czechów i Słowian południowych. Dlaczego? Dlatego, że Czesi i Słowianie południowi byli wtedy narodami reakcyjnymi, rosyjską formacją absolutyzmu, podczas gdy Polacy i Węgrzy byli "narodami rewolucyjnymi", walczącymi z absolutyzmem. /3/ Na tym, w sowieckich terminach, polegał ortodoksyjny marksizm artykułu z 1849 roku. Mogliśmy wcześniej dokładniej zrozumieć Stalinowską poli-

tykę wobec narodowości, gdybyśmy na początku jego dyktatury zwrócili większą uwagę na to, co mówił publicznie.

Socjalistyczny program ludobójstwa z 1849 roku był w swoim wyrazie niemiecki. Engels wierzył, że pewne narody są nośnikami postępu, inne (głównie Słowianie) nie są. Ponieważ są kontrrewolucyjne - muszą zginąć w rewolucyjnym całopaleniu, które, według jego i Marksa wyobrażeń z 1849 roku, było nieuchronne. Ich rozumowanie było bezceremonialne. Socjalistyczna rewolucja zostawi pewne narody o przynajmniej dwa kroki zaawangardą postępu, narody te nie będą już nigdy zdolne do tego, by się podźwignąć. Inaczej niż burżuazja w epoce burżuazyjnej, socjalizm pozostawi je tak daleko z tyłu, że będzie to już nie do naprawienia. Staną się one *Volkerabfall*, dowodzi Engels - "szczątkami ludów" i ich przeznaczeniem jest zniknąć, kiedy nastanie nowy porządek. Ludobójstwo jest postępowe, w brzmieniu dosłownym - ... a to jest także postęp.

Ta gwałtowna opcja Marksa i Engelsa na rzecz historycznego postępu była czymś szczególnym i niewiele miała wspólnego z Żydami. W rzeczywistości słynny esej Marksa *W kwestii żydowskiej* może być tak prosto rozgrzeszony jako program eksterminacji (choć nie jako program represji), że temu należy przypisać zapewne zaniedbanie innych świadectw ludobójczych intencji w spuściźnie Marksa i Engelsa. Do ludów, które mają ulec wykreśleniu należą szkoccy górale, którzy, jak wie o tym każdy czytelnik scotowskiego *Waverleya*, splamili się poparciem dla feudalizmu i Stuartów; następnie Bretończycy, którzy popierali rojalizm w obliczu Rewolucji Francuskiej; dalecy Baskowie, którzy przeszli na reakcyjną stronę w sporze o tron hiszpański; wreszcie Jugosłowianie, jak byśmy ich dzisiaj nazwali, którzy pomogli reakcyjnemu caratowi przeniknąć do Europy. Język Engelsa z 1849 roku jest bezkompromisowy: *Owe resztki bezlitośnie - jak mówił Hegel - biegiem historii zdeptane-go narodu, owe "szczątki ludów" występują za każdym razem jako fanatyczni nosiciele kontrrewolucji i pozostają nimi aż do zupełnej swej zagłady bądź wynarodowienia., tak jak w ogóle samo ich istnienie jest już protestem przeciwko wielkiej rewolucji historycznej.*

To duch *Mein Kampf*, nawet w retoryce. Hitlerowi, gdyby czytał ten artykuł, może najbardziej ze wszystkich podobałyby się zdania, którymi Engels kończy swe wywody: *Najbliższa wojna światowa zmiecie z powierzchni ziemi nie tylko reakcyjne klasy i dynastie, lecz również całe reakcyjne narody. A to jest postęp.*

Po roku 1859, kiedy ukazało się dzieło Karola Darwina *O pochodzeniu gatunków* koncepcja przełwania narodów najlepiej przystosowanych została natychmiast powiązana z jego nazwiskiem - niesłusznie, ponieważ Darwin, który nigdy nie był socjalistą, nie popierał tej interpretacji. Tylko dla Marksa książka Darwina była naukowym fundamentem dla historycznej walki klas, jak zamasyście ocenił ją wobec Lassalla. Ten entuzjazm dla historycznego modelu natury, natury o skrwawionych kłach i szponach miał zachować do końca swojego życia w 1883 roku. Ostatnio zostały wydane z rękopisów jego późne notatki dotyczące problemu rasy, spisane beładnie w ostatnich latach przed śmiercią - niechlujna książka, która potwierdza jego niezachwianą wiarę w czyste i schludne rozwiązanie kwestii etnicznych. Engels miał przeżyć Marksa o paręnaście lat w czasie których rozwijał długą tradycję socjalistycznego rasizmu w swych pismach na temat problemu pokrewieństwa i dokonywał w tym duchu pewnych uzupełnień w późniejszych wydaniach *Kapitału*.

Współcześni socjaliści są skłonni wyrażać przynajmniej pewne zakłopotanie wobec rewelacji tego rodzaju: bąkają coś, że nic nie wiedzą o tych sprawach, że według ich wiedzy to przede wszystkim wiktoriańscy myśliciele wyznawali mniej lub bardziej rasistowskie poglądy, i że w żadnym razie ludobójstwo nie ma nic wspólnego ze wzniosłymi tradycjami socjalizmu w rozwiniętym świecie zachodnim dwudziestego stulecia.

Przynajmniej to usprawiedliwienie ignorancji można przyjąć bez zastrzeżeń. Spotkanie socjalista, który wczytałby się głęboko w pisma zebrane Marksa i Engelsa jest czymś w najwyższym stopniu niezwykłym; w życiu wypełnionym polityką są bez wątpienia lepsze rzeczy do roboty. Jednak intelektualiści nie mogą być w ten sposób rozgrzeszani: z założenia winni oni najpierw czytać książki zanim zaczną ferować wyroki. I nie można im tak łatwo darować napadów doktrynalnej niekompetencji. Deklarowanie wspólnoty z autorem, którego się nie czytało, jest zawsze czymś pochopnym. A wyobrażać sobie, że można dowiedzieć się, co sądzili Marks i Engels karmiąc się zupkami uwarzonymi przez komentatorów, znaczy żywić pogląd tyle beznadziejnie uproszczony, co pochopny i niebezpieczny.

Co do sugestii, że przywódcy dziewiętnastowiecznej opinii politycznej byli zazwyczaj rasistami, jest to nic innego jak zwykła fikcja. Disraeli był, lecz w pewien semicko-mistyczny sposób; tak samo Carlyle, choć w sposób mniej przyjemny. Lecz już John Stuart Mill, który w liberalnym tonie odpowiada Carlyle'owi w kwestii murzyńskiej, nie był ("Encounter", listopad 1976), a w wiktoriańskich kręgach intelektualnych pogląd, że pewne rasy są genetycznie niższe niż inne, nie był wcale poglądem obowiązującym. W Wielkiej Brytanii, gdzie Marks żył od 1849 roku, akurat żadna z dwóch wielkich partii nie reprezentowała poglądu, który obecnie mógłby zostać nazwany rasistowskim, ja przynajmniej nic o tym nie wiem. A już w żadnym wypadku nie deklarowali oni jakiegos przekonania do ludobójstwa, na jakichkolwiek podstawach miałyby być oparte. Ludobójstwo natomiast było rzeczywiście elementem wiktoriańskiego socjalizmu i to nie tylko jednym z wielu, lecz elementem charakterystycznym. Pomagał on odróżnić - i to wyraźnie - socjalizm od jego liberalnych i konserwatywnych przeciwników.

Pogląd, że marksistowskie ludobójstwo nie ma nic wspólnego z anglosaskim socjalizmem jest w równym stopniu pochopny. Angielski fabian H. G. Wells, choć ze względu na postępowe zasady ostatecznie popierał Rewolucję Październikową, nigdy nie był marksista. Jednak w *Anticipations* z 1902 roku domagał się unicestwienia tego, co nazywał *robactwem złożonym z czarnych, brązowych, nieczystej krwi białych i różowych, ludzi, którzy nie dorastają do nowoczesnych wymogów sprawnego działania*. Oto zastosowanie wielkiej Engelsowskiej zasady rasowego oczyszczenia całej powierzchni kuli ziemskiej - to już teraz mocarstwa doktryna w mocarstwowej epoce. Imperium brytyjskiego nigdy nie urzędowało według socjalistycznych wytycznych, lecz Wells (s. 317) pokazuje, jaki mógłby być los czarnych, brązowych i nieczystej krwi białych: *Świat jest światem, a nie instytucją charytatywną i sądzę, że oni będą musieli odejść*.

Bronił także bezlitosnego uśmiercania nieuleczalnie chorych, a od tego właśnie zaczął się hitlerowski program eksterminacji w 1939 roku. Doskonała przyszłość w wersji Wellsa była ciasnym, białym i całkiem małym światem urządzonym przez socjalistycznych technokratów.

Kilka lat później Havelock Ellis w *The Task of Social Hygiene* (1912) gwałtownie domagał się od przyszłego, socjalistycz-

nego rządu stosowania eugeniki, jako pozostającej w zgodzie z niezbywalnym moralnym zobowiązaniem do wytwarzania *osobników w najlepszym gatunku*; w socjalizmie, dowodził, jakoś zastąpi ilość, ten głupi fetysz kapitalizmu. A w latach trzydziestych Sidney i Beatrice Webb wychwalali w książce *Soviet Communism* (1935) obozy koncentracyjne stalinowskiej Rosji.

Nic zatem dziwnego, że wielu socjalistów w Europie zachodniej dobrowolnie wyzbywało się swojej wrogości wobec hitlerowskiej sprawy, na czas obowiązywania nazistowsko-komunistycznego paktu lat 1939-1941. Bertold Brecht na przykład wystawił *Mutter Courage* w neutralnej Szwajcarii, w kwietniu 1941 roku, kilka miesięcy po upadku Francji. Jest to marksistowska sztuka o jałowości wojny. Zurycki recenzent nazwał ją przenikliwie *ze-itnaoh* - na czasie, związaną z historycznym momentem - taką też była, będąc próbą przekonania W. Brytanii i jej sojuszników, by pogodzili się z klęską i złożyli broń. Tymczasem Francuska Partia Komunistyczna aktywnie współpracowała z Vichy i nazistowskimi okupantami Francji, trzymając się zasady, że to raczej zachodni imperializm niż nazizm jest międzynarodowym wrogiem klas pracujących. Krótko po rozpoczęciu drugiej wojny światowej, 30 września 1939 roku, J. B. Haldame napisał pamiętne zdanie w *"The New Statesman"*: *Prędzej byłbym Żydem w Berlinie niż Kafrem w Johannesburgu lub Murzynem we Francuskiej Afryce Równikowej. Jeśli Czesi są traktowani jak niższa rasa, to pytam, czy Indianie bądź Annamici cieszą się całkowitą wolnością?* A w roku 1939 Hitler, który świeżo sprzymierzył się z komunizmem, powążył się, jakby odpowiadając na tę kwestię, na czyn zalecany przez socjalistyczne pisma dziesiętnastego wieku: masowe zabójstwo całych narodów.

## 2. NIEKTÓRE POKREWIEŃSTWA

W jakim sensie Hitler był socjalistą? Jaka była przypuszczalna wiedza Hitlera o socjalistycznej tradycji z lat czterdziestych XIX stulecia, tradycji, która popierała eksterminację całych kategorii ludzkości?

Hitler z całą pewnością, gdy jako młody człowiek w latach 1913-1914 przebywał w Monachium, rozczytywał się w marksistowskiej literaturze. Wiadomo także, że czytał dużo podczas przymusowego odpoczynku w landsberskim więzieniu w latach 1923-24, po upadku swego puczu. W czasie, gdy Lenin umierał w Rosji, Hitler ponownie zajął się cyklem marksistowskich lektur, jednak teraz wiedział już, że na ziemi niedawno zostało powołane do życia rewolucyjne państwo marksistowskie. Słowo stało się ciążem: Październik 1917 roku, jak nic od 1789, musiał prezentować się jako potężne objawienie mocy ideologii. W celi landsberskiego więzienia, jak powiada Hitler w *Mein Kampf*, czytał swojego Nietzschego i swojego Marksa. "Landsberg był moim uniwersytetem" - zwykł żartować wobec swoich przyjaciół - "i to na koszt państwa" - z tą wielką przewagą, dodawał, że nie trzeba było znosić protekcyjnych profesorów. Śmierć Lenina w styczniu 1924 roku napełniła więźnia porywającym uczuciem pewności, że historia, jak też się stało, ma się lada chwila powtórzyć, i to właśnie w jego przybranym domu, w Niemczech: jego własny ruch jest już skonsolidowany tak, że zastąpi słowiański komunizm, który jak wielkość słowiańskich przedsięwzięć wydawał mu się słaby, nieudolny i wsteczny.

Hitler nigdy publicznie nie nazywał siebie marksistą. Jednak prywatnie był zaskakująco bliski tego, szczególnie gdy



siegał po władzę w styczniu 1933 roku. We wczesnej biografii napisanej przez Konrada Neidera (1936-37), przytoczona jest jego ocena pamiętników Trockiego - uważał je za "wspaniałe" (1935) - dość niespodziewana u kogoś, kto przeszedł do historii jako nieprzejednany wróg wszystkiego, co komunistyczne. Lecz prawda jest taka, że oficjalny komunizm budził sprzeciw Hitlera nie dlatego, iż był zbyt radykalny - lecz zbyt łagodny. *Wiele nauczyłem się od marksizmu - zwracał uwagę Hermannowi Rauschningowi wkrótce po zdobyciu władzy - przynajmniej bez wahania ... Różnica polega na tym, że ja wprowadziłem w życie to, co ci kramarne i gryziórki bojaźliwie szepeli. Cały narodowy socjalizm opiera się na tym.* (s. 185) Ta wypowiedź pochodzi z książki *Rozmowy z Hitlerem* Hermanna Rauschninga, bismarckowskiego konserwatysty, który zbiegł z Niemiec w 1936 roku, ponieważ, jako początkujący nazista, doszedł do przekonania, że ruch hitlerowski był w skrytości znacznie bardziej radykalny niż bolszewizm. Książka ta przedstawia przerażający obraz narodowego socjalizmu jako pewnego rodzaju marksizmu bez teorii, gdzie działanie butnie zajmuje miejsce subtelności abstrakcyjnych spekulacji. Świat należy do tych, którzy działają.

Stalin (jak zauważył Hitler w towarzyskiej rozmowie, w kulminacyjnym momencie wojny przeciwko niemu, na wiosnę 1942 roku) był *ein genialer Kerl* - nikiem innym, jak geniuszem w swoim rodzaju - ponieważ rozumiał, że czyny liczą się bardziej niż teorie. Gryziórki piszą pamflety; nazista - działa odważnie, kierując się surowymi zasadami, sformułowanymi w zamasystrych teoriach przez wielkich rewolucjonistów. Działania bez wahania. Nie należy, jak to Hitler wyjaśniał Rauschningowi w 1934 roku, w okresach osłabienia troszczyć się o intelektualną finezję. *Nazizm jest twórczą, rewolucyjną wolą, która nie potrzebuje ideologicznych podpórki; a to, co nie posiada jednego ustalonego celu, czymże jest więcej, skoro historia jest żywiołem "wiecznej zmiany". Oto dlaczego - jak wyznaje - z marksistów powstają najlepsi naziści. Rozumieją oni przynajmniej, że polityka ze swej natury jest działaniem opartym na przemocy; i trzeba im tylko pokazać, że przemoc nie kończy się wraz z jakąś rewolucją, jak to naiwnie wyobrażali sobie bolszewicy, lecz musi iść coraz dalej i dalej: *W swej młodości, a nawet w pierwszych latach mojego monachijskiego okresu po wojnie, nigdy nie unikałem towarzysztwa marksistów.* (s. 186) To brzmi tak jakby dług wobec rewolucyjnego socjalizmu został zaciągnięty raczej w trakcie rozmów niż z książek - wniosek zupełnie prawdopodobny wobec człowieka z natury leniwego, chcącego tłumów, towarzysztwa i spotkań twarzą w twarz. Kłopot w tym - dodawał butnie Hitler - że marksiści, których poznał, byli ludźmi tak małego formatu. Jednak mógł nadal współpracować z nimi. Rauschning podaje, że sojusz ze Związkiem Sowieckim pojawił od razu jako "atutową kartę", dzięki której pewnego dnia wprawi świat w zdumienie. Niemcy i Rosja były dla siebie stworzone. *To nie Niemcy staną się bolszewickie - beztrósko przepowiadał Rauschningowi wiosną 1934 roku - lecz bolszewizm stanie się rodzajem narodowego socjalizmu* (s. 134) Podobnie stało zawsze, mimo wszystko, były większe niż różnice: *Więcej nas łączy z bolszewizmem niż dzieli ... i w dalszym ciągu Führer wyjaśniał, że polecił swej partii przyjmować od razu byłych komunistów. Byli oni świetnym materiałem: z drobnomieszczańskiego demokraty i związkowego przywódcy nigdy nie powstał narodowy socjalista, lecz z komunisty zawsze.**

Wszystko to jest aż do konkretów szczerze i w najwyższym stopniu kontrowersyjne. Kiedy, pod koniec 1939 roku, zostały

opublikowane rewelacje Rauschninga dotyczące poglądów Hitlera, uznano je za niesmacznie, niewiarygodne nawet, zarówno na lewicy jak i na prawicy. Jeśli celem książki jest pozyskanie przyjaciół, to z trudem tylko można by wybrać gorszy moment wydania *Rozmów z Hitlerem*. Lewica miała dość kłopotów z wytłumaczeniem paktu Hitler - Stalin, bez odkrywania, że Hitler był w pewnym sensie jednym z nich: że zgadzał się z marksistami, podziwiał komunistów i znalazł w bolszewizmie drogę postępu. Konserwatyści byli nieszczęśliwi, że musza patrzeć na tak dramatycznie przeoraną, ideologiczną mapę Europy. W swej następnej książce *Z nazistami i przeciw nazistom* Rauschning zauważył, że *Rozmowy z Hitlerem* zostały tak powszechnie odrzucone ponieważ podważały ogólną ocenę nazizmu jako wyłącznie nacjonalistycznego ruchu i pokazywały, że jego rzeczywiste korzenie tkwią w marksizmie. (s. 194) I to jest oczywiście słuszne. Recenzja *Rozmów z Hitlerem* zamieszczona w "Times Literary Supplement" 16 grudnia 1939 roku, zauważała chłodno, że nazizm, jak przedstawia to książka, dzieli od komunizmu zaledwie krok. Nic dziwnego zatem, jeśli także socjaliści uważali ją za trudną do przyjęcia; w najlepszym przypadku - historyczna fikcja, skwitował ją potępiająco Richard Grossman w "The New Statesman" (16 grudnia 1939 roku). Lecz jeśli fikcja była zadziwiająca, to fakty były jeszcze dziwniejsze; przeciw nazistowska propaganda wojenna w czasie paktu z Sowietami umiała być otwarcie socjalistyczna, kiedy wzywała brytyjskie masy, by domagały się od swoich przywódców "socjalizmu w działaniu". Nawet hitlerowski antysemityzm był w swej istocie antyburżuazyjny, jak sądził Rauschning w czasie, gdy przystępował do pisania *Z nazistami i przeciw nazistom: Źródła tych pomysłów trzeba szukać w socjalizmie Marksa i Sorela*. (s. 202)

Tymczasem *L'Apocalypse de notre temps* Henri Rollina, opublikowana w Paryżu w 1939 roku, wyrażała podobne przekonanie co do rosyjskich korzeni narodowego socjalizmu, jednak większość egzemplarzy tej książki została zniszczona po zajęciu Francji w 1940 roku. W tamtych dniach brakowało gleby, na której mogłaby wyrosnąć prawda. A w roku 1945 całkowicie zniknęła ona z pola widzenia. Rauschning, który po drugiej wojnie światowej osiedlił się jako farmer w Oregonie, dożył prawie dziewięćdziesiątki i umarł w 1982 roku. Jako postać ze współczesnej historii Niemiec jest obecnie osobą zapomnianą, choć w czasie wojny G. Orwell wygłosił pochwałę pod jego adresem w "Horizon" (sierpień 1941). Wiadomo jednak, że nie był mitytwarem, a ostatnie niemieckie badania pokazały, że jego sprawozdania z rozmów z Hitlerem w latach 1932-34 są z pewnością całkowicie godne zaufania. /4/ Zwolennik Bismarcka, który stracił wiarę w nazizm, mógł, mimo wszystko, dokładnie i prawdziwie opowiedzieć o swym mistrzu i jego poglądach. Jeśli tak właśnie zrobił, pomogłoby to wyjaśnić wiele spośród dwuznaczności, jakimi najeżone są ideologiczne przekonania Hitlera.

### 3. POWINOWACTWO I POGARDA

Hitler nigdy nie był marksista, jak był nim niegdyś Mussolini, a jednak mógł on w 1934 roku powiedzieć swojemu powiernikowi, że wiele nauczył się od Marksa. Jego publiczna nienawiść do marksizmu była zapewne od początku do końca całkowicie szczera. Jest to być może prawda, wątpliwe jednak, czy akurat cała prawda. Profesor Walter Laquer wykazał (*Rosja i Niemcy*, 1965), że w Monachium, jako młody aktywista, Hitler nigdy nie zdawał się traktować komunizmu jako głównego wroga: kiedy ata-

kował "komunizm" w tych głodnych i burzliwych latach po roku 1919, kiedy to wielu miało nadzieję, a jeszcze więcej lękało się, że pokonane Niemcy mogą w szybkim tempie pójść leninowską drogą, to, wydaje się, iż miał wtedy na myśli rządzących socjaldemokratów, którzy zaakceptowali układ wersalski - użycie języka dobrze obliczone na to, by wprowadzić w pomieszenie współczesnych, a także biografów. Profesor Laquer cytuje pomocnie stosowny wstęp z *Bolszewizmu* (1924) Dietricha Eckharta, przyjaciela i doradcy Hitlera we wczesnych latach, który domagał się od "niemieckiego bolszewizmu" zajęcia wrogiej postawy wobec praktyki rent i dywidend oraz stosowania zdecydowanego przymusu wobec niemieckiego bogacza, by ten wyrzucił się swego nadmiernego majątku. Socjalistyczne korzenie narodowego socjalizmu znalazły swe potwierdzenie w publicznych dokumentach i publicznej debacie. W okresie pisania *Mein Kampf* antysowiecka postawa Hitlera była już oczywiście całkowicie wykryształizowana; czy jednak przestał on być socjalistą w pewnym szerszym sensie, to już inna sprawa.

Wydaje się, że w ocenie własnej nigdy nim nie był. Według relacji Alberta Speera (*Spandau: tajne dzienniki*, 1976), jeszcze w styczniu 1943 roku Hitler naśmiewał się z Franco - małego tłustego sierżanta; ponadto żądał lepszego traktowania dla hiszpańskich komunistów w okupowanej przez Niemcy Francji. W końcu, mówił do Speera, komuniści nie byli ani demokratami, ani reakcjoniastami. *Zginęli przez demokrację i przez reakcyjną sgraję wokół Francji - mamy tam wielkie możliwości. Z całym przekonaniem mówię ci, Speer, że byli to ludzie naprawdę robiący wrażenie. W czasie hiszpańskiej wojny domowej - dodawał - to czerwoni byli idealistami, a kościół katolicki zawsze uciśkał hiszpański lud. Nadejdzie taki dzień, że będziemy mogli zrobić z nich użytek - mówił do Speera - wysyłając czerwonych z powrotem do Hiszpanii, by na nowo zaczęli wojnę domową, lecz my będziemy już po przeciwnej stronie. I tego samego dnia zadysponował w rozkazie specjalne przywileje dla komunistów.*

Później jednak, jak wnikliwie zauważa w swych dziennikach Speer, Hitler zawsze nienawidził tego, co podziwiał; w ten sposób jego nienawiść do Żydów, Stalina i komunistów świadczyła o podziwie, do którego nie chciał się przysnąć (s. 30). Oto pewna dwuznaczność, która mogła dawać przez długi czas powody do niewłaściwej interpretacji danych. W mentalności nazisty hałaśliwa nienawiść jest haraczem płaconym przez sfrustrowaną miłość własną, a w samym sercu jego zaciekłych diatrib leży często motyw zawistnej rywalizacji. Sprzeciw Hitlera wobec marksizmu zapewne w żadnym okresie jego życia nie był instynktowny i bezpośredni. Od początku do końca jego politycznej kariery, nawet w kulminacyjnym momencie wojny z ZSRR, była to mieszanina odrazy i podziwu gorąco podziwana przez zwycięś. W dziejach rewolucyjnego socjalizmu Marks, jak byli o tym przekonani jego uczniowie, był pierwaszym, który go wyartykułował i (w części przynajmniej) zrobił to źle: Hitler miał poprawić i uzupełnić tę wiarę i dogmat. Tak jak podobne walczą z podobnym, tak faszyzm i komunizm były wrogami w walce o całe pokolenie 1919 roku - rywalizując jak ciężkie pancerne pojazdy na najwyższych obrotach w tej samej przeszerzeni i w tym samym czasie.

W latach dwudziestych także Goebbels był otwarcie prosovietcki. *Dobry nazista* - pisał w *Drugiej rewolucji* (1926) - *patrzy w stronę Rosji, ponieważ Rosja jest krajem, który zapewne razem z nami będzie kroczył drogą do socjalizmu; ponieważ ma*

*pokrewną naturę, która przeciwstawia nas diabelskiemu pokusom i procesom rozkładu zachodniego świata (s. 47). Nazywa zniesławianie radzieckiego państwa dziełem chóru burżuazyjnych kłamców i ignorantów - dodając, że żaden car nie rozumiał rosyjskiego ludu tak jak Lenin. On dał chłopom ziemię i wolność.*

Nie trzeba chyba mówić, iż nie ma najmniejszej podstawy do traktowania Hitlera jako spójnego myśliciela. Ci, którzy spierają się o jego przekonania i dzieła, wkrótce rozkładają bezradnie ręce wobec chaotycznego i błażeńskiego widowiska źle przetrawionych i nieoryginalnych idei. To całe pomieszczenie w jego pismach chroni je, jak podejrzewam, przed poważną analizą - jest to być może ostatni z jego tricków, jaki pozostał do zdemaskowania, i w pewien sposób najlepszy. Hitler po prostu nie przywiązywał wagi do pisania, ani do jakiegokolwiek pracy przy biurku; zasadniczym wydaje się przekonanie, że nigdy by nie napisał *Mein Kampf*, gdyby nie dłużył mu się czas w więziennej celi. Szeroko odczytany na swój sposób był, nie kryjąc się z tym, człowiekiem niewykształconym, przekonany jednak, że żaden nauczyciel i żadna książka nie mogą go niczego nauczyć. Ponieważ gardził wszystkim oprócz działania, nie kuśło go pisarstwo, a niedawna dziennikarska kaczka, jakoby prowadził dziennik, ani przez chwilę nie budziła zaufania. Opublikowane pisma i zapisane rozmowy, które się zachowały, prezentują oczywiście chaos. I choćby ich sama treść nie budziła sprzeciwu, ciągle sprawiają wrażenie tandetnych w sposobie argumentacji i stylistycznie niechlujnych. Sądzę jednak, że można zbudować spójny wizerunek poglądów Hitlera na temat jednej doktryny politycznej. Nie chodzi tu rzecz jasna o bismarckowski nacjonalizm, który, jak wiadomo, był przedmiotem studiów Hitlera. Doktryna tą była doktryna Marksa.

Podobnie jak Bismarck, Marks był Niemcem. Jak Bismarck był głęboko oswojony z polityczną atmosferą Niemiec, poza którą wyrastał Hitler w latach przed i po pierwszej wojnie światowej. I Hitler przynawał się do tego długo. Teraz - całe zadanie - niełatwe przecież - polega na odniesieniu jego publicznych wymyślań pod adresem marksizmu do jego prywatnych wyznań dotyczących głęboko odczuwanego długu wobec myśli marksowskiej; a to się da przeprowadzić.

Zaraz na wstępie *Mein Kampf*, w pierwszym rozdziale, Hitler atakuje żydowską doktrynę marksizmu za jego twierdzenie, że *narodowość i rasa nie posiadają pierwszorzędne znaczenia*. To twierdzenie - dowodzi - musi być degradujące dla całego ludzkiego życia i cywilizacji. Gdyby argumentacja Hitlera skończyła się na tym, można by bez skrupowania powiedzieć, iż podzielał on naturalny pogląd większości dzisiejszych socjalistów - że marksizm nie był doktryną rasową. Jednak nie poprzestaje on na tym. W kulminacyjnym punkcie swej książki, w rozdziale zatytułowanym *Naród i rasa*, Hitler atakuje leninowską Rosję wychodząc z ciekawego założenia, że bolszewicy żydzi, którzy (wierzyli w to) rządzą w młodym ZSRR, już rozpoczęli własny program rasowej eksterminacji, *wielką i ostateczną rewolucję*. W Rosji żyd już ukazał swoją prawdziwą naturę: *W przeciagu kilku lat zamierza on wytepić wszystkich, którzy są reprezentantami narodowej inteligencji. I w ten sposób, pozabijając narody ich naturalnych przywódców duchowych, przywyszcia je do losu, losu niewolników wiecznego despotyzmu.*

Jest to bardzo dokładne wyliczenie tego, co po 1939 roku mieli wykonać naziści w okupowanej Polsce i gdzie indziej, systematycznie mordując i wywożąc przywódców życia duchowego, takich jak księża i profesorowie. Godne uwagi jest to, że za-

raz na początku *Mein Kampf* Hitler wyraża przekonanie, iż Lenin już dokonał tego w samej Rosji: *Rosja dostarcza najbardziej przerażającego przykładu takiego niewolnictwa. W tym kraju żydzi, w napadzie dzikiego fanatyzmu zamordowali i zagłodzili trzydzieści milionów ludzi, częściowo - przy użyciu nieludzkich tortur. I przestrzega, że dzień obrachunku nadchodzi: Ostatecznym skutkiem jest nie tyle to, że narody tracą pod panowaniem Żydów całą swoją wolność, lecz to, że same te pasyży ty muszą zniknąć. Za śmiercią ofiary, prędzej czy później, idzie śmierć wampira. /5/*

Trzydzieści milionów ... Jest coś niesamowitego w tym, że Hitler tak trafnie określił liczbę ofiar leninowskich pogromów. Jeśli dla tamtego okresu komunistycznej eksterminacji nie była to jeszcze liczba rzeczywista, to zapewne nie odbiegała od rzeczywistości jako przepowiednia. Robert Conquest w *The Great Terror* (1968) podaje liczbę 25-30 milionów jako prawdopodobną sumę wszystkich ofiar ludobójczych zbrodni Lenina i Stalina razem wziętych, w okresie od Rewolucji Październikowej 1917 roku do śmierci Stalina w roku 1953. Szacunkowa ocena Hitlera miała stać się w ten sposób niemal prawdziwą. Jest to może, a właściwie była, najbardziej przerażająca z ironii: Hitler powiedział to za wcześniej. Dwakroć ważniejsza jest jego wypowiedź o torturowaniu jako sposobie eksterminacji - był to istotny element nazistowskiego programu od czasu założenia w 1933 roku Dachau, pierwszego obozu koncentracyjnego w Rzeszy.

*Mein Kampf* jest mieszaniną fascynacji i gwałtownej niechęci. W swym podejściu do marksizmu sprowadza się przede wszystkim do deklaracji zemsty. Zemsta jest tym elementem nazistowskiej ideologii, który ostatnio jest niedoceniany; jego przyczyny i źródła nie są zbyt skwapliwie badane, a kiedy już przeprowadza się takie badania, nie przyznaje się im należytego znaczenia. Stąd nie wiemy, albo niełatwo nam to przyjąć, że nazizm był odpowiedzią na komunizm, czyli, że wtedy można było uważać *holocaust* (jak to się obecnie nazywa) za akt zemsty na tych, którzy już rzekomo dokonali masowej eksterminacji całych narodów na samym początku dyktatury Lenina w latach 1917-1924. A przecież temat ten miał jak echo powracać we wszystkich mowach Hitlera z lat trzydziestych i nie ma najmniejszej wątpliwości, że mordowanie Żydów w latach 1941-1945 było w rozumieniu nazistów zapłatą. W myśl tego fanatycznego poglądu to, co wymyśliłi jedni Żydzi - oni zastosowali do drugih. Nic dziwnego, że Speer był przekonany, iż Hitler nienawidził tego, co podziwiał. A znaczy to, że jego zaciekle uczucia wrogości kierowały się przeciwko tym, którym zazdrościł i których starał się przewyższyć.

#### 4. SYMPATIE I ANTYPATIE

Sądzę, że może być kilka powodów, dla których dług Hitlera wobec marksizmu został tak bardzo pominięty i zapomniany. Po pierwsze - rasistowski składnik marksizmu został powszechnie zapoznany w naszej epoce, choć był uznawany, a nawet przyjmowany z aplauzem przed rokiem 1914 przez samych socjalistów. A przecież zapomnienie o marksowskim rasizmie oznacza odrzucenie na samym wstępie jakiegokolwiek poważnej możliwości, by Hitler mógł zawdzięczać coś ważnego Marksowi. Z drugiej strony szczeroci antymarksizmu Hitlera przekonywała miliony o tym, czy mają być za - czy przeciw niemu. Jakkolwiek może to

brzmieć nieprawdopodobnie, sędzę, że ich przekonania miały swoje słuszne podstawy. Jednak interpretacja tego motywu, dokonana przez Speera, rodzi wątpliwości, czy wrogość Hitlera była tylko prostym dogmatycznym odrzuceniem. Była to raczej zazdrość zdeklarowanego nacjonalisty, który w godzinie klęski 1918 roku, będąc pod przemożnym wrażeniem argumentacji o pałacowej potrzebie rewolucyjnej przemocy, patrzył jak skorumpowana i niedoskonała wersja tego poglądu odnosi triumf na dalekich wschodnich obszarach i zamierza nawet rozciągnąć swój wpływ na Niemcy. Dla młodego Hitlera sowiecki marksizm i jego niemieccy sprzymierzeńcy musieli reprezentować bażnziejnie niekompletne spojrzenie na ludzką historię, choćby tylko dlatego, że było to spojrzenie internacjonalistyczne, stanowisko beznadziejnie skorumpowane - w jego przekonaniu Rosjanie i niemieckie partie komunistyczne były kierowane i inspirowane przez kosmopolitycznych żydów. Jednak ciągle był to dogmat, z którego nazizm miał czerpać impulsy do swego rozwoju.

Nazizm był totalitarną odpowiedzią na totalitaryzm - odpowiadał podobnym na podobne. Ten rodzaj interpretacji był podtrzymywany w owym czasie przez zagranicznych obserwatorów. W latach trzydziestych sądziło się często, że Mussolini i Hitler wykształcili narodowe formy komunizmu, a hitlerowski sztyld "narodowego socjalizmu", którym Hitler opatrzył swoją partię, nie był uważany za cyniczny nawet przez socjalistów. "Socjalistycznym eksperymentem" nazwał Włochy Mussoliniego w swym dzienniku podróży Harold Nicolson, kiedy w styczniu 1932 roku odwiedził Rzym z sir Oswaldem Mosleyem. Faszyzm ogniem zwalczał ogień.

Otóż ta rywalizacja nie mogłaby również nigdy znaleźć bardziej autentycznego wyrazu niż ten, jaki znalazła we wzajemnej nienawiści. Zapewne potrzebujemy nowego terminu bądź zwrotu, by wyjaśnić marksizm Hitlera i jego skomplikowane motywy. Zazdrość jest zbyt prostym; jednak z całą pewnością Lenin i Hitler przypominają dwóch rywali zakochanych w tej samej kobiecie - nienawidzą się nie dlatego, że się nie zgadzają, lecz właśnie dlatego, że zgadzają się co do joty na temat tego, co jest dla nich najważniejszą sprawą na całym świecie. A tym, co posiadało dla nich największą wagę było zastąpienie plutokracji - czyli kapitalizmu (Marks często określał to terminem "żydowska pazerność") przez rządy nowej, rewolucyjnej elity, która byłaby doktrynalnie czysta. Pewnego razu, w знамени nieotrwałym proroctwie, Hitler powiedział Rauschningowi: *Rola grana przez burżuazję jest skończona raz na zawsze (Hitler Speak, 48-49)*. To pierwsza zasada. A druga to zrozumienie, iż wymóg doktrynalnej czystości czyni eksterminację po prostu nieuniknioną. Skoro istnieją miliony, które nie akceptują nowego porządku Lenina i Hitlera, to historia domaga się, żeby zginęły. W ten sposób doktrynalna czystość równa się eksterminacji. Po raz pierwszy może od czasów inkwizycji w Europie Lenin i Hitler wprowadzili w czyn zabijanie według kategorii, gdzie finansiści, kułacy i żydzi grali rolę heretyków.

Jednak to nie Hitler odkrył dla współczesnej Europy pojęcie zabijania według kategorii, kiedy po roku 1939 niszczył całe klasy istnień: kaleki, Cyganów, żydów. Ową doktrynę, ubraną w pojęcie "postępu" i "historycznej konieczności", odnalazł można w opublikowanych pismach Marksa i Engelsa z początku lat czterdziestych XIX wieku. Została ona wprowadzona w czyn już w roku 1918 w obozach śmierci, które Lenin założył w północnej

Rosji, kiedy Hitler był zaledwie aspirującym przywódcą nie w pełni jeszcze ukształtowanego narodowego ruchu w Niemczech. I jestem przekonany, że w roku 1913 doktryna ta była dla niego objawieniem, kiedy jako dwudziestoczteroletni przybysz, jeszcze całkowicie nieznanymi, zamieszkał w pensjonacie w Monachium i tam w samotności pochłaniał pisma socjalistów.

GEORGE WATSON

#### PRZYPISY

/1/ Heinz A. Heinz, *Germany's Hitler*, Londyn 1934, s. 58. Biografia nazistowskiej propagandy, przeznaczona dla zagranicznych czytelników, opublikowana (na ile udało mi się ustalić) jedynie po angielsku i po polsku. Najlepszym ogólnym wykazem duchowych źródeł myśli Hitlera jest praca H.R. Trevor-Ropera *The Mind of Adolf Hitler*, w: *Hitler's Table Talk 1941-4*, Londyn 1953, która jednak tylko mimochodem wymienia marksizm, choć w doskonały sposób potwierdza autentyczność *Rozmów z Hitlerem* Rauschninga.

Friedrich Herr, w *Der Glaube des Adolf Hitler*, Monachium 1968 odrzuca jakąkolwiek sugestię, że Hitler czytał główne dzieła marksizmu i starannie je w samotności przemyślał, na tej kruchej podstawie, że błędnie cytuje słynne Marksowskie powiedzenie o religii jako opium dla ludu. Lecz błędy takie jak ten dają się łatwo wytłumaczyć łapczywą i niestaranną lekturą, jaką sugeruje *Mein Kampf*. Ostatnio Peter R. Black w książce *Ernst Kaltenbrunner*, Princeton 1984, dobrze udokumentowanym życiorysie innego austriackiego nazisty, w pierwszym rozdziale *Austriackie korzenie ideologii* pokazuje, jak bardzo odległe były od katolickiej tradycji antysemityzmu idee pangermanistów lat 80-tych i 90-tych XIX wieku, typu Schönerera. W ten sposób sprawia, że czysto tradycyjna interpretacja poglądów Hitlera staje się jeszcze trudniejsza do utrzymania.

/2/ Zob. także moje *Race and the Socialist: On the Progressive Principle of Revolutionary Extermination*, "Encounter", listopad 1976. *Marrism vs. the Jews* Paula Johnsona ("Commentary", kwiecień 1984) jest najświeższa próba opisu marksistowskiego antysemityzmu.

/3/ J. Stalin, *Dzieła*, t. 6, s.147, Warszawa 1951.

/4/ T. Schieder, *Hermann Rauschnings Gespräche mit Hitler als Geschichtsquelle*, Opladen 1972.

/5/ A. Hitler, *Mein Kampf*, Monachium 1924, rozdz. II, *Volk und Rasse*.

SAMUEL OBIEDZIŃSKI

## RZKA PODNIEBNA I PTAKI PODZIEMNE

*Zmieniają wiatr w naszym domu.  
Ponieważ winda okazała się za duża,  
a dom za mały, wobec tego przerabia  
się nasz biedny dom.*

Tadeusz Konwicky, *Kalendarz i klepsydra*

*Rzeka podziemna* Tadeusza Konwického jest utworem szczególnym. Lektura tej książki nawet u zwolenników twórczości autora *Kroniki wypadków miłosnych, Kompleksu polskiego* czy *Wschodów i zachodów księżycy* stać się może źródłem irytacji. Może też doprowadzić do jej odrzucenia - jako tekstu całkowicie sprzecznego z oczekiwaniami. Sądzę, że problem ten nie pojawiłby się, gdyby ta książka została wydana w roku 1990 bądź 1987; nie o paradoks tu chodzi, lecz o konflikt między poetyką tekstu a stanem świadomości powszechnej, który po kilku latach ulegnie zapewne znacznej modyfikacji. Nic bowiem ze swej aktualności nie utraciło prowokacyjne pytanie postawione w "salonie warszawskim" w III części *Dziadów*:

*Wieleż lat czekać trzeba,  
nim się przedmiot świeży*

*Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?*

A pojawia się tu przedmiot wyjątkowo "świeży", fakt niezmiernie doniosły dla naszej historii najnowszej.

*Rzekę podziemną* tworzą dwa przenikające się wzajemnie nurty, występują tu równoległe dwa różne sposoby narracji, a co za tym idzie, pojawiają się dwie opowieści.

Pierwsza z nich to pojedyncze obrazy z osobliwej autobiografii. Nie obowiązują tu reguły chronologii, rzeczywistość przenika się z marzeniem, obowiązuje ściśle prywatna hierarchia faktów: pierwsza miłość, pierwszy wykonany wyrok, pozbycie się fatalnego - bowiem całkowicie nieużytecznego - breloczka od kluczyków samochodowych. Liryka bezpośrednio sąsiaduje tu z epiką. Owe obrazy, strzępki wspomnień, fragmenty rozważań przypominają inne utwory Konwického. Powracają tu sytuacje znane z *Władzy, Rojstów, Kroniki wypadków miłosnych, Małej apokalipsy*, przypominają się sceny znane z filmów "Ostatni dzień lata" czy "Jak daleko stąd, jak blisko". W tych epizodach dominują dwa tematy: miłość i śmierć. Eros i Thanatos patronują tej autobiografii i, niczym na obrazach Jacka Malczewskiego, stają się jedną postacią. Są to jednak pojedyncze obrazy, nie układające się w spójną całość, sprawiają wrażenie kart wyrwanych z pamiętnika, rozrzuconych przez wiatr, kart z *Kalendarza i klepsydry* lub *Wschodów i zachodów księżycy*; odnalezionych, albo napisanych na nowo:

*(...) otwieram furtkę mego domu i z bijącym sercem, którego*

Tadeusz Konwicky, *Rzeka podziemna*, Wydawnictwo "Krağ",  
Warszawa 1984.



już dawno nie mam, wchodzę na podwórze pochyłe, rozmyte przez deszcz, z kupkami kurzego kału, z resztkami sieczonej, wchodzę na podwórze moje albo nie moje i widzę, że otwierają się drzwi domu i czekam zastygły raptem w pół kroku, że ukaże się w ciemnym wnętrzu moja matka, mój ojciec, moi bliscy, że pokaże się cały mój świat, w którym żyłem, jeśli w ogóle kiedyś żyłem.

Jest to przecież podwórze doskonale znane z Dziury w Niebie, z Kroniki wypadków miłosnych, a oczekiwanie na cud rekonstrukcji świata dawno minionego (tak "dawno", że niemal już mitycznego), także nie jest niczym nowym w twórczości Konwickiego.

Próby przywołania, nawet przeżycia na nowo, scen z przeszłości są nieustannie zakłócone przez drugą opowieść - historię pierwszych godzin stanu wojennego, a ostatnich godzin życia człowieka określonego przez narratorkę jako "Siódmy". Nie jest to żaden pseudonim organizacyjny, nie jest to "siódmy po Waleśiu" w hierarchii "Solidarności", ani nawet "siódma ofiara stanu wojennego". To miano bohatera jest skrótownym zapisem miejsca jednostki w precyzyjnie uporządkowanej statystyce globalnej, to "dziewięćdziesiąt dziewięć miliardów, dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem milionów, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy, dziewięćset dziewięćdziesiąt siódmy od początków świata człowiek". A zatem nawet nie "biliardowy" - niepotrzebnie urodził się za wcześnie, niepotrzebnie i głupio wyprzedził trzech innych ludzi. Zdaje się, że właśnie to "głupie" miejsce w porządku galaktycznej statystyki fatalnie zaciążyło nad jego losami sprawiając, iż w pierwszych godzinach stanu wojennego (a ostatnich jego życia) nie dane mu było zostać autentycznym bohaterem. Przedstawione tu kolejne epizody to etapy deheroizacji jego egzystencji, tragedia przekształca się ciągle w groteskę. "Siódmemu" udaje się uciec przed aresztowaniem (później okaże się, że chodziło o sąsiada mieszkającego piętro niżej - wszystkiemu winna była akustyka nowego budownictwa). Przypadkowo postrzelony zostaje przez patrol, ale to znowu była pomyłka, w dodatku ranę odnosi w pośladek. Przewieziony troskliwie do szpitala znajduje się w jednej sali ze zboczeńcem seksualnym. Atoli znękaną przepukliną pan Rybka jest "wampirem nadbużańskim" chyba tylko we własnej imaginacji; jego dewiacja posiada wyjątkowo perwersyjny charakter - co sam wyznaje z wielkim zafrasowaniem:

*Ciekawość, panie, że tylko nad Bugiem. Przyjdzie taki moment, że nawet o północy, panie, narzuć płaszcz na grzbiet i w drogę, czy to koleją, czy autobusem, czy jakąś okazją. Nie da rady, muszę się zaspokoić. Nie ma sensu streszczania tu kolejnych perypetii "Siódmego", coraz bardziej grzeszącego w absurdalnych zbiegach okoliczności, pozostającego we władzy paradoksalnych nieporozumień. Tu już nie obowiązują żadne reguły prawdopodobieństwa, żadna logika. Zdaje się, że świat stanął na głowie. Lecz istnieje także inna hipoteza: być może narzucono mu absurdalne reguły, których konsekwencją jest idiotyczna śmierć tego człowieka i pouczającego naród (niemająca była tu też wina zdychającego parszywego kota): Siódmy uderzył z całej siły łokciem w szklaną ścianę. Porysowała się promieniście, ale nie rozpadła się, więc uderzył drugi raz, trzeci, wylała w grubym szkłe wielki, nieforemny otwór, wszedł w ten łoch sięjący dobrym ciepłem, wszedł do środka, mignęła mu gdzieś w przelocie wykrzywiona twarz recepcjonisty, albo agenta udającego recepcjonistę, wszedł więc na skraj hallu i jednym uderzeniem rozbił telewizor, który raptem jakby zapadł się w siebie, skurczył, a potem bardzo wolno wydawał z siebie jakieś części metalu, szkła, kolorowej mate-*

rii. Lecz wtedy już ziemia zaczynała uciekać spod stóp Siódmego i wydało mu się, że cała kula ziemską ucieka mu spod stóp, że rozpoczyna daleki lot kosmiczny, który nie wiadomo gdzie się skończy. Mam glicerynę pod palcami, przeleciało mu resztką ostatniej myśli. Ale niech popętnie samobójstwo przy pomocy naturalnej śmierci. W ostatniej chwili ocalony zostaje heroizm ludzkiej egzystencji - ale tylko w wymiarze prywatnym, dla innych motywacje tego zgonu pozostaną nieznanne, być może będzie się mówić, że szlag trafił szaleńca. Niemniej absurdalny gest (a może jednak: czyn heroiczny) kończy życie bohatera *Małej apokalipsy*, głoszącej przeciw ostateczny kres panowania jakiejś kolwiek logiki w kraju zagubionym na wschodzie Europy. "A to Polska właśnie".

Te dwie opowieści, dwie ludzkie biografie, składające się na *Rzekę podziemną* nie tylko pojawiają się równolegle, niekiedy zakłócając się, przerywając wzajemnie. Istnieje miejsce, które je łączy ze sobą. To tajemnicza "Puszkarnia", w którą niegdyś toczyli boje bohaterowie *Dziury w niebie* - "chłopcy z placu broni" przeniesieni nad zakale Wilejki. Symultaniczna technika narracji, przenikanie się różnych czasoprzestrzeni, także jest znana z innych utworów Konwickiego (choćby z książkowej wersji scenariusza filmu "Jak daleko stąd, jak blisko"). Obydwo bohaterów *Rzeki podziemnej* nieustannie "znosi" w inną rzeczywistość, w inny świat: Tam, w stronę Nowej Wileńki (...) Tam jest takie zakale Wilejki pod wysokim glinianym urwiskiem. Prastare uroczysko, gdzie wiele pokoleń grzeszyło, cierpiało i umierało. Tam jest coś w ziemi, co po nocach świeci trupim światłem. Tam jest zakale pana jakas tajemnica. Nieustanne powroty do tego miejsca nie są tylko kolejnymi próbami powrotu w "kraj lat dziecińczych". Obecnie tam "ukrywa się Pan Bóg". W ostatnim, zapomnianym już prawie przez ludzi miejscu, które zachowało jeszcze pamięć o podstawowych prawach, o porządku świata. Obłąkana bohaterka *Nie-Boskiej Komedii* Zygmunta Krasińskiego odsłania swemu mężowi wielką tajemnicę: (...) ja ci ogłoszę, co by było, gdyby Bóg oszalał. (...) Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę - często każdy, robak każdy krzyczy - "Ja Bogiem" - i co chwila jeden po drugim konają - gasną komety i słońca. - Chrystus nas już nie zbawi - krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otczań. Czy słyszysz, jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej - aż tuman wielki powstał z jego odłamków - Najświętsza Bogarodzica jedna jeszcze się modli i gwiazdy, Jej służebnice, nie odbiegły Jej dotąd - ale i Ona pójdzie, kędy idzie świat cały. Ta wizja znajduje w książce Konwickiego swoiste rozwinięcie. Prawa rządzące rzeczywistością obydwu bohaterów *Rzeki podziemnej* charakteryzuje fałszywy kolejarz - dziennikarz zachodni (a może fałszywy dziennikarz zachodni, podający się za fałszywego kolejarza - któż to jest w stanie stwierdzić na pewno): Panu Bogu dokuczyło już wszystko. Zdziczały kryje się tam w krzakach. Zapali czasem jakieś drzewo, albo huknie trąbą powietrzną, rozsłocha się jakimś kosmicznym, a wtedy chmury lecą całe w czerwieni tuż nad ziemią i pod stynim niebem, lecą z północy na południe pędzone niepokojem z zaświatów. Teraz ciężko jest Panu Bogu. To nie Bóg, to ludzie oszaleli. Jednym z nikczemnych przejawów tego powszechnego szaleństwa był dla autora *Kompleksu polskiego* stan wojenny ze swoimi wszystkimi konsekwencjami, a więc także z deheroizacją śmierci jednostki. Pozostaje tylko poszukiwanie utraconej przed laty Puszkarni. I w zasadzie bezsensowne ukrywanie matryc z wierszami poety podpisującego się kryptonimem "zet z kropką", które nosi ze sobą wszędzie "Siódmy".

Nieprzypadkowo w tych rozważaniach pojawiały się nieustannie odwołania do wcześniejszych tekstów Tadeusza Konwickiego. Oczywiście jego ostatnia powieść jest utworem integralnym, funkcjonującym samodzielnie, przedstawiającym indywidualną wizję nie tak dawnej przeszłości. Powiedzieć można: wizję nader osobiwą, w której bunt wobec brutalnej przemocy został sprowadzony do walenia łbem w telewizor. Atoli ta książka nie ma nic wspólnego z farsą, jak nic wspólnego z farsą nie ma *Paragraf 22* Josepha Hellera. Jest bowiem demaskacją rzeczywistości, którą rządzi prawa farsy. Wobec niej nawet szaleństwa króla Ubu są niewinnymi igraszkami. Poszczególne etapy tej farsy ukazywały kolejne książki Konwickiego. Nie wiadomo dokładnie, kiedy się rozpoczęła. Jedno jest pewne - nieustannie pozostajemy w jej zasięgu. Ponuro brzmią ostatnie słowa tej książki.

*Ból, cierpienie, męka. Jeszcze raz to samo. Znowu się ludzie męczą i męczą innych. Najokrutniejsze stworzenia tej galaktyki a kto wie czy nie sąsiednich także(...)*

*Wszyscy tu się męczą. Otrute drzewa, szarzynane zwierzęta, torturowani ludzie. Wracam na te ziemie od nowa zazielenioną i od nowa zbiektniętą wodami oceanów, wracam z nadzieją i wita mnie jeszcze raz płacz i zgrzytanie zębów. Jeszcze nie kres mojej nieśmiertelności. Gdzież to cierpiące stworzenie, za którym pójdę teraz, w jeszcze jedną drogę krzyżową. Ty nim jesteś, który dotknąłeś wzrokiem moich stóp, otarłeś się przeczuciem o moje myśli i zląkłeś się raptem mego cienia w biały dzień, albo kiedy staje za czarną szybą twego okna nad ranem.*

*Jeszcze przed nami straszna wieczność.*

*To przecież ocena naszego świata z perspektywy Boga, który porzucił bezpieczne schronienie w Puszkarzni.*

*To przecież ocena naszego świata z perspektywy Boga, który porzucił bezpieczne schronienie w Puszkarzni. A absurdalne losy "Siódmego" były cyklem obrazów pasyjnych na miarę końca XX wieku, na miarę wspólnoty, którą stać wyłącznie na "małą apokalipsę", nieustannie przeżywającej dychawiczny, rozlazły i nędzny koniec świata (symbolizowany przez powolne rozspychanie się Pałacu Kultury), a prowincjonalny Piłat (czy Herod, albo nikczemna kontaminacja obu tych zbrodniarzy) wdział czarne okulary - taka to nasza polska ewangelia według Tadeusza Konwickiego.*

*W takiej rzeczywistości niemożliwe jest zrekonstruowanie jakiegokolwiek biografii. Przeszłość i przyszłość, historia i mitologia, tragedia i groteska uległy całkowitemu wymieszaniu, tworząc bekształtną a obrzydliwą papkę. Nader trudno wydobyc z niej ważne dla indywidualu fakty, oczyścić z oblepiającej, cuchnącej mazi. W takiej rzeczywistości nawet śmierć została zdegradowana, a zmarły staje się tylko przedmiotem przykrytym skrawkiem gazety, oczekującym na przybycie wozu asenizacyjnego (tak dzieje się z "Siódmym").*

*Rzeka podziemna* bynajmniej nie jest powieścią o stanie wojennym, jak *Wniebowstąpienie* nie jest powieścią o konflikcie amerykańsko-sowieckim w Zatoce Świń, jak *Kompleks polski* nie jest powieścią o powstaniu styczniowym, ani *Jak daleko stąd, jak blisko* nie jest filmem o wypędzeniu Żydów z Polski w roku 1968. Te fakty, tak doniosłe dla naszej historii współczesnej, wiążące się nieuchronnie z kategorią "katastrofy", są dla autora *Kalendarza i klepsydry* punktem wyjścia. Jego interesuje jego jednostki uwiklanej w historię. Tutaj jest to los "Siódmego" - przeciętnego człowieka o przeciętnej (jak na polskie warunki) biografii, za-

plątanego beznadziejnie w ciąg wydarzeń absurdalnych - czyli całkowicie naturalnych w polskich warunkach. Jest to też los człowieka, podejmującego po raz kolejny próbę rekonstrukcji własnej biografii. Tym razem na użytek całkiem prywatny nie dla potrzeb instytucji - jak miało to miejsce w *Nie albo nie* czy *Z obłąkanego miasta*. Nie należy przeto rozpatrywać *Rzeki podziemnej* w kontekście *Raportu o stanie wojennym* Marka Nowakowskiego ani *Roku w trumnie* Romana Bratnego. Przynajmniej dla mnie jest to manifestacja historiozofii trwale osadzonej w tradycjach myśli polskiej, głoszonej choćby przez Zygmunta Krasińskiego, bliskiej pesymizmowi *Szewców*, *Nienasyceń* Witkacego, także i temu jego wierszykowi:

*Nie zabrną me twory popod żadne strzechy,  
Bo wtedy, na szczęście, żadnych strzech nie będzie.  
W ogóle z tego żadnej nie będzie uciechy,  
I tylko świnstwo równomiernie rozpęta się wszędzie.*

Jest to próba ocalenia resztek godności ludzkiej, próba podjęta w czasach, gdy - jak powiedział autor *Nienasyceń* - *wszystko rozwiało się w coś w polskich terminach niewyraźnego*. Cóż, obecnie posiadamy na to "coś" i terminy, i nabrzmiałe patriotyczną troską uzasadnienia.

Czytelnika, który podejmie lekturę ostatniej książki Konwickiego w poszukiwaniu realiów początku stanu wojennego, bez wątpienia spotka zawód. Może się nawet zirytować przytłoczony nadmiarem groteski i absurdu, znużony chaosem różnych, nie powiązanych ze sobą obrazów z cudzej autobiografii. To prawda. Alіści rzecz w tym, że ten absurd jest także częścią jego egzystencji, być może został już przezeń uznany za naturalny i logiczny porządek rzeczy. Któż bowiem pamięta jeszcze o regułach życia, przypominanych przez Miłosza w wierszu *Powinien, nie powinien*:

*Człowiek nie powinien kochać księżycą.  
Siekiera w jego rękę tracić nie ma ciężaru.  
Sady jego powinny pachnieć gnijącymi jabłkami  
I porastać pokrzywami w miarę.  
Człowiek mówić nie powinien używać słów dla niego drogich  
Ani rozłupywać ziarna żeby zobaczyć co jest w środku.  
Nie powinien rzucić kruszyny chleba ani pluć w ogień  
(Tak przynajmniej uczono mnie na Litwie).  
(...)*

Powszechnie obowiązujące dekalogi zmieniają się nieomal z dnia na dzień, a szatanowi nadaje się wciąż nowe oblicze, którym straszy z plakatów, nagłówek w gazetach. To smutne, ale nawet diabeł został odarty z godności w naszym świecie. Być może i on ukrył się w Puskarni, a kusi tylko jego nikczemna imitacja, przeraża tandetna atrapa. Tadeusz Konwicki ukazuje mechanizmy rzeczywistości, w jakiej stan wojenny - czyli "wojna z narodem" - stał się faktem. Oczywiście, jako zabobonny Litwin - to istotna, konsekwentna autokreacja pisarza - nie posługiwał się obiektywnymi kryteriami socjologicznymi czy politologicznymi. Po raz kolejny podjął analizę metafizyki zła panującego powszechnie, nie (ci czy inni sprawujący władzę to tylko narzędzia bezwolne), ukazując jego nikczemność i straszliwe konsekwencje, prowadzące bezpośrednio do totalnego odczłowieczenia.

*Rzeka podziemna* to nie tylko utwór literacki zasługujący w pełni na lekturę, godny uwagi nie tylko zwolenników twórczości

Konwického. To także propozycja interpretacji naszych dziejów najnowszych. Tym cenniejsza, że pozbawiona łatwego optymizmu, w jaki popadają nie tylko urzędowi pisarze i publicyści. Powtórzy przeto raz jeszcze przesłanie tej książki:

JESZCZE PRZED NAMI STRASZNA WIECZNOŚĆ.

Czy nie jest to ważniejsze niżli bełkot takiego czy innego władcy, uzasadniającego kolejną zbrodnię? Wszak prawa fundamentalne zostały ustanowione w Puzkarni, tam też będą zawsze przechowywane. Trzeba tylko podjąć ryzyko poszukiwania do niej drogi... To jedna z szans ocalenia ładu, wyrwania się z zaklętego kręgu absurdu, jaki przydzielono nam na życie.

SAMUEL OBIEDZIŃSKI

MIROŚLAW GAJDA

## LEKCJA MIASTA

Dzisiejsza Gdynia jest starsza od Gdańska. Zdanie to tylko z pozoru wydaje się paradoksem. Gdynia jest starsza, albowiem udało się jej szczęśliwie uniknąć zniszczenia podczas wojny i - później - odbudowy. Miało to dla miasta ogromne pozytywne konsekwencje.

Gdańsk zniszczono, żeby go już nie było. Potem zmieniono decyzję i przystąpiono do odbudowy. Turystę zachwyca gdańskie Główne Miasto, kościoły, nadmotławski Żuraw. Zwykły mieszkaniec przeklina codziennie usiłując dokonać tu zakupów.

Gdynia ocalała, a współczesna rozbudowa nie zdołała jej do końca zepsuć. Jest ona jednym z nielicznych miast w Polsce, w których da się w miarę przyzwoicie żyć; miast nakierowanych ku ludziom i ich potrzebom.

Gdańsk dzisiejszy jest tworem niespójnym. Powie ktoś: zawsze tak było. Zgoda. Jest jednak różnica między harmonijną różnorodnością mozaiki, a rozrzuconymi bezładnie klockami, należącymi co gorsza do różnych kompletów. Gdańsk obecny rozpada się na poszczególne dzielnice wadliwie ze sobą skomunikowane i pozbawione ducha wspólnej tożsamości. Żadne zdanie nie może już być prawdziwe w odniesieniu do tego miasta jako do całości. Dlatego tak trudno byłoby dzisiaj egzemplifikować pojęcie gdańskiego *genius loci*. W tej kwestii obraz Gdyni jawi się dużo wyraziściej.

Trójmiasto w ogóle stanowi aglomerację ciekawą. Gdańsk, Sopot i Gdynia, położone nad Zatoką, są atrakcyjne dla przyjeźdźnych i mieszkańców dzięki specyficznemu "zróżnicowaniu w jedności", dzięki połączeniu i wzajemnym przeplataniu różnych rodzajów architektury, odwoływaniu się do różnych wzorców kulturowych, przywoły-

waniu odmiennych tradycji. Specyfika położenia geograficznego z nakładającą się nań wielowątkową historią tych ziem dały w efekcie miejsce, w którym współistnieją synchronicznie sprawy gdzie indziej oddzielone od siebie przepaściami lat i wieków. Dla niespiesznego przechodnia jest to gratka, o jaką coraz trudniej we współczesnej Polsce. Oczywiście i tutaj system położył swój cień. W ideologicznej metryce Trójmiasta wpisano jako datę urodzenia rok 1945, a jako ojca - komunizm. Potem zaś postarano się, aby dopasować do tej teorii fakty.

Gdańsk po wojnie został, jak prawie wszystko w tym kraju, upaństwowiony. Burząc go chciano zlikwidować jego niemiecko-han-zeatycki krój. Gdy zaś zapadła decyzja o odbudowie, pomyślano przede wszystkim o tym, aby jak najszybciej dokonała się jego asymilacja w obrębie państwa polskiego. Miał tu zamieszkać PRL. Upaństwowienie Gdańska stało się przyczyną wielu dotkliwych niewygód jego nowych i starych mieszkańców. Dotyczy to przede wszystkim sieci handlowej i komunikacji miejskiej, ale też gastronomii czy usług dla ludności.

Miasto zaludniono instytucjami, urzędami i biurami. Dzielnice mieszkalne zeszyły na drugi plan, spełniając rolę swoistych koszar, domów noclegowych dla pracowników tychże instytucji i zakładów. Taki charakter uzyskały przede wszystkim dzielnice nowe złożone z klockowatych wysokościowców, jednej budki telefonicznej, jednego sklepu spożywczego, a jak dobrze poszło, to także jednej szkoły i jednej linii autobusowej do dworca.

Centrum handlowym dla Gdańska miał stać się Wrzeszcz. Ani jednak tutejsze zaopatrzenie, ani jakość komunikacji nie sprzyjają temu, aby tam robić zakupy.

Gdańsk podzielił więc los większości miast polskich, z Warszawą na czele, którym jakby wpatrząco kręgosłup. Mieszkańców tych miast doprowadzono do roli bliskiej tej, jaką pełnili członkowie społeczeństw pierwotnych. Zdążyć gdzieś na czas, kupić świeży chleb, wypić filiżankę kawy, pójść na spacer z dzieckiem, oddać telewizor do naprawy, sprzedać butelki - to w miastach tych rzeczy pokrewne niepodobieństwu. Zapewnienie w miarę normalnej egzystencji rodzinie zajmuje tu ludziom tyle czasu i wymaga takiej energii, że reszta może być już tylko snem. I tak też się dzieje. Po godzinie dwudziestej drugiej zamiera miejska komunikacja, zamyka się większość kawiarni, gasną częściowo neony. Miasta kamienieją pod czujnym nadzorem przemierzających opustoszałe ulice patroli. Po tym czasie obecność na ulicy wzbudza podejrzliwość władzy. Usprawiedliwieni są tylko pijani, trzeźwym sprawdza się w dowodach stemple o zatrudnieniu. A skoro okazuje się, że pracują, to się ich pyta, co robią na ulicy o tak późnej porze? - Tak państwo dba, żeby ludzie do roboty się nie spóźniali.

Co gorsza, państwowe te miasta coraz bardziej się psują. Odmawiają swoim mieszkańcom już nie tylko świeżego pieczywa, ale również wody i elektryczności. I choć kłopoty te - z zaopatrzeniem, z wyłączeniami prądu, z komunikacją - dotyczą całego naszego państwa, to przecież nie wszędzie są one tak dotkliwe jak w Warszawie czy Gdańsku.

Wydaje się, że o wiele mniej z ich powodów cierpią mieszkańcy Gdyni. Jej projekt architektoniczny i jej śródmiejskie centrum powstawały w latach polskiego optymizmu. Była Polska niepodległa, były plany Centralnego Okręgu Przemysłowego, były ambicje i marzenia morskie, a nawet - zamorskie. Gdynię budowano spontanicz-

nie, bez sztywnych ustaleń. Budowano ją w pierwszym rzędzie jako alternatywę i konkurencję dla pozostającego w rękach niemieckich portu gdańskiego. Spontaniczność budowy nadawała miastu od początku charakter dynamiczny i nowoczesny.

Duch tamtego optymizmu jakoś szczęśliwie przetrwał do dziś. Oczywiście - okaleczony, oczywiście - skrupowany, ale jednak jest. Upaństwowienie Gdynia przetrwała o tyle szczęśliwiej od Gdańska, że przynajmniej zachowała w centrum swoją przedwojenną formę. W Gdańsku wymieniono wszystko - i formę, i treść.

Gdynia była przed wojną odważną przygodą młodego państwa. Przy jej budowie istotną była świadomość, że powstaje miasto, co do polskości którego nikt nigdy żadnych wątpliwości mieć nie będzie. Mówiąc "lapidarnie, duch Gdyni jest duchem wszechstronnej funkcjonalizmu. Po pierwsze, miało to być miasto funkcjonalne dla państwa, po drugie - maksymalnie użyteczne dla swoich mieszkańców. Dodatkowo jego konsumpcyjną atrakcyjność podnosił charakterystyczny koloryt miasta portowego z zawartym w nim miejscem dla przelotnych podróży.

Dzisiejsza Gdynia jest nieporównanie większa od przedwojennej. Nowe dzielnice pod względem architektonicznym więcej mają wspólnego z ogólnym peerelowskim stylem, niż z ulicą Świętojańską. Jak to się jednak dzieje, że zaopatrzenie w nich, komunikacja i w ogóle atmosfera jest o wiele lepsza niż w bliźniaczych tworach innych miast, pozostaje sekretem. A sekret ten właśnie nadaje Gdyni niepowtarzalną swoistość.

W Gdańsku na pierwszy rzut oka spotykają się ze sobą różne epoki, style architektoniczne, tradycje historyczne. To jednak wrażenie tylko powierzchniowe. Powziąć je może jedynie spieszący się turysta, oglądający miast z zewnątrz. Dla mieszkańca i dla kogoś, kto potrafi wniknąć w głąb miasta, Gdańsk ujawni swoją dzisiejszą iluzoryczną fasadowość, dekoracyjność maskującą bliski ideom socrealizmu uniformizm. To nie kamieniczki, to atrapy kamieniczek, to nie Główne Miasto, to makietka Głównego Miasta w skali 1:1 ustawiona po to, aby ją oglądać, ale nie nadająca się do tego, aby w niej mieszkać.

Gdańsk dzisiejszy jest takim smutnym tworem z amputowaną własną historią i rozsianą po peryferiach przyszłością. Miasto o tekturowym sercu, nie organizm, tylko luźne połączenie dzielnic. Sądził by można, że ludowa definicja socjalizmu - sprawiedliwy podział nędzy - ma do tego miasta szczególne zastosowanie. A widać to tak wyraziście przez kontrast do czasów dawnej świetności i przez pamięć tętniącego tu życia. Gdynia nie ma tak znakomitych tradycji. Miała za to tę odrobinę historycznego szczęścia, że w roku 1945 nie rozerwano ciągłości jej rozwoju. I choć jest miastem mniejszego od Gdańska kalibru, to jej przypadł wywyższający ją walor autentyczności.

Niemożliwością jest dzisiaj polubić Gdańsk w całości. Tak zresztą, jak nie można go w całości przekląć. Po prostu - Gdańska w całości już nie ma. Są mniej lub bardziej sympatyczne dzielnice i ulice, ale nie zbiegają się one w pojęcie jakiegoś centrum, które wyznaczałoby niepowtarzalną odrębność jakiegoś duża miejsca i z którym mogliby się identyfikować wszyscy mieszkańcy.

Używając dużego skrótu, opowiedziałbym o dzisiejszym Gdańsku, o jego enigmatycznym centrum rozumianym tak fizycznie, jak du-

chowo, że jest to miasto rozpięte między Pomnikiem Poległych Stoczniowców, a ruiną kościoła św. Jana i przyległych doń równie zrujnowanych domów. Te dwa punkty, choć symbolizują zniszczenie i pamięć, a może właśnie dlatego, wyznaczają centrum miasta. Odnaleźć w nim można figurę losu będącego udziałem całego kraju po wojnie. Tutejszy dramat jednak rozgrywa się w oszałamiających dekoracjach i może dlatego jest tak przejmujący.

Figura losu, o której piszę, a której kształt wyraźnie w Gdańsku dostrzegam, polega na procesie dematerializacji rzeczywistości. Fantastyczny paradoks komunizmu sprowadza się do tego, że przecinając nić tradycji i biorąc we władania pozbawione zakorzenienia miejsca, nie jest w stanie nad nimi zapanować, gdyż nabierają one charakteru bytów metafizycznych. Taki charakter zresztą miały zawsze, budował on ich tożsamość, ale dopiero w takich chwilach staje się on jedyną możliwą formą autentycznego istnienia. W ten sposób odbywa się przeklęta komunistyczna produkcja duchowych królestw. Gdańsk jest jednym z nich.

Gdańsk był zawsze strukturą otwartą, lecz równocześnie bardzo swoistą. Cechowała go dumna niezależność. Potrafił jej bronić, ilekroć była zagrożona. Mógł ją obronić, albowiem przy całym swym rozwarstwieniu - społecznym, narodowym, kulturalnym - stanowił całość czytelną tak od wewnątrz, jak i zewnątrz.

Dzisiejszy Gdańsk ma uniwersytet i ma stocznnię. Krótki był jednak czas, gdy miejsca te zaistniały integralnie w obrębie miasta. Krótki i dla systemu niebezpieczny. Dziś powróciły do stanu przedsierpniowej izolacji. Zatomizowany Gdańsk stał się miastem-maską, miastem scenograficznym, w którym grana jest sztuka pełna aluzji, podtekstów i metafor. Dla zwykłego, potocznego życia brakuje w nim przestrzeni.

W tej perspektywie obraz Gdyni jest mocno kontrastowy. Gdyńskie domy niczego nie udają, po prostu są i mieszczą w nich ludzie. Większość z tych domów stojących w centrum jest ciągle własnością prywatną i ma to zapewne spore znaczenie dla przechowania w nich owego stylu międzywojnia budującego gdyńską atmosferę.

Ocalając swój funkcjonalizm, Gdynia nie dała się rozbić na części. Pomogło jej w tym zresztą położenie geograficzne. Poza tym, inaczej niż w przypadku Gdańska, władza nie musiała, a nawet nie chciała ingerować tak drastycznie w charakter miasta, by przerobić je "na obraz swój i podobieństwo". Wręcz przeciwnie: odwoływanie się Gdyni do swych międzywojennych początków było nawet komunistom na rękę, bo dawało argument w żmudnej i zakłóconej dyskusji międzynarodowej nad polskością tego obszaru naszego państwa.

Pomimo więc upaństwowienia, pomimo poddania systemowi, dla którego zaspokajanie potrzeb ludzkich jest zawsze na drugim miejscu po rozwijaniu przemysłu ciężkiego, Gdynia, przynajmniej w swym śródmiejskim centrum, zachowała cechę użyteczności, służebności ludziom.

Szlachetna troska o przyzwoitość codzienności obca jest współczesnemu Gdańskowi. Wystarczy porównać rozwiązanie skupu butelek w obu miastach, aby zrozumieć, na czym polega ta różnica. A skup butelek, jak wiadomo, jest jednym z podstawowych problemów socjalizmu i jednym z podstawowych mierników komunistycznej zdolności uporania się z rzeczywistością.



Wysoki stopień integracji Gdyni znajduje odbicie także w czynniku demograficznym. Miasto to silnie związane jest z kaszubszczyzną i ten kontekst tutejszości ma dla niej także życiodajne znaczenie.

Swoista przyjemność gdyńska zapobiega powstaniu wielkiej szczeliny między życiem duchowym a materialnym miasta, a taka szczelina powstała w Gdańsku. Obrazem tego może być różnica w roli, jaką pełnią w miastach tych dziś kościoły. W Gdańsku tworzą one mistyczną niemal przestrzeń - silną, lecz nie identyczną z przestrzenią miasta. W Gdyni kościoły wtopiły się w ulice. Nie ma przepaści między nimi a sklepami - tak jedne, jak drugie służą ludziom. W Gdańsku ta przepaść istnieje, bo Gdańsk, jak już zostało powiedziane, wieździe w tej chwili żywot królestwa ducha. Więcej tu idei niż mięsa, więcej czasów przeszłych niż teraźniejszości, więcej transcendencji niż restauracji.

Wieść gminna głosi, iż wynika to stąd, że Gdańsk jest miastem ukaranym przez władze. Traktuje się go jako zło konieczne i w gruncie rzeczy nie lubi - za tradycję, za Grudzień, za Sierpień, za "Solidarność". Gdy wysyłano w 1970 roku żołnierzy na trójmiejskie ulice tłumaczono im, że idą bronić miasta przed siłami chcącymi oderwać Gdańsk od Polski. Strajkującym robotnikom wmawiano, że są manipulowani przez "zachodniemieckich rewanżystów i rewizjonistów". Dziś wiernym w gdańskich kościołach śpiewającym "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie" imputuje się, że rozumieją przez to powrót niemieckiej administracji tych ziem. Ta wulgarna propaganda, choć z wyrachowania fałszywa, odzwierciedla jednak silną niechęć władzy do miasta sprawiającego jej tyle kłopotów.

Nie pomogło zburzenie, nie pomogła wymiana ludności, nie dały zadowalającego skutku zabiegi dezintegracyjne. Być może raczej więc ma lud, gdy powiada, że tutaj za karę tak trudno się żyje cywilom.

Różnica między Gdynią a Gdańskiem uwidoczniła się wyraźnie w przebiegu wypadków grudniowych, a potem w lecie roku '80. Piętnaście lat temu Gdynia okazała się bardziej zorganizowana. Robotnicy utworzyli Komitet Strajkowy i nadali swojemu protestowi zdumiewające, zważywszy ich brak doświadczenia tego typu, formy organizacji. I choć przebieg wydarzeń w Gdańsku miał dużo bardziej burzliwy charakter - spalono przecież Komitet Wojewódzki - to gniew władzy skupił się na Gdyni. Z politycznego punktu widzenia bowiem groźniejszy jest przeciwnik zdyscyplinowany, zorganizowany i świadomy celu, do którego dąży, od pobawionego przywództwa tłumy, w którym instynkty biorą górę nad rozumem.

W Sierpniu, wyrastającym przecież z grudniowych doświadczeń, najważniejsza była oczywiście gdańska stocznia, siedziba MKS-u. Wszystkie jednak druki strajkowe powielano w drukarni gdyńskiej. Stocznia Komuny Paryskiej, gdzie robotnicy od pierwszych chwil zawładnęli urządzeniami poligraficznymi, podczas gdy ich gdańscy koledzy toczyli na ten temat rozmowy z dyrekcją.

Podają te przykłady nie po to, aby wywołać atmosferę jakiegokolwiek rywalizacji między obydwoimi miastami. Pozostają one przecież w obrębie jednego organizmu i w takich właśnie chwilach przełomów, walki nawet, znakomicie się uzupełniają. A uzupełniać się mogą właśnie dzięki temu, że tak się od siebie różnią.

Krajobraz powojennej Polski mocno poszarzał. Zwyciężyła w nim tendencja do upodobnienia miast i wsi. Przechowane tu i ówdzie klimaty lokalne giną wśród koszarnej typowości. *Wspominam wyabyty na oko z wszelkiej historii Garwolin, Grójec, Konin, wspominam tysiące wiosek pozbawionych określonej przestrzeni, kształtu, formy, tradycji, przypadkowo nastianych ohydnyymi sześcianami z cegły czy betonu i dalej płacąc coraz grubszymi łażami. Kto odebrał nam polski pejzaż, jego specyfikę, historyczność i piękno, dlaczego tak się stało? /.../ Faktem jest, że mieszkaniec Garwolina, Błonia lub nowego Piaseczna żyje w architektonicznej pustce i nicości /" w Polsce, czyli nigdzie"?, indywidualność swą zaświadczyć może, owszem, po kryjomu, w czterech ścianach własnego domu, w zamknięciu, krajobraz zaś, który go otacza poza domem, nie jest jego, nie mu nie mówić, stanowi duchową próżnię.* - pisał w 1981 roku Kisiel.

Na tym tle skarbami stają się miejsca o wyróżniającej je swoistości. Miasta, których zabytki nie są muzeami, lecz tworzą ciągłość ich życiowej przestrzeni. Wsie o tradycjach kontynuowanych w sposób naturalny przez kolejne chłopskie pokolenia. Miejsca jednym słowem, których tzw. "postęp" nie zdołał zorać.

Wbrew wszystkiemu, co zostało tu powiedziane o katastrofie Gdańska, jest on ciągle miastem o silnej indywidualności. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że tak na dobrą sprawę zostały nam już /czy też - aż?/ tylko dwa takiej miary miasta - Kraków i Gdańsk. Kraków z Nową Hutą i Gdańsk z Gdynią. Jak między dwoma biegunami magnesu, między dwoma elektrodami płynie między nimi życie dzisiejszej Polski.

Na przykładzie Gdańska można zobaczyć, jak wygląda i jaki daje skutek technika jego rozbajrania. Kraków jest być może lepiej uodporniony, stanowi bowiem całość bardziej zwartą. Szukając w roku 1981 nowej siedziby krakowskiego Zarządu Regionu, nie mogłem dopytać się o nią przechodniów. Nikt nie wiedział, gdzie to jest. Wskazał mi ją dopiero pewien zakonnik. Odniosłem wówczas wrażenie, że tam "Solidarność" jest przede wszystkim sprawą Nowej Huty. Kraków jest oczywiście "za", ale jest równocześnie "ponad" - Taki lekki dystans wobec współczesnych wydarzeń, będący przywilejem miejsca, w którym pochowani są polscy królowie.

Rzadki to dzisiaj przypadek, że ktoś jest dumny z miejsca swojego zamieszkania. Regułą jest tak charakterystyczne nad Wisłą lekceważenie rzeczywistości, traktowanie jej w sposób tymczasowy. Zamieszkiwanie w tym, co było albo w tym, co ma być. Takie miasta jak Gdynia uczą nas wszakże sztuki znakomitszej - że równie ważne jak zagospodarowywanie mitów jest udomawianie ulic.

Dobrze, że dzisiejszy Kraków ma swoją Nową Hutę. Dobrze, że współczesny Gdańsk połączony jest z Gdynią. Dobrze też, że Warszawa ma swój Żoliborz. Prawda bowiem, także ta o współczesności, uwielbia mieszkać w sprzecznościach.

Mirosław Gajda

## OSWIADCZENIE

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza upowaznia się wszelkie nielegalne wydawnictwa w PRL do przedrukowywania jego książek, pod zasadniczym warunkiem nie dokonywania żadnych skrótów, adiustacji, ani też opatrywania ich wstępami, komentarzami itp. Właściwym miejscem dla krytyki literackiej i politycznej są łamy czasopism.

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza zabrania się natomiast jakichkolwiek przedruków, nawet bez skrótów i zmian, wydawnictwom legalnym, jednoznacznie reżimowym, czy tylko koncesjonowanym, ale zależnym od bieżącej polityki wydawniczej komunistycznych władz. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że w ramach taktycznej "liberalizacji", ale także uprawianej za wzorem Kremla polityki likwidowania politycznych - niech pośmiertnie! - emigrantów przez drukowanie ich "wybranych" utworów /w Sowieciech np. rozpoczęto już druk Bunina/, ktoś w najlepszej intencji i w przekonaniu, że coś tam dla kultury polskiej ocala, postarałby się o wydanie w jakimś kameralnym wydawnictwie niepolitycznego "Karirowicza", czy kilku niepolitycznych nowel. A nawet, być to może, politycznej "Kontry".

Józef Mackiewicz był człowiekiem skromnym. Józef Mackiewicz był w poglądach bezkompromisowy. Uważał, że jedyne godne miejsce dla emigranta politycznego w kraju rządzonym przez wroga jest więzienie. Co go, na szczęście, ominęło.

Z prośbą o przedrukowanie we wszystkich pismach emigracyjnych i nielegalnych w PRL.

Barbara Toporska Mackiewicz

Dziękujemy Przyjaciołom za 200.

Zośce dziękujemy za książki.

Cena 350zł

W numerze 3 m.in.: "Istnieją granice siły..." - rozmowa z Gunterem GRASSEM; Leszek KOŁAKOWSKI - Ogólna teoria sowietyzmu; Anna BARYCZ - Refleksje nad liberalizmem; Sylwetka Raymonda ARONA; Marcin MOSKIT - Szturm na bramy; Andrzej GWIAZDA - Z więzienia.

W numerze 4 m.in.: Paweł ADAMSKI - Wspomnienie o Lechu Bądkowskim; Jadwiga STANISZKIS - Własność, racjonalność, dynamika, struktura; Raymond ARON - Testament; Alain BESANCON - Śmierć trupa; Zbigniew BRZEZINSKI - Tragiczne dylematy sowieckiego imperium; Sylwetka Astolfa de CUSTINE; Trzy wystąpienia GRUPY PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH.

W numerze 5 m.in.: Marcin KROL - O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej; GRUPA PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH; Sylwetka Friedricha von HAYEKA; Historia gdańskiego ruchu samorządowego; Mikołaj BIERDIAJEW - Myśli o Rosji.

W numerze 6 m.in.: Ireneusz KRZEMINSKI - Polska i "Solidarność"; Jadwiga STANISZKIS - Forma myślenia jako ideologia; Sylwetka Ludwiga von MISESA; Leszka NOWAKA teoria nowego totalitaryzmu.